

Jerzy Edigey

Operacja „Wolfram”



Anton Miller miał ten rodzaj pamięci, która jak komputer, w razie potrzeby wydobywa z bębna odpowiednie informacje. Teraz błyskawicznie uświadomił sobie, że wolfram jest szarym metalem o najwyższym w przyrodzie współczynniku topliwosci. Gdzieś ponad trzy tysiące kilkaset stopni powyżej zera. A jednocześnie nawet drobna domieszka wolframu do stali utwardza ją i czyni odporną na ciepło. Bez wolframu nie można budować czołgów i lot armatnich. Bez wolframu nie wystartują rakiety dalekiego zasięgu ani nie wybuchnie bomba atomowa. Pracujący dla celów pokojowych stos atomowy także musi mieć osłonę wolframową. Największe na świecie pokłady rudy wolframowej znajdują w Brazylii i w Związku Radzieckim.

(fragment powieści)

ISBN 83-216-0985-6



Jerzy Edigey

***Operacja
„Wolfram”***

WYDAWNICTWO „ŚLĄSK”

Okladkę projektował

Andrzej Kacperek

Redaktor

Wiesława Fornelska

Redaktor techniczny

Zbigniew Laszek

Korektor

Joanna Huber

ISBN 83-216-0985-6

© Copyright by Wydawnictwo „Śląsk”

Katowice 1990

Symbol 33035/RH.

Wydanie 2.

Nakład 49 850+150 egz.

Ark, wyd. 9,0

Ark, druk. 6,25.

Papier druk, mat, kl. IV/70 g.

Druk ukończono we wrześniu 1990 r.

ZGK, Druk, im. K. Miarki w Mikołowie,

zam. 7360/2122/90

Rozdział I

Anton Miller przybywa do Kapsztadu

Taksówka jadąca Adderley Street z trudem przeciskała się pomiędzy innymi wozami. O tej porze główna ulica Kapsztadu przepełniona była zarówno samochodami na jezdni, jak i pieszymi na chodnikach. Wreszcie kierowcy samochodu „only White” udało się wydostać na ostatni, prawy pas jezdni i zatrzymać wóz przed hotelem „Intercontinental”. Zaraz do auta podbiegł portier w liberii i z niskim ukłonem otworzył drzwi.

Z samochodu wysiadł mężczyzna około pięćdziesiątki. Wysoki, postawny, choć może przydałoby mu się zrzucić kilka kilogramów nadwagi. Wiadomo, w tym wieku trudno się ustrzec tendencji do tycia. Jasny blondyn o niebieskich oczach i rysach, godnych zachwytu rasisty spod znaku Himmlera, był typem człowieka, za którym, jeśli kobieta nie szaleje, to w każdym bądź razie spogląda z zainteresowaniem. Nawet szpakowate włosy i duża blizna biegnąca wzdłuż całego lewego policzka nie szpeciły tej twarzy. Mężczyzna miał na sobie nienagannie uszyty jasnopopielaty garnitur, do tego granatową koszulę i biały miękki krawat, zaś na nogach eleganckie buty z miękkiej plecionej skóry. W rękę, jak przystało na biznesmena, trzymał czarną teczkę-walizeczkę ze złożonymi zameczkami.

Kierowca wyjął z bagażnika dużą, skórzaną walizkę zapinaną na

dwa pasy. Walizka nie była nowa, ale także niezbyt zniszczona, akurat taka jaką powinien mieć gentleman, często podróżujący w rozlicznych interesach. Przyjezdny uregulował należność za przejazd i jeszcze dorzucił szoferowi hojny napiwek, tak że kierowca aż się zgiął w dziękczynnym ukłonie. Nie co dzień zdarza się, żeby taksówkarz dostawał pięć randów napiwku za przywiezienie kogoś z portu do śródmieścia.

— Moje nazwisko Anton Miller — wyjaśnił nowo przybyły kierownikowi hotelowej recepcji — zamówiłem u was pokój.

— Zaraz sprawdzę — pracownik hotelu sięgnął po listę rezerwacji. — Tak jest, mamy zamówienie szanownego pana — bystre oko recepcjonisty dostrzegło maleńki znaczek na stojącej na dywanie walizie gościa. Międzynarodowy kod informujący, że właściciel takiej walizki nie robi drobnych oszczędności na napiwkach. Toteż recepcjonista od razu zaczął gościa traktować dużo grzeczniej niż przeciętnych Afrykanerów, którzy obracają każdego randa dziesięć razy, zanim wreszcie zdecydują się puścić go w ruch, a o wynagrodzeniu służby hotelowej zawsze w porę zapominają. Tak się śpieszą z odjazdem, że nie pozostaje im paru sekund na sięgnięcie do kieszeni. Naturalnie recepcjonista nie mógł wiedzieć, że ten znaczek postawiony był własną ręką przystojnego przyjezdnego.

— Oto mój paszport — powiedział pan Miller kładąc na ladzie dokument z białym krzyżem na czerwonym polu. Paszport również nie był zbyt nowy i zaopatrzony w całą kolekcję najrozmaitszych wiz, w tym naturalnie także i wizę Republiki Południowej Afryki. Tylko ta jedna zresztą była prawdziwa. Sam dokument był znakomity — dużo lepszy niż oryginalny. Kosztował drogo, ale na takie rzeczy Anton Miller nie zwykł nigdy żałować pieniędzy.

— Zarezerwowaliśmy dla szanownego pana — wyjaśnił recepcjonista — ładny, duży pokój na dziewiątym piętrze. Okna wychodzą wprawdzie na dziedziniec, ale z daleka widać morze, z tej

strony jest dużo ciszej niż od ulicy i upał nie będzie tak panu dokuczał. Jest przecież koniec listopada, wchodzimy w najgorętszą porę roku.

— Upałów się nie boję. Wiele lat spędziłem w Nigerii, w Zairze i innych państwach tropiku — pan Miller miał zasadę, aby nigdy nie kłamać bez wyraźnej potrzeby. Co zresztą wcale nie znaczyło, że mówił całą prawdę. — Naturalnie, jeśli pan uważa, że to dobry pokój, biorę go bez zastrzeżeń.

— Na pewno będzie pan zadowolony. Wszyscy goście zawsze są zadowoleni z pobytu u nas. Zawsze też wracają do „Intercontinentalu”, kiedy następnym razem odwiedzają Kapsztad.

— Panu nie wypada inaczej mówić — roześmiał się przybyły — każda lizka swój ogonek chwali.

— Pan na długo do Kapsztadu?

— Nie wiem. Mam nadzieję, że na dłużej i że będę tutaj częstym gościem. Jestem handlowcem. Właścicielem „Züricher Import-Export Gesellschaft m. B.H.” Mam nadzieję, że uda mi się tu zrobić parę transakcji korzystnych dla obu stron.

— Życzę panu powodzenia. Oto klucz do pokoju dziewięćset dwudziestego siódmego. Portier wniesie walizkę i wskaże drogę.

— Jeszcze jedno — zauważył Miller — muszę otworzyć tu rachunek w jakimś banku. Który jest najbliżej? Nie będę nosił przy sobie gotówki. Zresztą nie mam jej tak dużo. Tyle żeby starczyło na podróż i na drobne wydatki. Muszę też zrealizować czeki „Credit Suisse”.

— Nic trudnego. Trzy domy dalej mieści się filia „Merca Bank”. To jeden z największych i najsolidniejszych południowoafrykańskich banków.

— Dziękuję bardzo za tak cenną informację.

W ręku pana Millera znalazła się nagle, jak wyczarowana z powietrza, dwudziestorandówka, która równie błyskawicznie znikła w kieszeni recepcjonisty. Za to jego szacunek dla nowego gościa

jeszcze bardziej wzrósł. Drobne podarki umacniają przyjaźń, a odkąd Fenicjanie wynaleźli pieniądze, one właśnie najbardziej nadają się na takie prezenty.

Idąc za portierem niosącym walizę, Anton Miller dotarł do windy, która zawiozła ich na dziewiąte piętro. Tutaj, na korytarzu, spotkali pokojówkę. Młodą dziewczynę, tak około dwudziestu pięciu lat. Trudno ją byłoby nazwać piękną, ale była dość przystojna i bardzo zgrabna. Rudawe włosy i stosunkowo biała cera świadczyły najwyraźniej o jej holenderskich przodkach. Natomiast duże czarne oczy mówiły, że wśród tych przodków mogła zaplatać się kiedyś jakaś Hinduska. Przed wprowadzeniem apartheidu było to dość częste, zwłaszcza w prowincji Natal.

Pokojówka ubrana w normalny „mundur” tej branży — białą bluzeczkę, małe koronkowe fartuszki na czarnej spódniczce i takąż samą koronkową opaskę na rudawych włosach z zainteresowaniem oglądała nowego gościa. Kłaniając się, zapytała z miłym uśmiechem:

- Jaki numer?
- Dziewięćset dwadzieścia siedem — odpowiedział portier.
- Właśnie niedawno go przygotowałam.
- Dziękuję pani — tym razem odpowiedział Anton Miller.

Portier otworzył drzwi, umieścił walizę na stojaku i po zainkasowaniu dwóch randów bezszelestnie wycofał się z pokoju. Recepcjonista nie kłamał. Pokój, jak na pomieszczenia w nowoczesnym hotelu był dość duży i wygodny. Umeblowanie stereotypowe dla tego rodzaju lokali i dla tej klasy hotelu. Szeroki tapczan nakryty śnieżnobiałą pościelą. Po przeciwnej ścianie wygodna kanapa, dwa fotele i dwa krzesła. Biureczko, wysoka stojąca lampa, podłoga wybita miękką, szarą wykładziną. Z małego korytarzyka wejście do łazienki. W tymże korytarzu duża szafa w ścianie, zaopatrzona w komplet szczotek i past do butów oraz, na wszelki wypadek, w poduszeczkę z igłami i nićmi. Umeblowania pokoju dopełniał kolorowy telewizor

philips oraz lodówka z całą kolekcją napojów alkoholowych i oziebiających.

Anton Miller podszedł do okna i szeroko je otworzył. Miał pod sobą dziewięć pięter z dość dużym podwórzem i z wjazdem do podziemnego garażu oraz rampą wyładowniczą przed częścią restauracyjną hotelu. Mały trawnik z klombem pełnym kwiatów dopełniał całości. Ponad dachem sąsiedniego, niższego budynku, widać było dalekie wzgórza zabudowane willami tonącymi w ogrodach, a na lewo las dźwigów portowych i malutki skrawek ciemnoniebieskiego morza.

Patrząc na ten widok, nowo przybyły pełen był obaw i czarnych myśli. Całe życie, od momentu kiedy jako siedemnastoletni chłopiec uciekł z domu rodzinnego, aby doń nigdy nie wrócić, przepełniała walka z losem o zdobycie znaczenia i pieniędzy. W tej walce mniej było zwycięstw, dużo więcej porażek. A lata płynęły. Teraz w tym nie znanym sobie Kapsztadzie Anton Miller doskonale zdawał sobie sprawę, że oto być może stoi przed ostatnią w życiu szansą niestoczenia się na margines, lecz złapania za jakąś szprychę toczącego się koła fortuny.

Ale jaką? Na to pytanie nie umiał odpowiedzieć. Nie miał żadnej zdecydowanej koncepcji. Pieniądze z marsylskiego skoku stopniały. Sławna firma „Import-Export” istniała raczej na papierze, żeby wścibscy Szwajcarzy za bardzo nie zaglądali do papierów swojego rodaka i nie chcieli sprawdzać jego genealogii. Czekaloby ich wtedy wiele niespodzianek. Na szczęście żadna z takich myśli nie przyszła do głowy pracownikom szwajcarskiej policji.

Tyle wielkich interesów zawiodło. Łącznie z tak, zdawałoby się pewną, naftową fortuną w Biafrze. Zamiast milionów dolarów, Anton wyniósł z tej przygody zaledwie własną skórę i to mocno przedziurawioną jakąś murzyńską kulą żołnierza generała Gonowana. Zawiodł także Zair i na końcu buńczuczny premier Smuts z Rodezji, która teraz rządzona jest przez czarnych i nazywa się Zimbabwe.

Pozostała tylko Republika Południowej Afryki otoczona zewsząd morzem czarnych wrogów i podminowana wewnątrz tym samym czarnym niebezpieczeństwem. Ale mająca także złoto, diamenty, uran i inne wielkie bogactwa oraz ludzi zdecydowanych walczyć o posiadanie tego majątku. Walczyć choćby z całym światem. Nic więc dziwnego, że były uczestnik walk Francuskiej Legii Cudzoziemskiej w Wietnamie i Algierii, a potem najemnik Biafry, Czombego i Kasawubu swoją ostatnią szansę widział w tym państwie, którego najbardziej na południe wysunięty cypel nazywa się Przylądkiem Dobrej Nadziei.

Na dalsze żołnierskie przygody i taką drogę do zrobienia fortuny Miller już nie liczył. Był na to i za stary, i już za mądry. Przekonał się, że Murzyni strzelają coraz celniej, a człowiek ma tylko jedno życie do stracenia. Niech w takie zabawy bawią się młodszy i głępsi. Takich nigdy nie zabraknie. On, zurichski businessman, chciałby tu nakręcić jakiś wielki interes. Niekoniecznie zresztą stuprocentowo uczciwy. Im coś stoi bliżej artykułów kodeksu karnego, tym bardziej jest popłatne. Cała sztuka polega na tym, aby nie dać się wplątać w dżunglę tych artykułów, albo umieć w porę zniknąć. To drugie, jak dotychczas, panu Millerowi zawsze się udawało.

Stojąc przed perspektywą, że w krótkim przeciągu czasu trzeba będzie zamknąć interes w Zurychu i zlikwidować puste konto bankowe, a co za tym idzie, zniknąć z tak spokojnej i wygodnej Szwajcarii, Anton postanowił spróbować szczęścia gdzie indziej. Może jeszcze mógłby ciągnąć szwajcarską egzystencję przez rok lub półtora licząc, że zdarzy się cud i zuryska firma zacznie dawać dochody wystarczające na dość przyzwoite utrzymanie. Ale pan Miller w cuda nie wierzył. Przecież już przed tym zawiodły zdawałoby się tak pewne interesy, jak przemyt papierosów do Włoch czy też alkoholu do Szwecji. Zaś próby przewozu opium z Turcji do Paryża i do Frankfurtu skończyły się taką kłeską, że trzeba się było cieszyć uratowaniem życia. W porównaniu z tym sukcesem, strata kilkudziesięciu

tysięcy franków, i to tych dobrych szwajcarskich franków, była drobnostką.

Jako ostatnia szansa pozostała więc Republika Południowej Afryki. Były wprawdzie jeszcze inne możliwości. Prasa codziennie pisze o jakimś napadzie na bank i rabunku tysięcy marek, franków czy też dolarów. Ale po marsylskich doświadczeniach pan Miller z góry rezygnował z tej drogi zdobycia majątku, chociaż ludzi odważnych i chętnych do takiej roboty łatwo można znaleźć w każdym wielkim mieście. Za to trudno o takich, którzy na dodatek byłiby mądrzy i wiedzieli, że trzymany przez nich pistolet może wystrzelić jedynie w ostateczności, a zdobyty łup trzeba trzymać długo nie wydając centa, bo inaczej zaraz wpadnie się w ręce policji. Jeden wyrok — gilotyna i dwa po dwadzieścia lat więzienia, jakie zapadły w Marsylii, od razu ostudziły zapał pana Millera do tego rodzaju operacji. A przecież obliczona ona była ściśle, ze stoperem w rękę i zaplanowana wręcz genialnie. Zdawałoby się, że musi się udać. I udałaby się bez pudła, gdyby nie to, że szczeniak stojący „na świecy” na widok spokojnie kroczącego patrolu policji, która tam się zjawiała zupełnie przypadkowo, wygarnął do idących z pistoletu. Na własne nieszczęście nie chybił. Jednego zabił, drugiego ciężko ranił. Sam przy tym dostał w nogi i pozostał na placu boju. Dwu innym młodym ludziom, buszującym wewnątrz banku, udało się uciec wraz z milionem sześciuset tysiącami franków. Anton Miller siedząc przy kierownicy skradzionego mercedesa dokonywał cudów zręczności zanim zmylili pogoń. Ale cóż z tego? Dwaj młodzi durnie w dwa tygodnie później dali się złapać w Bordeaux. Najwidoczniej umieli się poruszać wyłącznie w miastach portowych. Ujęto ich jedynie dlatego, że bez opamiętania szastali pieniędzmi. Skończyło się na tym, że po odzyskaniu zdrowia „strzelec” musiał się zapoznać praktycznie z działaniem gilotyny, zaś jego kumple z regulaminami francuskich więzień. A te regulaminy wcale nie są takie zabawne.

Pan Miller nie czekał na dalszy rozwój wypadków. Z pół milionem franków wylądował w Szwajcarii i tam właśnie został Antonem Millerem, mieszkańcem Zurychu. Miasta, o którym wiedeńscy twierdzą, że jest dużo smutniejsze i nudniejsze niż jakkolwiek z cmentarzy wiedeńskich. Na wszelki wypadek pan Miller gruntownie zmienił wygląd swojej twarzy. Jako syn byłego fryzjera, charakteryzatora w jednym z teatrów w Monachium, przez trzy lata, zanim prysnął z domu w szeroki świat, pomagał ojcu w tej robocie. Później nieraz przydały mu się te umiejętności. Zaangażowani do skoku ludzie nic o swoim bossie wprawdzie nie wiedzieli, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Od tamtej chwili noga Antona nie powstała we Francji.

Zdobyte pieniądze były zbyt małe, żeby wieść spokojny żywot bogatego rencisty. Zresztą taka egzystencja i tak marna sumka nie zadowalały ambicji świeżo upieczonego Szwajcara. Przejął od przyjaciela firmę handlową. Próbował robić najrozmaitsze interesy. Okazały się one dużo trudniejsze niż walki w dżunglach Wietnamu, Nigerii, czy też na algierskiej pustyni. Z biegiem czasu pan Miller nabywał doświadczenia, ale pieniądze topniały z błyskawiczną szybkością.

Pozostała ostatnia szansa. Gra va banque w Republice Południowej Afryki. Nic więc dziwnego, że Anton Miller stojąc w oknie swojego kapsztadzkiego hotelu nie rozkoszował się panoramą wielkiego miasta. Patrzył nie na widoki rozciągające się przed nim, lecz z troską w przyszłość

Rozdział II

Pokaż mi walizkę, powiem ci, kim jesteś

Niewesołe rozmyślania Antona Millera przerwało lekkie pukanie do drzwi. Stała w nich ta sama pokojówka, która tak bacznie przyglądała się nowemu gościowi na korytarzu.

— Przyszedłam rozpakować panu rzeczy.

— Proszę — Miller nie okazał zdziwienia, chociaż mimo wielu podróży po raz pierwszy zetknął się z taką usługą hotelową. To jednak dość proste. W wielkich, międzynarodowych hotelach, służba jest zazwyczaj na dwóch etatach. Tym oficjalnym i tym policji bezpieczeństwa. Odmowa nie miałaby najmniejszego sensu i tylko zaostrzyłaby ciekawość wiadomych panów. A służba hotelowa zawsze może zrewidować rzeczy gościa w czasie jego nieobecności w numerze. Swoją drogą policja Republiki Południowej Afryki jest bardzo operatywna, skoro interesuje się cudzoziemcem.

— Poproszę klucze od walizki.

— Nigdy jej nie zamykam. Żadnych skarbów tam nie wożę.

Dziewczyna otworzyła skórzaną walizkę i tak się pochyliła nad jej zawartością, że obserwujący ją mężczyzna mógł podziwiać zgrabne smukłe nogi na prawie całej ich długości. Były naprawdę bardzo ładne. Pokojówka знаła ich wartość i umiała je eksponować.

- Pan pierwszy raz w Kapsztadzie?
 - W ogóle pierwszy raz w waszym kraju.
 - Nie ma piękniejszego na świecie — zapewniła dziewczyna
- ale trochę za dużo tych czarnuchów. Mamy z nimi sporo kłopotów.

Miller przezornie ani nie przytaknął, ani nie zaprzeczył.

- Pan na długo do nas?
- Jeszcze nie wiem. Może na kilka dni, może na dłużej.
- Turysta?
- Jestem handlowcem.

— Dużo biznesmenów przyjeżdża teraz do nas. Kapsztad stał się wielkim centrum handlowo-przemysłowym — dziewczyna zręcznie wypakowywała zawartość walizki i układała rzeczy na półkach ściennej szafy znajdującej się w małym korytarzyku. — Nazywam się Mary Strijdom. Przyjaciele mówią do mnie Marietjie.

- A ja będę mógł panią nazywać Marietjie?
- O! Byłabym ogromnie rada.

Rzeczy już zajęły miejsca na półkach, dwa garnitury znalazły się na wieszakach w szafie, dziewczyna jednak nie kwapiła się do wyjścia.

— Radzę panu przebrać się w to lekkie, jasne ubranie. Na dworze jest gorąco. I niech pan dzisiaj zbyt dużo nie chodzi, a także proszę nie pić alkoholu. Trzeba się przyzwyczaić do naszego klimatu. Zrobił pan skok z zimy prosto w upalny koniec wiosny. Pan bezpośrednio z Zurychu?

„Powiedziała »z Zurychu« — przemknęło Millerowi po głowie — a więc interesują się mną. Pokojówka otrzymała dokładne zlecenia od swoich mocodawców. Trzeba prowadzić tę grę i być bardzo ostrożnym”.

— Jechałem dwa dni — odpowiedział zgodnie z prawdą — bo zatrzymałem się w Egipcie. Z Zurychu nie ma bezpośredniego połączenia do Kapsztadu. A za rady bardzo pani dziękuję, Marietjie. Postaram się do nich zastosować. Teraz trochę pospaceruję po mieście, a jutro zajmę się nawiązywaniem kontaktów handlowych.

Jestem właścicielem firmy handlowej w Zurychu. Oto mój adres, gdyby pani kiedykolwiek zawitała do naszego miasta — Miller podał dziewczynie swój bilet wizytowy.

— Dziękuję, ale na razie nie wybieram się do Europy.

— Gdyby jednak...

Dziewczyna schowała karteczkę do kieszonki fartuszka. Miller milczał. Chcąc nie chcąc, panna Strijdom zaczęła się zbierać do wyjścia. Ściereczką od kurzu strzepnęła jeszcze jakiś niewidoczny pyłek na biurku i stojąc we drzwiach dorzuciła:

— Gdyby pan czegoś potrzebował, proszę dzwonić. Mam służbę do dziesiątej, ale mogę zostać dłużej.

Była to niedwuznaczna oferta. Anton skwitował ją krótko:

— Dziękuję, Marietjje.

— Proszę dzwonić — powtórzyła pokojówka. — A na którą zamówić panu śniadanie do pokoju?

— Dziękuję. Wstaję zwykle o siódmej, ale wolę zjeść śniadanie na dole, a nie w pokoju.

— Jak pan sobie życzy.

Po odejściu dziewczyny Miller poważnie się zastanowił. Marietjje koniecznie chciała się znaleźć w jego łóżku. Jako mężczyzna nie miał nic przeciwko małej przygodzie ze zgrabną pokojówką. Ale to wszystko było dość niezwykle. Czyżby dziewczyna dorabiała sobie uprawianiem hotelowej prostytutcji? To raczej wykluczone. Hotele z czterema gwiazdkami nie tolerują żadnej poufałości służby z gośćmi. Dziewczyna straciłaby natychmiast pracę. Zapewne działała według udzielonej jej instrukcji. Wiadomo, ważne wiadomości kobieta najłatwiej zdobywa w łóżku kochanka. Ale dlaczego tak się policja bezpieczeństwa interesuje skromną osobą Antona Millera? Co mogą o nim już wiedzieć i czego szukają? Wszystkie dokumenty ma we wzorowym porządku. Przez ostatnie lata nie zajmował się niczym podejrzanym, jeśli nie liczyć tych drobnych prób z przemytem papierosów czy też zupełnie nieudaną operacją z tureckim opium. Może sprawa marsylska? Nie, to wprost niemożliwe! Gdyby wpadli na

jego trop, Interpol zwinąłby go już dawno w Szwajcarii. A więc co? Przecież nie nagła miłość od pierwszego wejrzenia. W takie głupstwa Anton Miller nie wierzył od dawna. Umiał uwodzić kobiety, umiał się im podobać. Nieraz bardzo dużo im zawdzięczał, ale tutaj to wszystko szło za szybko i trochę zbyt nachalnie.

Skorzystał jednak z dobrych rad dziewczyny. Pozbył się swojego popielatego, dość ciepłego garnitur, wziął prysznic i w lekkim ubraniu z tropiku wyszedł na ulice Kapsztadu. Trochę spacerował starając się zapoznać z topografią miasta. Następnie kazał się obwieźć po Kapsztadzie taksówką. Na pewno nikt go nie śledził. Pod tym względem pan Miller miał dobre rozeznanie i każdego agenta policji rozpoznawał na pierwszy rzut oka. Długoletnia praktyka robi swoje. Kierowca taksówki, zadowolony z intratnego kursu, namówił swojego pasażera na odwiedzenie False Bay, którą reklamował jako najpiękniejszą plażę w całej Afryce. Tutaj pan Miller wstąpił do kawiarni, aby napić się modnej kawy. Marietje nie kłamała, zmiana klimatu zaczynała cudzoziemcowi dawać się we znaki. Głowa robiła się coraz cięższa, a krople potu coraz szybciej występowały na czoło. Zmęczenie podróżą także się potęgowało. Anton uznał zatem, że najlepiej zrobi wracając do hotelu. Na pokojówkę nie zadzwonił. Nawet ze względów fizjologicznych. A poza tym nie zwykł płacić za coś, co zawsze otrzymywał za darmo. Położył się wcześniej spać i obudził o świcie. Znowu czuł się znakomicie. Organizm szybko zaakceptował zmianę długości geograficznej i inny klimat. Najwidoczniej wiele lat przebywania w tropiku zahartowały jego ciało. Nie wstawał jednak. Leżąc na wygodnym tapczanie rozmyślał, w którą stronę skierować pierwsze kroki? Postanowił, że odwiedzi kilka dużych firm handlowych i rozpocznie z nimi rozmowy jak najbardziej oficjalne. Trzeba zobaczyć, co z tego wyjdzie? Dopiero potem można będzie poruszyć bardziej ciekawe tematy, jak dostawy towarów objętych sankcjami gospodarczymi.

O siódmej godzinie rozległ się lekki chrobot klucza przekręcanego w zamku. Marietjie weszła, a raczej cichutko wśliznęła się do pokoju. Nie miała na sobie zwykłego stroju pokojówek, ale kolorową, dobrze uszytą sukieneczkę.

— Pan już nie śpi?

— Mówiłem, że wstaję zwykle o siódmej.

— Wczoraj pan nie zadzwonił. Czekałam — w głosie dziewczyny dźwięczał żal.

— Niczego nie potrzebowałam — roześmiał się Anton — trochę pospacerowałam po mieście i wcześniej położyłem się spać. Spałem jak zabity.

— To dobrze, że pan wypoczął. Teraz przygotuję panu kąpiel — dziewczyna znikła w drzwiach łazienki, skąd wkrótce rozległ się szum wody nalewanej do wanny.

— Kąpiel gotowa!

Miller wstał z tapczanu i przeszedł do łazienki. Chciał za sobą zamknąć drzwi, ale dziewczyna weszła za nim i podchodząc zupełnie blisko zaczęła rozpinąć mu guziki od pidżamy.

— Ta wanna — szepnęła — jest tak duża, że zmieścimy się oboje.

Kiedy już uspokojeni, odpoczywali na tapczanie, Marietjie delikatnie głaszcząc ciało kochanka powiedziała:

— Od pierwszego momentu, kiedy zobaczyłam cię tam, na korytarzu, postanowiłam, że musisz być moim. Tak bardzo mi się podobałeś. A ty niedobry, nie zadzwoniłeś. Straciliśmy jedną noc.

— Będziemy ich mieli jeszcze wiele przed sobą — roześmiał się Anton.

— Tylko nie myśl, że lecę na twoje pieniądze. Wiem, że nie jesteś bogaty.

— Co? — zdziwił się Miller.

— Nie jesteś bogaty — powtórzyła dziewczyna, chociaż chcesz za takiego uchodzić. Możesz udawać przed wszystkimi, ale nie przede mną.

— Tak myślisz?

— Rozpakowywałam twoje rzeczy. Masz ładne garnitury, ale to gotowa konfekcja, kupiona w jakiejś szwajcarskiej firmie. Bogaci ludzie nie tylko ubrania, ale także koszule szyją na zamówienie.

— Przesada.

— Koszule może nie wszyscy sobie szyją — zgodziła się Marietjie — ale ty masz ich po prostu za dużo.

— To źle? Przecież właśnie to świadczy o zamożności człowieka.

— Może o zamożności, ale nie o prawdziwym bogactwie. Milionerzy, jeżeli podróżują po krajach cywilizowanych, mają ze sobą najwyżej po jednej zmianie bielizny, po jednej parze skarpetek i... książeczkę czekową. Co im potrzeba, kupują w miejscowych sklepach. Wyjeżdżając, cały ten kram zostawiają w pokoju hotelowym, nawet gdyby mieli się przenieść do sąsiedniego miasta. Wyjątki robi się jedynie dla garniturów i obuwia. A także, jeżeli podróżuje się samochodem.

— Ciekawą masz filozofię.

— To nie filozofia, a po prostu doświadczenie. Podobasz mi się i jest mi wszystko jedno, kim jesteś. Możesz być nawet szturem hotelowym.

— Tak źle ze mną nie jest.

— Ale musisz przyznać, że cię dobrze rozszyfrowałam.

— W pewnym stopniu — zgodził się Anton Miller — rzeczywiście, nie jestem jeszcze milionerem, ale po prostu solidnym, szwajcarskim biznesmenem. To przecież łatwo sprawdzić. Wystarczy, żeby ten, kto się tymi sprawami interesuje, zatelefonował pod numer mojej firmy w Zurychu. Albo tylko zajrzał do książeczki telefonicznej tego miasta. Chyba nie zgubiłaś mojej wizytówki? Zresztą mogę ci dać drugą.

Dziewczyna usiadła na tapczanie.

— Za kogo ty mnie masz!

— Za ładną, miłą babeczkę.

— Mylisz się. Wprawdzie policja nieraz żąda od nas rozmaitego rodzaju informacji o różnych ludziach mieszkających w naszym hotelu, ale ja takich wiadomości nie zdobywałam nigdy w łóżku. Kładę się tam z tymi, którzy mi się podobają. A co do ciebie, jesteś chyba za małym pionkiem, żeby tak od razu się tobą zainteresowano. Jak będą chcieli, inaczej cię wypróbują.

Marietjie podniosła się z tapczanu, ale Anton prawie siłą ją zatrzymał, położył i znowu zaczął pieścić. Początkowo usiłowała się bronić. Ale krótko.

— Jestem głupia, bardzo głupia — szeptała — powinnam wyjść stąd natychmiast. Ale ty mi się tak podobasz, jak jeszcze nigdy nikt.

— Zaczynam ci wierzyć.

— Musisz. Skąd masz tę bliznę na prawym udzie?

— To nóż pewnego Murzyna w Zairze. Ale on już nie żyje.

— A te ślady ran na piersi?

— Pamiątka z Nigerii.

— Czerwona szrama na plecach?

— To stara historia. Wietnam.

— Z twojego ciała można się uczyć geografii — roześmiała się dziewczyna — masz także krechę na policzku. To ci jednak nawet dodaje uroku.

— Jedyne wspomnienie z pewnej marynarskiej knajpy w Rotterdamie. Nic ważnego. Mała bójka po pijanemu i kastet, przed którym nie zdążyłem się uchylić. Zawadził mnie samym końcem żelaza.

— I tak ma wyglądać poważny szwajcarski biznesmen?

— Naprawdę nim jestem. Na starość ludzie ustatkowują się i poważnieją. Zaczynają rozumieć, że człowiek ma tylko jedno życie i że w końcu trzeba się wziąć za spokojniejsze i bardziej zyskowe interesy.

— Przyjechałeś szukać takich interesów w Kapsztadzie?

— Tak. Mam nadzieję, że je znajdę.

— Uprzedzam. Nie wdawaj się w kupno diamentów!

— Dlaczego? Czy handel diamentami może być gorszy od handlu na przykład ropą naftową?

— Firma de Beers ma monopol na eksploatację pól diamentowych i na handel tymi kamieniami.

— Ale na pewno istnieje czarny rynek?

— Murzyni pracujący w kopalniach, a także i biali, naturalnie starają się skraść co cenniejsze okazy diamentów. Niektórym to się udaje. Trudno jest ukraść, ale jeszcze trudniej sprzedać i wywieźć za granicę. Tu działają wspólnie koncern de Beers i policja.

— Diament łatwo ukryć.

— Poradzono sobie i z tym. Każdy podejrzany, a przede wszystkim każdy cudzoziemiec, którego można posądzić o chęć wzbogacenia się bez zgody de Beers, może oczekiwać wizyty ludzi, proponujących mu kupno diamentów po śmiesznie niskiej cenie. Ty chyba także doczekasz się takiej wizyty. Może Murzynów, może białych. Albo i białych, i Murzynów.

— Te diamenty są fałszywe?

— Są jak najprawdziwsze. I bardzo piękne w swoim gatunku. Jednakże w parę godzin czy nawet w parę minut po takiej transakcji zjawia się policja. Konfiskuje diamenty, które z powrotem trafiają do firmy de Beers, zaś chciwy amator łatwego zarobku wędruje do więzienia. Jeżeli jest dostatecznie bogaty, płaci wysoką grzywnę i zostaje wydalony z naszej republiki. Biedniejszy musi spędzić co najmniej dwa lata w miejscowym więzieniu. Takim ludziom i ewentualnym ich naśladowcom odchodzi chęćka robienia tego rodzaju interesów. Widziałam już dużo naszych gości opuszczających w ten sposób hotel „Intercontinental”.

— Sprytne — zauważył Miller.

— Pamiętaj. Uprzedziłam cię. Nie daj się złapać.

— Bądź spokojna. Diamenty mnie nie interesują. Nie znam się na nich. Dla mnie to tylko szarego koloru na wpół przezroczyste kamyki. Ale pomimo tych metod, przemysł diamentów z Republiki Południowej Afryki nadal istnieje.

— Czasami komuś uda się trafić na prawdziwego złodzieja, a nie na prowokatora. Poza tym istnieją doskonale zorganizowane gangi. Mają oni swoich ludzi w kopalniach i w biurach de Beers, a na pewno także i w policji. Ale i gangi, równie jak koncern, nie lubią konkurencji, chociaż te sprawy załatwiają inaczej. Jakiś wypadek samochodowy, źle izolowana lampa, kula lub nóż. Nikt nigdy nie znajdzie sprawcy, nikt go zresztą naprawdę nie szuka.

— To bardzo przyjemne.

— Więc uważaj. Tym razem nie skończyłoby się na nowej bliźnie, pamiętce z Południowej Afryki.

— Bądź spokojna. Zajmuję się wyłącznie jak najbardziej legalnymi interesami.

— No to dobrze — Marietjie niezbyt wierzyła tym zapewnieniom.

— Już dziesiąta — zauważył w pewnej chwili Anton.

— O Boże! — przestraszyła się dziewczyna — jeżeli mnie ktokolwiek zobaczy wychodzącą z twojego pokoju, wyleją mnie z pracy — zerwała się z tapczanu i zaczęła się pośpiesznie ubierać. — Kiedy mogę przyjść? Może ty dasz mi znać. Dzisiaj mam nocny dyżur. Zaczynam o dziesiątej.

— To od razu przyjdź do mnie — Millerowi coraz bardziej podobała się ta dziewczyna tak szczerą w swoim uczuciu i tak odważną w miłości. Może naprawdę nie udaje i nie przyszła do niego służbowo?

— W czasie dyżuru to wykluczone. Nawet gdybyś zadzwonił, nie mogłabym przyjść na dłużej niż na kilka minut.

— To jak?

— Jutro cały dzień mam wolny. Spotkamy się po południu i zabiorę cię na Peninsula Road. Tam jest piękna dzika plaża, a jedzie się przez Clifton, Camps Bay i Bakoven. Zobaczysz najładniejsze okolice naszego miasta.

— Czym pojedziemy? Zamówić taksówkę, a może wynająć samochód?

— Nie trzeba. Mam starego volkswagena, ale jeszcze na chodzie.

— To spotkajmy się w jakiejś restauracji. Zjemy obiad i potem pojedziemy na tę plażę, dobrze?

— Chętnie. Jesteś naprawdę miły.

— Gdzie się spotkamy?

— Niedaleko, na tej samej Adderley Street znajduje się restauracja „Astoria”. Prawie po przeciwnej stronie naszego hotelu.

— Wiem, widziałem ją. Stary lokal z dębowymi stropami i ciemnymi ścianami.

— To wszystko zręczne oszustwo dekoratora. Ta niewielka restauracyjka otworzona została zaledwie przed kilku laty. Dawniej był tam duży sklep obuwniczy. Ale to dość ekskluzywny lokal i podobno drogi. Nigdy tam nie byłam.

— No to razem go zwiedzimy. A co do cen, wprawdzie, jak twierdzisz, nie jestem milionerem, stać mnie jednak na zabranie do knajpy ładnej dziewczyny. O której mam tam jutro czekać na ciebie?

— Przyjdź o drugiej. Gdybym się trochę spóźniła, poczekaj. Mieszkam aż w Rondebosh. To cicha, spokojna dzielnica Kapsztadu, ale dość oddalona od centrum miasta. Mogę trafić na korki uliczne albo mieć kłopoty z zaparkowaniem w pobliżu „Astorii”, a na parkingu hotelowym nie chcę stawiać samochodu.

— Nie bój się. Będę czekał.

Dziewczyna ostrożnie otworzyła drzwi prowadzące na korytarz. Chwilę badała teren i szybko wybiegła z pokoju.

Ubierając się Anton Miller z przyjemnością myślał, że chociaż dobiega pięćdziesiątki, to jednak ciągle podoba się młodym dziewczynom. Przecież Marietje jest od niego młodsza o co najmniej dwadzieścia pięć lat. A swoją drogą wykazała mu, że popełnił poważny błąd z tymi nowymi garniturami i stosem koszul przytaszczonych aż z Zurychu. Na drugi raz trzeba być ostrożniejszym. Jak cię widzą, tak cię piszą.

Jadąc do Kapsztadu Miller zebrał trochę informacji o tutejszych firmach handlowych. Przyszykował też kilkanaście ofert na dostawy szwajcarskich produktów przemysłowych. Naturalnie wszystko towary legalne, takie, które mogłyby być wstępem do dalszych rozmów już na tematy bardziej konkretne. Przede wszystkim należy nawiązać znajomości i zyskać zaufanie.

Rozdział III

Pięć małych kamyków

Cztery następne dni Anton Miller spędził pracowicie. Odwiedzał firmy handlowe i wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe, konferował z wieloma ludźmi, składał oferty. Słowem zachowywał się tak, jak się powinien zachowywać poważny handlowiec rodem z Zurychu.

Rezultaty tych spotkań były jednak bardzo mizerne. Przyjmowano go grzecznie, częstowano kawą i kieliszkiem koniaku, wysłuchiowano jego propozycji, ale oświadczano, że firmy mają swoich stałych dostawców lub w ogóle nie interesują się importem z Europy. Nikogo nie skusiły niskie ceny ofert składanych przez pana Millera. Gdy zaś Szwajcar usiłował sprowadzić rozmowę na dostawy towarów objętych sankcjami, rozmówcy udawali, że nie rozumieją, o co chodzi lub gwałtownie przerywali dalsze rokowania. Ten rodzaj importu szedł widocznie do Kapsztadu innymi kanałami, do których Millerowi nie udało się dotrzeć.

Jedynie dwie firmy zainteresowały się zuryskim biznesmenem i złożyły niewielkie zamówienia. Jedna na aparaturę pomiarową, druga na lakiery antykorozyjne. Ewentualny zysk z tych transakcji był tak minimalny, że nawet nie pokrywał kosztów biletów lotniczych Zurych-Kapsztad i z powrotem. Wprawdzie dyrektorzy tych firm zapewniali Millera, że po próbnym zamówieniu poważnie zwiększą

zakupy, ale to wszystko nie było tym, o czym marzył przybysz z Europy.

Gdyby nie Marietjie, która jak mogła, tak umiała Antonowi pobyt w Kapsztadzie, Szwajcar gotów był uznać wypad do Południowej Afryki za kolejny niewypał. Ale najpiękniejsza i najbardziej uczynna kochanka nie może przecież zastąpić mężczyźnie pieniędzy. Zwłaszcza wówczas, kiedy zapasy gotówki kurczą się z przerażającą szybkością, a nadzieje na nowe wpływy stają się coraz bardziej mgliste. Pan Miller był coraz mocniej rozdrażniony. Bogu ducha winnemu kelnerowi w hotelowej kawiarni dostało się, że przyniósł, zdaniem Millera, nie dość gorącą kawę, a czerwone wino z lodu. Aż szef sali musiał przeproszać krewkiego cudzoziemca.

Piątego dnia po południu, kiedy Anton Miller poważnie zastanawiał się, czy po prostu nie zamówić biletu lotniczego do Europy na najbliższy samolot, usłyszał delikatne pukanie do drzwi. Kiedy je otworzył, do pokoju weszło dwóch panów. Jeden biały, drugi Murzyn. Ten pierwszy był jakiś dziwnie mały i pokraczny. Miał szczurzą twarzyczkę z przylepionym na niej fałszywym uśmiechem. Drugi, jak na Murzyna dość jasnej karnacji, był za to barczystym i silnie zbudowanym mężczyzną.

— Może pan być spokojny — powiedział biały — nikt nas nie widział wchodzących do hotelu. Nie jechaliśmy windą, a wdrapaliśmy się schodami na dziewiąte piętro.

— Panowie w jakiej sprawie?

— Niech pan patrzy — wymoczek położył na stole pięć niewielkich szarych kamyków i udając przestraszony oglądał się po pokoju, czy nikt go nie obserwuje z ukradka.

— Co to jest?

— To jest skarb — roześmiał się Murzyn — diamenty czystej wody. Mało takich kamieni znajduje się w skarbcu koncernu do Beers? Mój brat znalazł je, pracuje w jednej z kopalń w Transwalu. Kiedy je wykopał, a wszystkie stanowiły jedno gniazdko, od razu je

połknął. Udało się. Nikt nie zauważył. Brat jest skoszarowany w baraku przy kopalni. Nie wolno robotnikom opuszczać terenu ogrodzonego. Ale i na to znaleźliśmy sposób. Ten pan, biały, ale przyjaciel nas, Murzynów, pomógł przewieźć diamenty do Kapsztadu. Da pan za nie pięć tysięcy dolarów i są pańskie. W Holandii każdy jubiler zapłaci za nie co najmniej cztery razy więcej. A po oszlifowaniu będą warte po dziesięć tysięcy dolarów każdy kamyk.

— Nie dam — krótko odpowiedział Miller. Już na pierwszy rzut oka ocenił, że naprawdę te diamenty są dużo warte. Kto wie, gdyby nie ostrzeżenie Marietjie, może dałby się skusić?

— Rozumiem — z kolei biały wymoczek zabrał głos — pan nie ma przy sobie takiej gotówki. Da nam pan czek albo nawet weksel. Mamy zaufanie do Szwajcarów i wiemy, że to uczciwi ludzie, którzy nie skrzywdzą biednych Murzynów. Im i bez tego ciężko żyć w tym kraju. Te pięć tysięcy dolarów to dla nich nie tylko majątek. To po prostu wolność i możliwość wydobycia się z piekła, w jakim muszą egzystować.

— Weźcie te kamienie i szukajcie głupszego ode mnie.

— Pan się boi, że to fałszywe? Zostawimy je panu do jutra. W Kapsztadzie prawie każdy mieszkaniec zna się na diamentach. Wystarczy, że pan je pokaże komukolwiek, każdy przyzna, że to wspaniałe diamenty. Po oszlifowaniu będą z nich prawdziwe blaufuksy.

— Jeszcze raz powtarzam, zabierzcie to. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— Pan nam ciągle nie wierzy — Murzyn uśmiechał się dobrotliwie — a my przeciwnie, mamy do pana pełne zaufanie. Jutro, kiedy przyjdziemy tutaj, będzie pan nam dziękował, że udało się panu zrobić tak wspaniały interes. A co do wywiezienia diamentów do Europy, nie będzie pan miał najmniejszych trudności. Tak łatwo schować te małe cacka. Obywatela szwajcarskiego nikt nie rewiduje na lotnisku.

— Albo bierzecie te kamienie, albo je zaraz wyrzucę przez okno — to mówiąc Miller wziął w rękę szare kamyki i podszedł do otwartego okna. Zrobił ruch jakby rzeczywiście wyrzucał diamenty na podwórze hotelu.

— Ani mi się waź! — krzyknął Murzyn i z pięściami rzucił się na Millera. Ale ten był szybszy. Nie wypuszczając diamentów z ręki, krótkim sierpem trafił przeciwnika w szczękę. W języku bokserskim takie uderzenie nazywa się „trafieniem na punkt”. Murzyn jak worek piasku miękko osunął się na dywan.

— Ty kanalio! — krzyknął biały i sięgnął do kieszeni. Ale i tym razem Anton Miller ubiegł go. Ileż to on razy brał udział w takich spotkaniach? Wiedział więc, jak się walczy z przeciwnikiem sięgającym po broń. Kopnięcie w podbrzusze zgięło białego wymoczka w pół. Uderzenie kantem dłoni w szyję było już tylko dopełnieniem formalności.

Miller spokojnie, bez pośpiechu, wyciągnął sznury dwóch lamp z kontaktów i tymi kablami fachowo związał obu nieprzytomnych napastników. Następnie ich zrewidował. U Murzyna znalazł drugi pistolet. Obaj także mieli prawa jazdy. Z nich Szwajcar spisał personalia prowokatorów. Biały nazywał się Wilhelm Eindhoven. W prawie jazdy Murzyna figurowało nazwisko Thomas Malan.

Miller położył na stole diamenty, pistolety i dokumenty napastników i wyszukał w książce telefonicznej numer redakcji „Evening Star” popularnej, sensacyjnej popołudniówki kapsztadzkiej. Kiedy uzyskał połączenie z redakcją, powiedział:

— Moje nazwisko Anton Miller. Jestem obywatelem szwajcarskim, handlowcem z Zurychu. Mieszkam w „Intercontinentalu” w pokoju dziewięćset dwadzieścia siedem. Przed chwilą odwiedziło mnie dwóch ludzi: Murzyn i biały. Najpierw usiłowali mi sprzedać jakieś kamyki. Mówili, że to diamenty pochodzące z kradzieży. Kiedy odmówiłem, zaczęli mi grozić i sięgnęli za broń. Udało mi się obu

bandytów rozbroić i związać. Możebyście się zainteresowali tą sprawą i przysłali tutaj jakiegoś reportera, no i fotografa?

— Już jedziemy — dyżurny redaktor był najwidoczniej uszczęśliwiony szlagierem, który sam mu wpada w ręce — czy pan zawiadomił policję o napadzie?

— Jeszcze nie.

— A mógłby pan z tym poczekać z dziesięć minut. Wolelibyśmy być u pana pierwsi.

— Doskonale — zgodził się Miller — mam także zanotowane nazwiska napastników i numery ich praw jazdy.

— Niech pan je nam od razu poda.

— Proszę. Biały to Wilhelm Eindhoven, zaś Murzyn nazywa się Thomas Malan.

— Dziękujemy, panie Miller. Nasza ekipa zjawi się u pana najdalej za dziesięć minut. Już wyjeżdżają.

Biały nadal leżał jak trup. Murzyn zaczynał odzyskiwać przytomność. Najpierw spróbował się poruszyć, następnie otworzył oczy i coraz bardziej przytomniejąc, zdał sobie sprawę z tego, że jest związany i leży na dywanie.

— Rozwiąż mnie, to ci nic nie zrobię — prosił — a te diamenty możesz zabrać.

— Zabierze je i ciebie policja. Właśnie do nich dzwonię.

— Głupi jesteś. Nie nam nie zrobią. Rozwiąż nas obu, to i ciebie zostawią w spokoju. Nie ryzykuj, bo to dla ciebie źle się skończy. Nie dla nas.

— Dobrze, dobrze! — Leż spokojnie, bo inaczej będę cię musiał drugi raz zaprawić. A już się przekonałeś, że umiem bić.

— Umiesz, ale poza tym jesteś głupi. Jeżeli nas nie rozwiązesz, nie darujemy ci tego.

Miller nie zwracając uwagi na pogróżki połączył się z recepcją hotelową.

— Dokonano na mnie napadu bandyckiego. Dwaj napastnicy najpierw chcieli mi sprzedać kradzione diamenty, potem usiłowali obrabować. Proszę zawiadomić policję.

— Załatwimy to we własnym zakresie — zaproponował szef recepcji — zaraz tam przyjdzie nasz hotelowy detektyw.

— Powtarzam, proszę natychmiast zawiadomić policję. Chciałbym też pana poinformować, że zawiadomiłem o napadzie redakcję „Evening Star”.

— To nie było potrzebne. Dlaczego pan to zrobił?

— Jedynie dlatego, żeby pan wezwał policję. Wiem, że nie odpowiada wam takie rozwiązanie, ale to zbyt poważna sprawa dla waszego hotelowego detektywa.

— Skoro pan sobie tego koniecznie życzy, zadzwonię. Ale czy tym ludziom nic się mie stało? Bo mógłby pan odpowiadać za przekroczenie obrony koniecznej.

— Niech pan będzie spokojny. Są cali i zdrowi. Związani jak dwa wieprze leżą na dywanie.

Dziennikarze byli pierwsi. Przyjechało ich aż trzech razem z fotografem, który z miejsca wziął się do roboty. W swoim canonie wypstrykał chyba cały film. Obfotografował pokój, a specjalnie zajmował się napastnikami, obydwaj, bo biały także odzyskał przytomność, na próżno usiłowali nie dopuścić do sfotografowania ich twarzy. Tymczasem dziennikarze skrzętnie notowali wyjaśnienia Antona Millera, który szczegółowo opisał przebieg napadu. Spisano personalia bandytów i zapisano numery ich pistoletów.

Dziennikarze byli w świetnych humorach. Doskonale orientowali się, kim są rzekomi bandyci i z jakiego źródła pochodzą te piękne diamenty leżące na stole. Ale nie istnieje na świecie gazeta, która nie miałaby różnych porachunków z policją. Teraz „Evening Star” trafiła się gratka wyrównania choć części tych porachunków.

Wreszcie zjawiała się i policja. Dwóch mundurowych i dwóch panów w cywilu. Tylko jeden z nich przedstawił się Millerowi jako inspektor Gerrit Gordimer. Aż zbladł ze złości widząc w pokoju przedstawicieli prasy.

— Co panowie tu robią? — ostro zapytał dziennikarzy.

— To, co powinna robić nasza dzielna i tak operatywna policja. Bandyci w biały dzień napadają na cudzoziemca w międzynarodowym

hotelu, a policja zjawia się dopiero w pół godziny po wezwaniu, chociaż gmach dyrekcji policji jest oddalony od „Intercontinentalu” o pięć minut drogi piechotą.

— Kto panów tu wezwał?

— Ja — spokojnie odpowiedział Miller.

— Dlaczego?

— Mamy taki zwyczaj w Szwajcarii. Tam się tak robi, żeby policja nie tuszowała sprawy. Bo u nas zdarzają się takie smutne przypadki.

— Panowie dziennikarze opuszczają pokój — rozkazał inspektor — proszę nie przeszkadzać w śledztwie.

— Dobrze. Będziemy czekać na korytarzu.

Inspektor kazał rozwiązać obu rzekomych handlarzy diamentami. Wysłuchał relacji Millera z przebiegu wypadków, a następnie rozpoczął przesłuchanie podejrzanych. Obaj musieli się przyznać, że usiłowali sprzedać cudzoziemcowi diamenty. Zaprzeczyli natomiast, że chcieli użyć siły wobec niego. To właśnie Miller, zamiast zapłacić za diamenty umówioną sumę chciał ich obrabować.

— Dlatego odebrałem im pistolety, związałem kablem, zawiadomiłem prasę i poleciłem służbie hotelowej wezwać policję — śmiał się Szwajcar — a w dodatku położyłem te diamenty na stole koło pistoletów znalezionych u tych bandytów. Gdzie na świecie znajdzie się taki dureń, który uwierzy w bajeczkę opowiedzianą przez tych drabów?

Chcąc nie chcąc, inspektor musiał przyznać rację Millerowi. Spisał krótki protokół z przebiegu wypadków i oświadczył cudzoziemcowi, że dalsze śledztwo będzie prowadzone przez odpowiednie władze. Być może, pan Miller otrzyma w najbliższych dniach wezwanie na przesłuchanie. Dla zachowania pozorów, inspektor polecił zakuć obu rzekomych bandytów w kajdanki, co dwaj mundurowi funkcjonariusze policji wykonali nader gorliwie i z prawdziwą przyjemnością. Mały orszak opuścił pokój hotelowy, by na korytarzu dostać się pod obstrzał kamery.

— Już my tę sprawę dobrze rozrobimy — zapewniał pana Millera jeden z reporterów — w pięty im pójdzie ta prowokacja — dziennikarz nie krył przed Szwajcarem, jakich to metod używa koncern de Beers i policja dla zwalczania nielegalnego handlu diamentami.

— Niech pan będzie spokojny — zapewniał drugi z przedstawicieli popołudniówki — nie dopuścimy, żeby pana spotkały jakiegokolwiek szykany. Jeszcze prasa trochę znaczy w tym kraju i władze muszą się z nami liczyć.

— Jestem zwykłym handlowcem — tłumaczył Anton Miller — przyjechałem tutaj z ciekawymi ofertami handlowymi, które zainteresowały waszych kupców. Prowadzimy rokowania w tych sprawach. Czegóż więc mam się obawiać?

— Gdyby jednak... Proszę być z nami w kontakcie.

Zaraz po odjeździe policji i prasy panu Millerowi złożył wizytę dyrektor hotelu. Długo przeproszał swojego gościa za nieprzyjemny incydent, który zdarzył się w „Intercontinentalu”. Jednak i dyrektor uważał, że wezwanie dziennikarzy było zupełnie niepotrzebne.

— Musiałem tak zrobić, bo wasz szef recepcji nie chciał zawiadomić policji o napadzie. Pozostawało mi tylko odwołanie się do prasy.

— Rozumiem szanownego pana — dyrektor cały giął się w ukłonach — a szefowi recepcji zaraz udzielię nagany.

— Nie trzeba. Proszę tego nie robić. Po prostu ten człowiek stracił głowę. Przecież nie co dzień zdarzają się w hotelu napady bandyckie.

— Jeszcze nigdy żadnego nie było — zapewniał dyrektor.

— Mam nadzieję, że ten był pierwszym i ostatnim.

— Szanowny pan zamierza dług u nas mieszkąć?

— Nie. Właśnie jutro się wyprowadzam. Poproszę o rachunek.

— Szkoda, że pan już nas opuszcza — w głosie dyrektora brzmiała radość przecząca treści słów — a co do rachunku, ze względu na przykrości jakie pana szanownego spotkały zapiszemy go na koszt handlowe.

— Jak pan uważa — zgodził się Miller.

— Jeszcze raz przepraszamy i proszę zapomnieć o tym przykrym incydencie.

— Nie ma o czym mówić. Jutro rano pokój będzie wolny.

Po odejściu dyrektora, do Millera przybiegła Marietjie. Właśnie tego dnia miała dyżur. Tych dwóch doskonale znała. Nieraz, zresztą za wiedzą i zgodą dyrekcji hotelu, odwiedzali przyjezdnych i proponowali im nabycie diamentów. Najczęściej do nielegalnych transakcji nie dochodziło, ale zdarzało się, że naiwny gość po wizycie tej pary wędrował do więzienia. Toteż nauczka, jaką otrzymali od Szwajcara, wzbudziła ogromną radość wśród całego personelu hotelowego.

— Miałeś świetny pomysł z tym „Evening Star”. Nie będą mogli zemścić się na tobie. Tych dwóch policja od razu zwolniła, to przecież jej ludzie. Ale co dostali, to dostali. Na terenie Kapsztadu są już spaleni.

— Jutro rano muszę się stąd wyprowadzić. Dyrektor hotelu niedwuznacznie dał mi do zrozumienia, że nie życzy sobie mojej obecności w „Intercontinentalu” i żebym się jak najprędzej wyniósł, nie chcąc nawet pieniędzy za dotychczasowy pobyt.

— Najchętniej zabrałabym cię do mnie. Ale to byłoby zbyt wielkim ryzykiem. Nie martw się jednak. W Rondebosh, niedaleko mojej kawalerki, znajduje się miły, spokojny hotel. Właścicielką jego jest pewna starsza pani. Przedtem pracowałam u niej. Na pewno nie będzie się bała wynająć ci pokoju. Zaraz do niej zatelefonuję. Nie ma tam wprawdzie takich luksusów jak w „Intercontinentalu”, ale pokoje są czyste i wygodne. A do mnie będziesz miał parę kroków. Niestety, dzisiaj, po skończonym dyżurze nie będę mogła przyjść do ciebie. Nasz hotelowy detektyw stale się kręci na naszym piętrze. Pewnie otrzymał polecenie obserwowania, co się u ciebie dzieje. Lepiej dzisiaj już nie wychodź ani do miasta, ani na dół. Każ sobie przynieść do numeru coś do jedzenia.

Wizyta dwóch prowokatorów wprowadziła Antona Millera w doskonały humor. Jak ręką odjął prysnęły wszystkie troski i obawy. Życie znowu stało się piękne. Jeszcze raz okazało się, że jest ciągle prawdziwym mężczyzną. Postanowił, że za pieniądze, które musiałby zapłacić za pobyt w hotelu, kupi Marietjie jakiś złoty drobiazg. Oglądał na Adderley Street wystawę jubilera. Tam leżały ładne i stosunkowo niedrogie rzeczy. Należy się to dziewczynie. Gdyby nie ona, kto wie, czy teraz zamiast w swoim pokoju, nie siedziałby w piwnicy, w gmachu dyrekcji policji.

Wieczorem do Millera zatelefonował naczelny redaktor „Evening Star”. Informował, że są czynione pewne naciski, aby zatuszować sprawę i żeby gazeta nic na ten temat nie pisała.

— Ale my się nie damy. Przygotowujemy taką bombę, że jutro cały Kapsztad będzie boki zrywał ze śmiechu z policji. Ani słowem nie wspomnimy, że to prowokacja, ale i tak wszyscy będą wiedzieli, co jest grane. A co u pana?

— Właśnie wylali mnie z hotelu. Wprawdzie zrobili to w dość grzecznej formie i nawet zrezygnowali z uregulowania rachunku, ale od jutra przenoszę się do Rondebosh.

— Dobrze, że pan nam to powiedział. Dostanie się od nas i „Intercontinentalowi”. Będziemy z panem w kontakcie. Gdyby pana spotkały jakieś przykrości, proszę nam zaraz dać znać. Potrafimy temu zaradzić. Nawet w rządzie są ludzie, którzy uważają, że policja zbyt się w naszym kraju rozzuchwaliła. Staje się państwem w państwie... Ale mam do pana prywatną prośbę.

— Jaką?

— Chciałbym pana osobiście poznać. Rzadko się zdarza, żeby ktoś tak się rozprawił z napastnikami.

— Było ich zaledwie dwóch.

— Ale pan był sam.

— Popełnili kardynalne błędy. Przede wszystkim znajdowali się za blisko mnie. Ten Murzyn leciał na mnie z wysuniętą do przodu głową. Jego szczeka była łatwym celem. Zaś biały stał tuż przy mnie.

W zasięgu nogi. No i dostał, co mu się należało. Będzie mnie wspominał jeszcze przez kilka dni. Nie kryje, że z nie jednego pieca chleb jadłem i takie sytuacje jak dzisiejsza, zdarzały się w moim życiu.

— Tym bardziej chciałbym pana poznać. Może jutro spotkamy się na kolacji?

— Bardzo mi będzie miło. Gdzie i o której godzinie?

Hotel na Rondebosh okazał się akurat takim, jak go opisała Marietjie, to jest cichym i spokojnym. Natomiast artykuł w „Evening Star” był wojowniczy. Reporterzy ze zgrozą opisywali, jak w jednym z najelegantszych hoteli Kapsztadu bezkarnie grasują murzyńscy bandyci, którzy do spółki z „białym marginesem” napadają na cudzoziemców, zaś dyrekcja hotelu nie znajduje na to innej rady, jak tylko wymawiać tym gościom pokoje. A policja w ogóle nie interesuje się bezpieczeństwem w mieście. Jest tak zajęta, że po wezwaniu na pomoc, zjawia się później niż to uczynili reporterzy dziennika. Artykuł był ilustrowany całą serią zdjęć zarówno napastników, jak i ekipy policyjnej. Nie zabrakło także fotografii „dzielnego Szwajcara”, który bez broni pokonał dwóch drabów uzbrojonych w pistolety. Opisując diamenty, a stawiano za pewnik, że zostały one skradzione w jednej z kopalń koncernu, gazeta żądała od de Beersa, aby wypłacił Antonowi Millerowi odpowiednią nagrodę za odzyskane kamienie.

Szef „Evening Star” był małym okrągłutkim człowiekiem o różowej łysinie. Entuzjastycznie powitał Millera i nie byłby rasowym dziennikarzem, gdyby nie usiłował wyciągnąć czegoś więcej od swojego gościa. Trafił jednak frant na franta. Miller chętnie opowiadał, jak to swego czasu, jako młody człowiek, uprawiał boks, brał udział w szkolnych zawodach pływackich i w biegach długodystansowych, co pozwoliło mu zachować kondycję fizyczną do dziś. Szwajcar także szeroko rozwodził się o swoich planach rozwinięcia stosunków handlowych z firmami południowoafrykańskimi, podkreślając jednocześnie trudności, z jakimi się spotkał w Kapsztadzie, gdzie rynek

opanowany jest przez Amerykanów i Japończyków, którzy oferują towary tańsze, ale gorsze niż te z Europy.

O towarach objętych różnymi sankcjami gospodarczymi nie było mowy. Miller w oczach dziennikarza chciał uchodzić za solidnego kupca, którego przypadek wpłatał w niemiłą dla niego incydent.

— Jestem pewien — śmiał się dziennikarz — że władze nie wezwą pana na oficjalne przesłuchanie. A koncern de Beers robiąc dobrą minę do złej gry, prześle panu list z podziękowaniem i załączy czek na tysiąc randów.

— Przekażę go waszej redakcji jako dar dla najbiedniejszych, według waszego uznania — zapewnił Anton Miller.

— To będzie ładne i zręczne z pana strony. Da to panu solidną reklamę w naszych kupieckich sferach.

— Oby tak było, bo przynaję, idzie mi tutaj jak po grudzie.

— A nawiązał pan kontakt z van den Ruyterem?

— Nie. Van den Ruyter? Kto to jest?

— Pieter van den Ruyter to najbogatszy chyba człowiek w Kapsztadzie i bodaj jeden z najzamożniejszych ludzi w całym państwie. Niezwykle rzutki i odważny biznesmen. Jest jak legendarny Midas, czegokolwiek się dotknie, w jego rękach zostaje złoto. Zaczynał przed laty bodaj z niczego. Dziś ma własny bank, udziały i akcje we wszystkich najważniejszych dziedzinach przemysłu. Nie zdziwiłbym się, gdyby i „Intercontinental” należał do niego.

— Van den Ruyter! To nazwisko kogoś mi przypomina. Czy to czasami nie taki wysoki jasny blondyn o szarych oczach i wyraźnie zarysowanym nosie?

— Blondynem on już dzisiaj nie jest. Moglibyśmy konkurować, który z nas ma większą łysinę. Ale nos jak słoniowa trąba ciągle mu pozostał. Pan go znał?

— Zetknąłem się z nim kiedyś przypadkowo.

— Tutaj w Kapsztadzie?

— Nie. Za granicą. W Kapsztadzie i w ogóle w Republice

Południowej Afryki jestem po raz pierwszy. Nie pamiętam już gdzie to było. Może Paryż, może Londyn? My, kupcy, chcąc zarobić na kawałek chleba, musimy stale podróżować. Poznajemy masę ludzi. Trudno mi więc powiedzieć, gdzie się zetknąłem z van den Ruyterem? To był zupełnie przypadkowy kontakt. Chyba na jakimś towarzyskim spotkaniu, gdzie nas obu zaproszono.

— Tym lepiej, że pan go kiedyś poznał. Do van den Ruytera trudno dotrzeć. Ma wprowadzić swoje biuro w centrum Kapsztadu, mieszka zaś w pałacyku, w ekskluzywnej dzielnicy miasta, Constantia, ale dostępu do tego nababa broni cały sztab urzędników i sekretarek osobistych. Trzeba sporo czasu i cierpliwości, żeby przedrzeć się przez tę zaporę.

— Mam nadzieję — Miller powiedział to niedbałym tonem — że uda mi się dotrzeć do tego pana dość prędko. Czy ciągle zajmuje się jachtingiem?

— On był kiedyś żeglarzem? Nic mi o tym nie wiadomo.

— Przypominam sobie, że w czasie naszego przypadkowego spotkania rozmawialiśmy właśnie o jachtach. To mi chyba posłuży jako pretekst do spotkania się z waszym przemysłowym rekinem.

— Niech się pan o to stara. Od tego człowieka i jego poparcia ogromnie dużo zależy.

Rozdział IV

„Mewa Południa”

Na drugi dzień, z samego rana, Anton Miller zatelefonował do biura van den Ruytera. Spotkał się z suchą odmową. Pan dyrektor dzisiaj jest bardzo zajęty, informował jakiś kobiecy głos, nikogo nie przyjmuje. Zaś jutro, w ogóle nie wiadomo, czy nie wyjedzie z Kapsztadu. Sekretarka proponowała, żeby pan Miller porozmawiał z którymś z zastępców przemysłowca.

— Niestety, muszę rozmawiać z panem van den Ruyterem — wyjaśnił Szwajcar — jeżeli pan dyrektor jest tak zajęty w biurze, chętnie odwiedzę go w jego willi, w Constantii. Pani powie panu dyrektorowi, że chce się z nim widzieć przyjaciół z „Mewy Południa”. To wystarczy. Zatelefonuję do pani o godzinie pierwszej po południu, żeby dowiedzieć się, o której mnie pan Ruyter może przyjąć. Dziękuję pani — Miller położył słuchawkę.

O godzinie pierwszej ta sama sekretarka poinformowała, że „pan dyrektor będzie oczekiwał pana Millera o szóstej w swoim domu”.

Punktualnie o tej godzinie służący wprowadził Szwajcara do elegancko urządzonego gabinetu. Zza biurka podniósł się łysawy mężczyzna. Wydatny nos był charakterystyczną cechą tej twarzy. Van den Ruyter, pomimo upalnego dnia, ubrany był w ciemny garnitur z jasnoszarym krawatem.

Na ukłon gościa odpowiedział lekkim skinieniem głowy i nie podając ręki wskazał Szwajcarowi fotel naprzeciwko siebie.

— Chciał się pan ze mną widzieć. Dlaczego? Nie przypominam sobie, żebyśmy się znali.

— Stare dzieje! — roześmiał się Anton Miller swobodnie sadowiac się na wskazanym mu miejscu. — Jeszcze z epoki pięknego jachtu „Mewa Południa”. Tak się bowiem nazywał w tamtych czasach. Czy jeszcze istnieje? Przyjechałem do Kapsztadu i chyba nic dziwnego, że postanowiłem odwiedzić dawnego znajomego.

— To szantaż, panie Miller?

— Nigdy nie robię tak małych interesów.

— A więc? Ciągle nie mogę sobie przypomnieć. Pańskie nazwisko nic mi nie mówi.

— Ludzie zmieniają ubrania, zmieniają czasami także nazwiska. Ale postaram się odświeżyć pańskie wspomnienia. Było to w 1970 roku w Nigerii. Tuż przed upadkiem ostatniego punktu oporu rejonu Biafry, miasta Enugu. Port Harcourt już był zdobyty przez wojska Gonowana. Na samym skraju Nigerii, przy granicy z Kamerunem, pozostał jedynie wąski pas plaży. Była ciemna noc. „Mewa Południa” podплыnęła jak najbliżej brzegu. Z daleka widać było światła łodzi pościgowych generała Gonowana. W tę noc podплынаłem dwoma łódkami do pańskiego jachtu. Pan stał oparty o burtę. Ja znajdowałem się obok, ale w łodzi. Murzyni, jak mogli najspieszniej, przeładowywali skrzynie z bronią. Ostatni transport, żeby obronić lotnisko, aby z niego pułkownik Obote i jego sztab mogli odlecieć do tych, którzy zorganizowali secesję plemienia Ibów. Po skończonym przeładunku podałem panu teczkę z pieniędzmi. Nie było wtedy czasu na ich liczenie, bo kutry Gonowana znajdowały się niebezpiecznie blisko. A mogłem panu zapłacić nie dolarami. Wystarczyła jedna kula. Przecież miałem broń w ręku.

— Ja także nie zdejmowałem palca z cyngla pistoletu — roześmiał się van den Ruyter — nie wiadomo, kto byłby pierwszy. A gdybym od razu strzelił, nie trzeba byłoby wtedy wyładowywać z

jachtu tych ciężkich skrzyń, na które znalazłby się kupiec i gdzie indziej.

— Obaj jesteśmy gentlemanami i dlatego obaj tu teraz siedzimy. Swoją drogą wątpilem wówczas, czy panu się uda uciec. Ścigacze Gonowana zbliżyły się na odległość strzału. Pamiętam, że kiedy wypływaliście na pełne morze, otworzyli do was ogień.

— „Mewa Południa” miała dobry silnik i była szybsza. Zaś Murzyni bardzo źle strzelali.

— Teraz robią to dużo lepiej. Widziałem ich w akcji w Rodezji.

— A co się z panem działo później w Nigerii?

— Byłem głupi. Aż do końca stałem przy boku pułkownika. Nawet dłużej niż do końca, bo kiedy ostatnie samoloty startowały z Biafry, ja z garstką wiernych Ibów osłaniałem lotnisko. Potem o głodzie i w brudzie przez dwa tygodnie przedzierałem się przez dżunglę do Kamerunu. Jedyne, czego się wtedy dorobiłem, to blizny na lewym udzie.

— Tak. Dopiero teraz pana poznaję. Ale czy to nie pan jest bohaterem tej historyjki w „Intercontinentalu”?

— Mnie się to przydarzyło.

— Jak się to skończyło? Czy domyśla się pan, że wszystko od początku do końca było prowokacją?

— Wiedziałem o tym od momentu, kiedy ci dwaj panowie znaleźli się w moim pokoju. Ale trochę nudno w tym Kapsztadzie i postanowiłem się zabawić. A koniec? Po prostu wylano mnie z hotelu.

— To świństwo. Zaraz to załatwię — van den Ruyter sięgnął do telefonu.

— Nie warto. Przeprowadziłem się na Rondebosh. Jest mi tam zupełnie dobrze.

— Jak pan chce. Czym można pana poczęstować?

W tym momencie Anton Miller już wiedział, że wygrał. Został przez tego przemysłowca uznany za swojego. Może jeszcze nie za partnera do interesów, ale za równego sobie. Odpowiedział z całą powagą:

— Pamiętam, że na „Mewie Południa” parę razy piliśmy koniak. Hennessy. Może więc i dzisiaj?

Van den Ruyter nacisnął guzik dzwonka. Kiedy służący stanął w drzwiach, polecił mu:

— Dwie kawy i butelkę hennessy.

Kiedy kawa i koniak znalazły się na stole, Afrykaner zapytał:

— Co pana do nas sprowadza?

— Interesy. Po prostu interesy. Na stare lata zrobiłem się handlowcem. Mam w Zurychu firmę handlową „Züricher Import-Export Gesellschaft m. B.H.”

— Czym się zajmuje pańska firma?

— Wszystkim. Sprawy niemożliwe realizujemy od ręki, cuda w trzy dni.

— A tutaj w Kapsztadzie?

— Przywiozłem trochę ofert. Takich dla zachowania pozorów. W rzeczywistości szukam jakiegoś dobrego interesu.

— Jakiego?

Miller wiedział, że z dawnym przemytnikiem broni można być szczerym i spokojnie wyjaśnić:

— Może ropa naftowa? Może to samo, co w Nigerii, lecz w większym stylu i w innym kierunku. Może jakieś materiały rozszczepialne? Nie znam waszego rynku. Nie wiem, czego najbardziej potrzebujecie.

— Nic z tych rzeczy. Z ropą było rzeczywiście u nas bardzo krucho. Ale teraz płynie ona ustalonymi kanałami w każdej potrzebnej nam ilości. Uranu mamy aż za dużo. Zresztą jesteśmy państwem nastawionym pokojowo i jedynie pragniemy, żeby nikt nas nie zaczepiał. Broń także produkujemy sami i nawet ją eksportujemy.

— Do państw czarnej Afryki?

— Do każdego, kto dobrze zapłaci. Z państwami murzyńskimi chcemy żyć w zgodzie, a i możemy im pomagać pod warunkiem, że nie będą się wtrącać w nasze wewnętrzne sprawy i zostawią w spokoju naszych czarnuchów.

— Co zatem pan by proponował?

Van den Ruyter namyślał się albo udawał, że się namyśla.

— Jest jeden interes — powiedział — ale diablo trudno. Próbowaliśmy już na wszystkie strony i niewiele z tego wyszło.

— Nieraz wielu próbuje, a jednemu to się uda. Moglibyśmy zaryzykować — Miller specjalnie zaakcentował słowo „moglibyśmy”.

— Wolfram — odpowiedział gospodarz ponownie napelniając kieliszki.

— Wolfram? — powtórzył Miller.

— Tak. Chodzi o dostawy wolframu dla naszego rozbudowanego przemysłu stalowego. Kupujemy wolfram w minimalnych ilościach. Sprzedają nam jak z łaski. Ledwie starcza do produkcji żarówek. Głównie Amerykanie, ale ostatnio po tym szumie z Namibią, robią to coraz niechętniej. A my potrzebujemy dużo wolframu.

Anton Miller miał ten rodzaj pamięci, która jak komputer, w razie potrzeby wydobywa z bębna odpowiednie informacje. Teraz błyskawicznie uświadomił sobie, że wolfram jest szarym metalem o najwyższym w przyrodzie współczynniku topliwości. Gdzieś ponad trzy tysiące kilkaset stopni powyżej zera. A jednocześnie nawet drobna domieszka wolframu do stali utwardza ją i czyni odporną na ciepło. Bez wolframu nie można budować czołgów i luf armatnich. Bez wolframu nie wystartują rakiety dalekiego zasięgu ani nie wybuchnie bomba atomowa. Pracujący dla celów pokojowych stos atomowy także musi mieć osłonę wolframową. Największe na świecie pokłady rudy wolframowej znajdują się w Brazylii i w Związku Radzieckim. Prócz tego drobne ilości tego metalu wydobywa się w Japonii, w Meksyku, w Stanach Zjednoczonych i paru innych państwach. W świecie kapitalistycznym monopol na ten produkt mają obecnie USA, gdyż opanowały kopalnie brazylijskie i meksykańskie. Głośna była sprawa z czasów drugiej wojny światowej, kiedy to Niemcom hitlerowskim groziła katastrofa właśnie z braku wolframu. Hitlera

uratowali na dwa lata Japończycy. Trzema specjalnie wybudowanymi łodziami podwodnymi dostarczyli oni do Hamburga ładunek wolframu, przepływając pod wodą przez trzy oceany. Gdyby nie to, faszystowska machina wojenna załamałaby się już w 1943 roku. Ten japoński wolfram pozwolił jej przetrwać jeszcze dwa lata aż do kapitulacji w Berlinie.

— Sądzę, że moglibyśmy spróbować. W tej chwili nie orientuję się w moich możliwościach w tej sprawie, ale postaram się jak najszybciej rozejrzeć się, gdzie potrzeba. Jakie ilości wchodzi w grę?

— Każde.

— A cena?

— Ten, metal nie ma ceny giełdowej. Każdorazowo jest taka, jaką strony ustalą. Będziemy się targowali, żeby kupić jak najtaniej.

— Ile na tym możemy zarobić?

— Bardzo dużo.

— A jakie będą nasze role?

— Ja będę kupował. Naturalnie nie sam. Pan będzie sprzedawcą. To interes bardzo śliski. Nikt o nim nie może wiedzieć, zanim wolfram nie znajdzie się u nas. Później pyskacze z Organizacji Narodów Zjednoczonych albo ci z Państw Afrykańskich mogą mordy drzeć. Ale przed tym nikt nic.

— Rozumiem.

— Dlatego musimy mieć do czynienia z jednym człowiekiem. Wiem, że to za duży kęs chleba, aby pan go sam mógł ugryźć. Pańską sprawą jest dobrać sobie do pomocy takich ludzi, którzy umieją trzymać język za zębami. W przeciwnym razie z całej transakcji będą nici. Nie obchodzi nas także, ile pan zarobi i w jaki sposób zorganizuje pan dostawy towaru.

— A sprawy finansowe? Przecież to nie kilogram bananów, które mogą kupić za wyciągnięte z kieszeni parę randów.

— Kiedy już będziemy mieli konkretną ofertę i będziemy widzieli, że interes jest do zrobienia, otrzyma pan od nas wszelką potrzebną pomoc. Listy gwarancyjne poważnych banków światowych. Ewentualnie zaliczki gotówką. Rozumiem dobrze, że wszystkiego nie da się załatwić tylko gwarancją bankową.

— A pańska rola w tej transakcji?

— To pana nie będzie obchodziło. Moja działka będzie się znajdować po stronie nabywcy. Często dużo się zarabia nawet nie inkasując ani grosza.

— Rozumiem.

— Daję panu okazję, jakiej być może nie będzie pan miał już w życiu. Nie ukrywam, że sprawa jest nad wyraz trudna. Ale pan sam się reklamował, że cuda załatwicie w trzy dni.

— Za trzy dni dam też panu odpowiedź, czy mogę się podjąć tej transakcji, a odwiedzę pana o szóstej wieczorem. Zgoda?

— Będzie pan już miał ofertę?— W głosie van den Ruytera dźwięczało niedowierzenie.

— Nie. Naturalnie że nie. Do konkretnej oferty droga dość daleka. Ale za trzy dni będę wiedział, czy sprawa jest w ogóle do załatwienia, jak pan to określił, czy mogę ugryźć ten kawałek chleba.

— Czekam więc na pana.

Zabierając się do odejścia, Miller zapytał:

— A co się stało z „Mewą Południa”?

— Spoczywa na dnie morza, na głębokości tysiąca metrów, Ale to już zupełnie inna historia. Była zresztą dobrze ubezpieczona.

Wielki przemysłowiec był tak uprzejmy, że odprowadził swojego gościa aż do furty wiodącej na ulicę. Zaś Miller, zanim wrócił do domu, nadał z najbliższej poczty długą depezę do Stambułu. Treść depezy była zupełnie niewinna. Tylko odbiorca mógł się z niej dowiedzieć, o co chodzi nadawcy w Kapsztadzie.

Odbiorcą był Hans Zimmerman. Dawny kolega szkolny pana Millera, który wtedy wcale nie był Millerem, jak też Zimmerman nie był Zimmermanem. Dwaj młodzi chłopcy razem uciekli z domów rodzinnych, razem zapisali się do francuskiej legii cudzoziemskiej i razem przez ładnych kilka lat przelewali krew swoją i cudzą w Wietnamie, a później w Algieru. Potem ich drogi się rozeszły. Jeden z nich, ten który teraz posługuje się szwajcarskim paszportem na nazwisko Miller, szukał dalej szczęścia wojennego w oddziałach najemników walczących w Zairze, Nigerii czy w Rodezji. Ten drugi zamiast ryzykować własną skórą, zajął się bardziej intratnym zajęciem. Angażował do tych oddziałów innych ochotników, pobierając sutą prowizję od każdego zwerbowanego łebka. Zdobytą w ten sposób sporą gotówką szczęśliwie obracał chwytając się najrozmaitszych zyskownych interesów. Szczęście mu sprzyjało. Pieniądze rosły, a ciężka ręka Interpolu czy też narodowych policji nigdy nie spoczęła na jego barku. Wreszcie uznał, że najwyższy czas wycofać się z ryzykownych interesów. Kupił sobie piękny pałacyk na Wyspach Książęcych na Morzu Marmara, aby zaś zupełnie nie zardzewieć prowadził skromne biuro handlowe w Stambule. Raczej nie zawierał żadnych transakcji, za to służył poradą innym. Takie poradnictwo to także bardzo zyskowny interes.

Właśnie Hans Zimmerman swego czasu założył „Züricher Import-Export Gesellschaft”. Kiedy zaś ta firma już była mu niepotrzebna, przekazał ją Antonowi Millerowi, który na gwałt szukał jakiegoś szyldu, aby spokojnie przetrwać w Szwajcarii burzę rozpetaną w Marsylii. Na swój sposób Zimmerman pozostał wierny młodzieńczej przyjaźni. Chwalił się także, że jest jedynym na świecie człowiekiem, który zna prawdziwe nazwisko Antona Millera i widział jego prawdziwą twarz.

Hans Zimmerman prowadząc różnorodne interesy, a później, kiedy już przerzucił się na poradnictwo handlowe, wyrobił sobie ogromne znajomości na całej dosłownie kuli ziemskiej. Miał swoich

rezydentów we wszystkich większych centrach przemysłowych. Znał także masę ludzi, którzy mogli się podjąć każdej roboty, nie wyłączając nawet tej „mokrej”.

Kiedy więc nadarzył się wolframowy interes, Anton Miller natychmiast skomunikował się z dawnym kolegą szkolnym. Bardzo też niecierpliwił się przez następne dni, bo Stambuł nie dawał znaku życia. Wreszcie trzeciego dnia, na dwie godziny przed umówionym spotkaniem z van den Ruyterem, nadeszła „błyskawica”. Wcale nie szyfrem, bo nie było to potrzebne. Zimmerman kablował „sprawa bardzo trudna; ale możliwa do załatwienia, stop, przyjeżdżaj natychmiast”.

Tym razem spotkanie z Afrykanerem przebiegało od samego początku w innej atmosferze niż to poprzednie. Przemysłowiec z Kapsztadu był wyraźnie ucieszony wiadomością, że istnieje perspektywa załatwienia zakupu wolframu. Usiłował wypytywać Millera, jak to zostanie przeprowadzone, ale Szwajcar odpowiadał lakonicznie na każde pytanie. Przecież sam jeszcze nic nie wiedział.

— Żeby uruchomić cały interes — zaznaczał van den Ruyter — musimy mieć nie budzącą wątpliwości opcję na zakup wolframu. Taką opcję wraz z pańską osobistą ofertą musi mi pan dostarczyć jak najprędzej.

— Jak najprędzej to ja jadę do Europy — odpowiedział Miller — mam trudności z nabyciem biletu lotniczego.

— Dokąd?

— Wszystko jedno do jakiego miasta w Europie. Byle jak najprędzej. A tu wszystkie połączenia lotnicze są zabukowane na tydzień naprzód.

— To się załatwi — van den Ruyter wyszedł z biblioteki, w której obaj panowie konferowali przy szklaneczkach whisky. Nie było go z dziesięć minut. Po powrocie oświadczył: — Ma pan samolot do Rzymu jutro o godzinie ósmej rano. — Bilet odbierze pan na lotnisku. Czy przysłać po pana samochód?

— Dziękuję, dam sobie sam radę — odmówił Miller. Marietje kończyła w tym dniu pracę o dziesiątej wieczór i następne dwadzieścia cztery godziny miała wolne. Anton uważał, że nie powinien jej odmówić odwiezienia na lotnisko. Bał się nagłego rozstania. Dziewczyna za bardzo brała do serca to, co dla mężczyzny było miłą przygodą.

— A wracając do naszych interesów — powiedział van den Ruyter — to musi pan się spieszyć, aby nas ktoś, nie ubiegł. Jeszcze raz zaznaczam, że wszelkie dokumenty muszą być wystawione wyłącznie na pańską firmę i pańskie nazwisko. Nie życzymy sobie nikogo więcej, chociaż nikt nie zabrania panu mieć cichych wspólników. Ale oficjalnie tylko pan będzie występował jako sprzedawca wolframu. Oczywiście będziemy szukali i innych źródeł zaopatrzenia.

— Wobec tego ja rezygnuję — spokojnie odpowiedział Miller.

— Dlaczego?

— Muszę mieć wyłączność działania przez pewien okres. Wolframu nie kupuje się na jarmarku. Jeżeli parę osób czy też parę firm zacznie się starać o nabycie tego metalu, od razu jego cena pójdzie gwałtownie w górę. Już nie mówię o tym, że taki ruch obudzi czujność tych, którzy mają monopol na produkcję i sprzedaż wolframu. Nikt rozsądny, nie uwierzy, że raptem gdzieś na świecie tak nagle wzrasta produkcja żarówek i wolfram nabywany jest wyłącznie w tym celu.

— No tak... Ma pan rację. Ale oferty musimy mieć jak najprędzej.

— Jaki termin otrzymam na wyłączne działanie?

— Powiedzmy piętnaście dni.

— Nie ma mowy! Muszę mieć co najmniej dwa miesiące.

— To za długo. Najwyżej miesiąc.

— Ciężko będzie.

— Co nie wystrzeli w miesiąc, nie dojrzeje i w rok.

— Niech będzie miesiąc. W każdym bądź razie za miesiąc

zjawię się w Kapsztadzie i wówczas na pewno będę wiedział, czy interes jest do załatwienia.

— Umowa stoi. Za jej pomyślność — obaj panowie z namaszczeniem wysączyli do dna to, co pozostało w szklaneczkach.

— Zaraz polecę kierowcy, żeby pana odwiózł do hotelu. O tej porze w Constantii dość trudno o taksówkę.

Tym razem Miller nie protestował.

Pożegnanie z Marietjie było ciężkie i smutne. Dziewczyna odwiozła Millera na lotnisko i żegnając go, przez łzy powiedziała:

— Wiem, że już cię nigdy nie zobaczę.

— Ależ dziecino — śmiał się Anton — najdalej za miesiąc będę znowu w Kapsztadzie. A może nawet jeszcze wcześniej.

— Tylko tak mówisz. Nie wierzę.

Chociaż cudzoziemiec zaprzeczał, w duchu przyznawał rację dziewczynie. Zaczynał wielką grę. W niej nie było miejsca na przygody nawet z najładniejszymi i najzgrabniejszymi pokojówkami hotelowymi. A pomimo to rozstawał się z Marietjie z pewnym uczuciem żalu i melancholii.

Rozdział V

Trzej wspólnicy bez pieniędzy

Kiedy samolot z Rzymu wylądował na podstambulskim lotnisku, Hans Zimmerman czekał na przyjaciela.

— Masz nowy garnitur i nową twarz — śmiał się Zimmerman ściskając dłoń Millera — skąd ta nowa blizna?

— Z buteleczki z farbą — wyjaśnił Szwajcar.

— Po co ci to?

— Każdy widzi bliznę i raczej już nie obserwuje reszty twarzy. Nie zauważa takich szczegółów, jak zarys kości policzkowych, wysokość czoła, wielkość i kształt nosa czy wykrój ust lub kolor oczu. Szczegółów, których najlepsza charakteryzacja nie potrafi zmienić. Piękna blizna! Nie schodzi po umyciu wodą i mydłem. Można się nawet golić. Dziewczyna, z którą spałem przez tydzień, nieraz całowała tę szramę i nie domyślała się, że wystarczy kilka kropel pewnego płynu i jeden ruch chusteczką od nosa, aby blizny nie było. Noszę ją już od dwóch lat i przyzwyczałem się do niej. Przyjdzie jednak czas, że ona zniknie.

— Zawsze podziwiałem twoje umiejętności.

— Nieraz ocaliły mi one jeśli nie życie, to wolność.

— Pojedziemy prosto na Wyspy Książęce do mojego domku. Tam wypoczniesz po podróży i tam w domowym zaciszu odbędziemy naradę, jak najlepiej sfinalizować twoją transakcję. W sąsiedztwie

mojej siedziby zatrzymali się dwaj panowie. Jeden z nich to Libańczyk z paszportem Stanów Zjednoczonych, Frederick Gabon właściciel między innymi firmy żeglugowej „Liverpool Shipping Company”, zarejestrowanej w Liberii. Drugi to Holender z Rotterdamu, pan Arnond Fock. Jego przedsiębiorstwo „Fossils Trading Company” zajmuje się handlem z Brazylią, między innymi kamieniami szlachetnymi i półszlachetnymi. Pośredniczyło również w zakupach brazylijskiej rudy żelaznej dla niektórych republik socjalistycznych. Nie ukrywam, że interesy tych panów ostatnio idą niezbyt dobrze. To sprawa stagnacji panującej na rynkach światowych. Niemniej są to biznesmeni poważni i uczciwi w przeprowadzaniu transakcji, chociaż być może, że policje pewnych państw są innego zdania. Po twojej depeszy z Kapsztadu skomunikowałem się z tymi handlowcami i ściągnąłem ich na wyspę. Pan Fock powinien mieć już konkretne propozycje, w jaki sposób można będzie zdobyć pewne ilości wolframu.

— To muszą być duże ilości — zastrzegł się Miller, kiedy obaj przyjaciele jechali do portu, skąd odpływają promy na wyspy. — Przecież Afrykanerom nie chodzi o wolfram do produkcji żarówek.

— Oczywiście, że duże ilości. Tylko na dużych można dużo zarobić.

— A dlaczego ściągnąłeś tutaj tego Libańczyka?

— Skąd weźmiesz statek do przewozu wolframu?

— On ma ten statek?

— Chyba nie ma żadnego. Jego firma prosperuje na podobnych zasadach co twój „Züricher Import-Export Gesellschaft”. Ale to nic nie szkodzi. Jeśli zajdzie potrzeba, to się kupi odpowiedni środek transportu. Facet jest doskonale wprowadzony w sprawy rynku.

Pogoda była wietrzna i dżdżysta, jak zwykle o tej porze roku nad morzem Marmara. Siedząc w willi Zimmermana przy przygotowanym przez służbę posiłku, Miller zauważył:

— Nie rozumiem, jak możesz ciągle mieszkać w Stambule czy na tej wysepce? W ogóle nigdy nie lubiłem tego miasta z jego

wielkimi meczetami i tą całą Hagia Sofia oraz ni to pałacem, ni to burdelem, gdzie dawniej rezydował sułtan. Nawet skarbiec sułtański budzi niechęć, kiedy się patrzy na taką masę złota ulokowaną w tak niegustownych wyrobach.

— Dla człowieka Wschodu były one może nie tyle piękne, co budzące szacunek ze względu na swoją wartość. A co do Stambułu, jest to wyjątkowe miasto. Takiego drugiego nie ma na świecie. Brama między Europą i Azją, pomiędzy Wschodem i Zachodem. Pomędzy ustrojami kapitalistycznymi i komunistycznymi. Tu od wieków roiło się od agentów wielkich mocarstw i państw, które miały coś do powiedzenia w sprawach wojny i pokoju. W czasie drugiej wojny światowej w Stambule pracowały wywiady wszystkich walczących państw. Tędy szły szlaki kurierskie do okupowanej Europy i tędy wywiad hitlerowski szukał drogi do przeniknięcia planów nieprzyjaciela. Skończyła się wojna, umilkły działa, ale agenci pozostali. Zmienili tylko firmy. Większość z nich już nie jest na usługach wywiadów państwowych, lecz wielkich koncernów przemysłowych. Tutaj można sprzedać i kupić wszystko. Każdy wynalazek, każdy najbardziej zakazany towar. Przy stoliku kawiarnianym czy restauracyjnym, w ciągu paru minut zarabia się czasami więcej niż przez całe lata. Długo siedzę tutaj. Znam większość tych ludzi i tych firm, zarówno tureckich, jak i obcych. Często moja rola polega tylko na zetknięciu ich ze sobą. To całe grono przypomina ludzi toczących pod górę wielką beczkę ze smołą. Kto dotknie ręką beczki, zawsze trochę smoły pozostanie mu na dłoni. Staram się przyłożyć rękę do każdej z toczonych tutaj beczek. Przyznaję, nieźle się dorobiłem przez ostatnie lata. Stać mnie już na luksus odmawiania udziału w machinacjach pachnących kodeksem karnym. A życie na Wyspach Książęcych jest równie przyjemne i wygodne jak na Francuskiej Riwierze czy w San Sebastian. A ty? Do czego doszedłeś?

— Prawdę mówiąc, do niczego.

— Bo byłeś głupi. Ciągłe wabiły cię przygody. Epoka konkwistadorów, którzy ogniem i mieczem zdobywali fortuny czy nawet korony, minęła bezpowrotnie, jedynie ty nie mogłeś w to uwierzyć. Dla mnie stało się to jasne po Wietnamie i Algierii. Proponowałem ci wtedy spółkę. Ale ciebie ciągnęło wtedy do Konga Belgijskiego. Imponowało, że zostaniesz naczelnym wodzem jakiegoś kacyka. Nie pamiętam jak się nazywał?

— Kasawubu.

— I co miałeś z tego wodzostwa? Ze dwie dziury w ciele. A ja zarabiałem po tysiąc dolarów za każdego durnia takiego jak ty, wysłanego do Konga. Przestrzegałem cię przed awanturą w rejonie Biafry. Ale skutek był taki, jakbym gadał do słupa.

— Gdyby secesja udała się, byłbym milionerem. Miałem obiecane bogate pola naftowe.

— To była skóra na niedźwiedziu, który hasał w gęstym lesie. Z góry było wiadomo, że koncerny naftowe, popierające generała Gonowana i legalny rząd Nigerii, są potężniejsze od tych, które planowały oderwanie się Biafry. W końcu wylądowałeś w Senegalii w podartych portkach i brudnej koszuli. Musiałem cię wykupywać i dać parę dolarów na powrót do Europy.

— Nie udało mi się.

— Bo nie mogło się udać. W każdej wojnie zawsze zwyciężają większe pieniądze. Tę prawdę znał już Napoleon i dlatego musiał przegrać z Anglikami. A czy nie ostrzegałem cię przed maczaniem palców w przemyśle opium?

— Ostrzegałeś. Ale musiałem zaryzykować. Nie miałem z czego żyć. Nie pójdeź przecież sprzedawać znaczków w okienku pocztowym.

— Mówiłem ci, żebyś nie wdawał się w ten interes. Wielkie gangi, które zajmują się transportem opium ze „Złotego Trójkąta” czy choćby z Anatolu, nie będą tolerowały jakiegokolwiek konkurencji. Miałeś niesamowite szczęście, że tylko odebrali ci towar, a nie utłukli na miejscu.

— Coś niecoś o nich wiedziałem i odpowiednio się zabezpieczyłem.

— A już szczytem idiotyzmu był ten napad na bank w Marsylii. Co za pomysł, by zadawać się ze zwykłymi oprychami portowymi. Przyznaję jednak, że zawsze byłeś niesamowitym szczęściarzem. Inny na twoim miejscu już dawno wachałby kwiatki od spodu. Jak cię znam, chyba i w Kapsztadzie nie obeszło się bez awantury?

— Drobiazg — Miller ręką machnął — mały trening, żeby nie wyjść z wprawy.

— Teraz masz w garści wielki interes. Jeśli dojdzie do skutku, zarobisz prawdziwe pieniądze. Takie, które wystarczą do końca życia. Ale ty na pewno znowu wdasz się w jakąś przygodę i znowu stracisz wszystko.

— Za to mam ciekawe życie.

— Szczególnie wtedy — roześmiał się Zimmerman — kiedy cię szuka francuska policja, żeby ci zademonstrować, w jaki sposób działa gilotyna.

— Nie zapominaj jednak — bronił się Szwajcar — że to właśnie dzięki temu, jak mówisz, mojemu zamiłowaniu do awantur, trzymam w ręku interes z wolframem.

— Ale nie ugryzłbyś go beze mnie.

— Do ciebie, do Stambułu, także by nie przyjechali.

Panowie Fock i Gabon zjawili się w willi Zimmermana z niewielkim opóźnieniem. Libańczyk, niski, ciemny o lekko kręconych włosach i wydatnych ustach, obwieszony był złotem jak choinka bożonarodzeniowa. Na palcach sygnety, potężna kuta bransoletka na prawej ręce, na lewej równie masywny zegarek w złotej oprawie. Holender szczupły, nieco przygarbiony, o rybich jasnoniebieskich oczach i wąskich zaciśniętych ustach. Obaj znali gospodarza, który dokonał prezentacji czwartego z partnerów. Kiedy podano kawę, likiery i koniaki, Zimmerman zagaił:

— Wiemy, co nas tu zgromadziło. A zatem do rzeczy. Porozmawiajmy o tym, jak ten interes najlepiej i najszybciej zrealizować.

- I jak na tym zarobić — wtrącił Holender.
- A także — dodał gospodarz — ile każdy ze współników może wyłożyć na to pieniędzy. Nie obejdzie się przecież bez kosztów.
- Chwilowo — wyjaśnił Armond Fock — mam środki finansowe zaangażowane w inne transakcje. Na mnie proszę nie liczyć.
- Na mnie też — dorzucił Miller — ja dam dojście do interesu, na który już i tak sporo wyłożyłem.
- Wszystkie koszty — zastrzegł się Libańczyk — musi pokrywać nabywca.
- A więc, otwarcie mówiąc — podsumował Zimmerman — nie macie pieniędzy, a chcecie zarobić miliony.
- A pan nie?
- Ja tu jestem tym, który was skontaktował i ewentualnie mogę coś wam pomóc radą i moimi znajomościami. Mnie wystarczą dwa promille od wszystkich obrotów. Od razu to mówię, żeby nie było jakichkolwiek nieporozumień w przyszłości.
- Dwa promille! — Gabon złapał się za głowę. — Pan chce zarobić około stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów nie wstając od stołu.
- Może i więcej — sucho odpowiedział Zimmerman — ale beze mnie nie siedzielibyście razem przy tym stole i bez mojej pomocy tej transakcji nie przeprowadzicie. To chyba jasne.
- Zgadzam się na dwa promille — powiedział Miller.
- Ja także — dodał Fock.
- To jest wyzysk — oponował Libańczyk — ale jestem przegłosowany. Muszę się zgodzić. Tak to jest, kiedy się ma trzech przeciwko sobie.
- Skoro ten punkt mamy już poza sobą — Zimmerman znowu zabrał głos — proponuję następujący podział ról: pan Fock zajmie się zdobyciem towaru. Jeśli zajdzie taka potrzeba każdy z nas mu w tym dopomoże. Pan Gabon zorganizuje transport, a pan Miller

przeprowadzi sprzedaż wolframu i zdobędzie środki finansowe na zakup transportu. Ja będę wasze działania koordynował i interweniowałem, jeśli zaistnieje taka konieczność.

— A zarobki?

— Każdy wyciągnie pieniądze ze swojej działki. Każdy też zapłaci mi swoje dwa promille. I to w momencie inkasowania pieniędzy.

— To niesprawiedliwe — protestował Libańczyk — zarobki będą nierówne.

— Ale proporcjonalne do włożonej pracy. Złóżcie panowie po dwadzieścia milionów dolarów na kapitał zakładowy tej transakcji, wtedy będziecie mówili o równych zarobkach.

— Pan Miller zarobi najwięcej — Libańczyk ciągle był niezadowolony.

— Zarobi tyle, ile wyciągnie z Afrykanerów. A pan Fock zainkasuje to, co urwie sprzedawcom wolframu. Zaś pan Gabon dobrze się obłowi na korzystnym frachcie. I to nie wykładając ani centa z własnej kieszeni.

— To niesprawiedliwe. Jeszcze raz to powtarzam. Moja działka będzie najmniejsza.

— Albo największa. To zależy, jak pan to wszystko załatwi. Chciałbym jednak dodać — Zimmerman nie ustępował — że dużo statków stoi na sznurku. Jeżeli pan Gabon nie widzi tutaj swojego interesu, nie będziemy się upierali przy załatwianiu transportu przez „Liverpool Shipping Company”.

— Przestańmy się wreszcie kłócić — Miller uspokajał zebranych — a zacznijmy mówić o interesach. Inaczej nigdy do niczego nie dojdziemy.

Libańczyk znowu chciał oponować, ale widząc, że ma trzech przeciwko sobie i że groźba Zimmermana wykluczenia go z transakcji to nie tylko puste słowa, umilkł i sięgnął po butelkę z likierem, aby łykiem słodkiego alkoholu uspokoić nerwy.

— A więc — do głosu doszedł Zimmerman — niech pan Fock poinformuje nas, jak wyglądają sprawy zakupu wolframu.

— Wcale nie wyglądają.
— Co to znaczy?
— Drobne ilości wolframu potrzebne przemysłowi elektrotechnicznemu i stalowemu sprzedawane są głównie przez koncerny amerykańskie. Na rynek trafia także trochę wolframu radzieckiego, co jednak raczej ogranicza się do dostaw dla państw socjalistycznych i tych, zwanych „trzecim światem”. Wysokości dostaw są ściśle uregulowane umowami państwowymi lub porozumieniami pomiędzy wielkimi koncernami. Otwarcie mówiąc, USA sprawuje kontrolę nad tym, żeby do produkcji trafiało jedynie tyle wolframu, ile to potrzebne przemysłowi zbrojeniowemu państw NATO i przemysłowi elektronicznemu na żarówki i podobne wyroby. O Japonii, która także ma trochę wolframu, nie ma co mówić. Oni całą produkcję zużywają u siebie i nawet trochę importują, bo ich kopalnie są na wyczerpaniu.

— Co pan proponuje?

— Istnieje jedna jedyna możliwość. Poczynilem już odpowiednie starania i dostałem z Brazylii odpowiedź, że sprawa jest do załatwienia.

— Mów pan jaśniej — denerwował się Libańczyk.

— Wolframu nie można kupić, ale można będzie nabyć trochę rudy wolframowej.

— Rudy? O tym w Kapsztadzie nie było mowy.

— To będzie. Republika Południowej Afryki ma rudy tytanu i innych rzadkich metali. Ta produkcja jest prawie identyczna jak przy wolframie. Nie będą mieli większych trudności z rudą wolframową.

— Z Brazylii?

— Tak. W Brazylii jest kilka kopalń rudy wolframowej, a raczej rud żelaza zawierającego wolframit, związek chemiczny, z którego następnie otrzymuje się czysty wolfram. Te kopalnie są w rękach miejscowego kapitału. Natomiast zakłady flotacyjne oddzielające wolframit od piasku i żelaza są w rękach koncernów amerykańskich. One dyktują ceny kopalniom rudy. Ceny te naturalnie są

zaledwie na granicy opłacalności produkcji. Amerykanie umieją liczyć i nie lubią bez potrzeby przepłacać. Wzbogaconą rudę wywozi się do USA i dopiero tam przerabia na produkty przemysłowe.

— Co dalej?

— Znalazłem pewną kopalnię nad brzegiem jednego z dopływów Amazonki. Stamtąd ruda jest spławiana barkami do zakładów flotacyjnych. Amazonka płynie całym szeregiem różnych kanałów i koryt. Można ominąć zakład flotacyjny i rudę przeładować na statek stojący u ujścia rzeki. Właściciele kopalni, jeśli zapłaci im się lepiej niż płaci koncern, pójda na taki interes. Naturalnie jest to sztuka jednorazowa. Taki drugi numer nie przejdzie.

— Jakie ilości rudy wchodziłyby w grę?

— Takie, jakie może jednorazowo wziąć rudowęgłowiec.

— Sześćdziesiąt do siedemdziesięciu tysięcy ton — wyjaśnił Gabon — takich statków jest najwięcej na rynku i najłatwiej je nabyć.

— To i tak dużo — ciągnął dalej Fock — nie zapominajcie, że po Amazonce mogą pływać barki po pięć tysięcy ton. Trzeba będzie zgromadzić co najmniej dziesięć takich barek, a następnie przeładować je w jakimś małym porcie. I to jak najszybciej.

— Statek będzie musiał mieć dodatkowe urządzenia przeładunkowe. To się jednak da zrobić.

— Nie wiem, czy moi kontrahenci pójda na taki interes? — zastanowił się Miller.

— To w ogóle nie będą mieli wolframu — odpowiedział Holender.

— A pozwolenia na wywóz? — zaniepokoił się Libańczyk. Przecież nie wywozę z portu sześćdziesięciu tysięcy ton rudy tak, aby nikt tego nie zauważył.

— To się da załatwić. Stosunki Brazylii ze Stanami Zjednoczonymi nie są aż na tyle dobre, żeby Brazylijczycy nie skorzystali z okazji utarcia nosa swojemu „starszemu bratu”. Taka sprzedaż rudy wyjdzie im na dobre, bo kopalnie szantażując koncerny będą mogły

podnieść ceny. Oczywiście nie dostaniemy pozwoleń wywozowych do Republiki Południowej Afryki. Trzeba będzie znaleźć innego poważnego kontrahenta.

— Ale jak mu później wytłumaczyć, że nie dostał towaru? — Anton Miller niezbyt dobrze orientował się w wielkiej grze, do której zasiadł.

— Wypadki chodzą nie tylko po ludziach — spokojnie wyjaśnił Zimmerman — ale także zdarzają się na morzach.

— A jak znaleźć potrzebnego nam nabywcę? — zapytał Gabon.

— Ja to załatwię — uspokoił go Zimmerman.

— Hiszpania? — Libańczyk nie krył zaciekawienia — państwa socjalistyczne może by chciały kupić, ale Brazylia nie da im pozwolenia wywozu.

— Ani Hiszpania, ani Wspólny Rynek ani też RWPG. Będziecie mieli w ręku takie zamówienie, że Brazylijczycy okiem nie mrugną. To jasne, że do tego zamówienia trzeba będzie dodać trochę innych załączników, aby dostać pozwolenie wywozu. Ale to normalna sprawa, zwłaszcza w Ameryce Łacińskiej.

— Jaki jest procent wolframu w rudzie?

— Raczej niewielki. Wolfram należy do grupy metali rzadkich. Od czterech do siedmiu promille. Reszta to rudy żelaza.

— Tyle piasku przewozić — martwił się Libańczyk.

— Zapłacą i za przewóz piasku — stwierdził Zimmerman. — Potrzebują wolframu, a w inny sposób go nie zdobędą.

— Będę musiał mieć próbki — zastrzegł się Miller — oni są bardzo ostrożni.

— Nie dziwię się — odpowiedział Fock — przecież to oni wyłożą pieniądze, a nikt nie kupuje kota w worku. Dostaną próbki i oficjalne państwowe atesty. Pod tym względem interes musi być czysty. Będą nawet mogli wziąć kontrolne ilości z barek lub już z załadowanego statku.

— Jaka jest cena tony rudy?
— Około tysiąca dolarów.
— Już z pańskim zarobkiem? — zapytał Zimmerman.
— I z pańską prowizją.
— To bardzo drogo — skrzywił się Miller.
— Po przeróbce rudy, wolfram i tak będzie dużo tańszy, niż nabyty w USA. Z tej rudy otrzymają ponad trzysta pięćdziesiąt ton czystego metalu. To im powinno wystarczyć na ponad dziesięć lat. Zarówno dla przemysłu zbrojeniowego, jak i atomowego. Przecież do tony stali dodaje się zaledwie gramy wolframu. A tytan i wanad oraz mangan mają u siebie.

— Nabywca stawia warunek, żeby wszystkie papiery wystawione były wyłącznie na „Züricher Import-Export Gesellschaft” i na nazwisko Antona Millera. Zarówno dokumenty opcji na sprzedaż, jak i sam kontrakt sprzedaży oraz frachty.

— To się da zrobić — zgodził się Libańczyk — po prostu „Liverpool Shipping Company” wdzierzawi panu Millerowi statek za odpowiednią opłatą. Takie transakcje są na porządku dziennym, jeśli chodzi o pewien rodzaj ładunków, gdzie armatorowi wygodnie jest nie wiedzieć, jaki towar wiezie jego statek.

— To jednak trochę komplikuje sprawę — zastrzegł się Armond Fock — sprzedawcy mnie znają i mają do mnie zaufanie. Pan Miller jest dla nich osobą obcą. Mogą mieć zastrzeżenia.

— Pojedziecie razem do Brazylii — Zimmerman rozwiązał problem — i pan Miller przestanie być dla nich kimś nieznanym. Postaram się o takie referencje dla niego, że wszystkie drzwi w Rio de Janeiro staną przed wami otworem. Ja także mam pewne chody po drugiej stronie oceanu. A za darmo prowizji nie biorę.

— Jak wyglądają sprawy finansowe? — zapytał Libańczyk — za słowo honoru nie kupię statku na przewiezienie wolframu.

— Jak będzie opcja — wyjaśnił Miller — i nabywca zaakceptuje moją ofertę, wtedy otworzą nam listy kredytowe. Za te listy kupi się i rudę, i statek. Z chwilą przybycia ładunku do Kapsztadu, listy zamienione zostaną na żywą gotówkę.

— Te listy nie będą w naszych rękach — upierał się Libańczyk — i gdzie mój zarobek?

— Zostanie panu statek.

— Nie zostanie. Kiedy wyładujemy rudę w Południowej Afryce, nie zawiozę jej już do innego odbiorcy.

— Pan Gabon ma rację — przyznał Zimmerman — na statku nie zarobi. Ale zainkasuje należność za dzierżawę statku panu Millerowi.

— To ja na tym nic nie zarobię — Libańczyk wrócił do starej piosenki — ile to mnie będzie kosztowało, zanim znajdę odpowiedni obiekt do kupna.

— Chciał pan powiedzieć — poprawił Zimmerman — „ile to ja zarobię prowizji na kupnie starego grata stojącego na sznurku”. Na upartego znajdzie się taki nawet w samym Stambule. Tenuta dzierżawna za dwa miesiące tylko zaokrągli pańskie zarobki. Dwa miesiące po dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, to pół miliona włożone za nic do kieszeni.

— Dwa miesiące to za mało. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy miesięcznie, to także za mało. Na wolnym rynku ceny są znacznie wyższe. Będę musiał zapłacić podatki i opłaty rejestracyjne.

— Komu pan to mówi, panie Gabon — roześmiał się Zimmerman — niech pan mnie nie traktuje jak małe dziecko.

— A mnie niech pan nie liczy zarobków. Ja za te pieniądze solidnie się napracuję i całe ryzyko biorę na siebie. A pan, siedząc za stołem, bez żadnej pracy zainkasuje dziesiątki tysięcy dolarów.

— Panowie, dosyć tych kłótni — ostro zaprotestował Fock.

— My się nie kłócimy — bronił się Libańczyk — kiedy się zawiera taki interes, wszystko z góry musi być wyjaśnione. Żeby później nie było nieporozumień. Wszystko musi grać jak w zegarku.

— Miller zapłaci za dzierżawę od dnia wejścia załogi na statek aż do dnia kiedy z niego zejda. Zgoda?

— Zgoda. Ale nie dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Co najmniej o sto tysięcy więcej.

— Panie Gabon, nie przeciągaj pan struny.

— A ile pan daje?

— Najwyżej dwieście siedemdziesiąt.

— Powiedzmy trzysta.

— Rozdzielcie tę różnicę na pół — zaproponował Fock.

— Niech będzie. Znowu tracę.

— Przecież nie wyklada pan ani centa.

— Ale moja firma może zostać skompromitowana.

— Pańska firma nie ma ani jednego statku, a kupił pan ją za kilkadziesiąt tysięcy dolarów — roześmiał się Zimmerman — komu pan tu mydlisz oczy?

— Ale razem będzie mnie ona kosztowała około trzystu tysięcy. Dałem tylko zaliczkę.

— Kiedy pan dopłaci resztę, sprzedawca przekaze panu te dwa statki, które pływają pod banderą firmy. Zbadałem dobrze sytuację „Liverpool Shipping Company”, zanim się z panem skomunikowałem.

— Dwa stare i małe graty, które tylko patrzeć, rozleca się na morzu.

— Na tym także można dobrze zarobić — mruknął Fock.

— A załoga na ten rudowęglowiec? — zainteresował się Miller.

— To muszą być ludzie absolutnie pewni.

— Mam znajomego w Pireusie — odpowiedział Zimmerman — niejakiego Litakisa. To specjalista w tych sprawach. Wyszuka nam odpowiedniego kapitana i skompletuje załogę, jakiej potrzebujemy. To sprawa najłatwiejsza. Grunt, żeby przepchać naszą ofertę w Kapsztadzie i załatwić wszystko w Brazylii. Kiedy możecie tam lecieć?

— Ja choćby jutro.
— Wracam na trzy dni do Rotterdamu i czwartego dnia jestem już w Rio.
— W porządku. Za cztery dni spotykacie się w Rio de Janeiro, w hotelu „Sheraton”.
— Jeśli tak trzeba.
— To jest warunek nabywcy. — Hans Zimmerman podniósł się z miejsca dając tym do zrozumienia, że narada została zakończona. — Zbierzemy się po raz drugi, żeby sfinalizować pomiędzy nami odpowiednie umowy wówczas, gdy pan Miller będzie miał już kontrakt z Afrykanerami. Do tego czasu pan Gabon wyszuka odpowiedni statek, aby go potem szybko kupić.

Kiedy dwaj handlowcy opuścili willę Zimmermana, ten śmiejąc się powiedział do przyjaciela:

— Widzisz, z jakimi złodziejami trzeba mieć do czynienia, żeby załatwić uczciwy interes? Każdy z nich będzie się starał innego oszukać. Dlatego też od razu ustaliłem role, jakie im przypadną i od razu wyznaczyłem granice zarobków.

— Wiele zarobią nie mając ani grosza. To granda.

— Ty także nie masz, a zarobisz bodaj najwięcej. Z was wszystkich najbogatszy jestem ja, zaś mnie przypadnie najmniejszy kawałek tego tortu. A przecież moja rola nie jest wcale taką małą. Muszę wami dyrygować i pilnować, żebyście się nie pogryźli przed czasem.

— Ale nie wykładasz ani grosza, chyba jedynie za ten koniak i likiery, które wypiliśmy. Nie będziesz także ponosił żadnego ryzyka.

— Jakie tam ryzyko? Kiedy już będziecie mieli pieniądze jest tysiące sposobów, aby tego ryzyka uniknąć.

— A gdzie znajdziemy kupca, któremu oficjalnie sprzedamy wolfram?

— Myślałem nad tym. Sądzę, że zdołamy namówić Japończyków. Dzisiaj to wielkie państwo, z którym nawet Stany Zjednoczone muszą się liczyć. Japończycy prowadzą liczne interesy z Brazylią,

więc i władze tego kraju łatwiej dadzą zezwolenie na wywóz rudy do Japonii niż gdzie indziej. A poza tym droga od ujścia Amazonki do Japonii prowadzi koło Południowej Afryki. To ogromnie ułatwia sprawę.

— Masz rację.

— Kiedy wrócisz z Brazylii i będziesz miał wstępną umowę z Afrykanerami, pojedziesz do Tokio.

Rozdział VI

Szare wilki czy zwykłe psy?

Na lotnisko jechali we czwórkę. Hans Zimmerman, Antoni Miller, kierowca i sekretarz osobisty Zimmermana, młody atletycznie zbudowany człowiek o nieokreślonej narodowości. Obaj biznesmeni siedzieli z tyłu wozu. Sekretarz na miejscu obok szofera.

— Czy tego mercedesa kupiłeś w Anglii, że ma kierownicę z prawej strony?

— Tak jest wygodniej.

Przejechali już przez wąskie i kręte uliczki starego Stambułu i wjechali na autostradę biegnącą na lotnisko oddalone od miasta o około dwadzieścia kilometrów.

— Cały czas — zauważył kierowca — od samego promu jedzie za nami jakieś szare BMW. Obserwuję je od kwadransa. W tamtym samochodzie siedzi dwóch ludzi. Czapki nasunięte na czoło, ciemne okulary.

— To może być zwykły przypadek — Zimmerman nie przejął się słowami szofera — może także jadą na lotnisko albo do Adrianopola?

— Jadą za nami. Naumyślnie w mieście nie jechałem najkrótszą drogą i starałem się ich zgubić. Ciągłe trzymali się za naszym wozem.

— Na wszelki wypadek przygotujcie się chłopcy. A może im uciec?

— Nie da rady. Ich wóz jest na pewno szybszy.

— Zsuń się głębiej na siedzenie — Zimmerman poradził przyjacielowi — tak jak ja to robię — to mówiąc zaciągnął żaluzje na boczne szyby i tylną. Żaluzje były zrobione z cienkiej stali.

— Wóz jest opancerzony — dodał sekretarz — jedynie granaty przeciwpancerne mogłyby mu dać radę. Chyba ich nie użyją.

— Zaraz zobaczymy — kierowca prowadził samochód z całym spokojem i nieco zmniejszył szybkość. BMW zbliżyło się do mercedesa i zaczęło go wymijać. Właśnie spory odcinek autostrady był pusty.

Młody człowiek siedzący koło kierowcy BMW nagle otworzył szybę. Z pistoletu maszynowego posypały się strzały. Kule jak ziarenka grochu uderzały w ścianę mercedesa lub odbijały się od jego szyb.

Kierowca mercedesa gwałtownie przyhamował, tak że BMW znalazło się kilka metrów w przodzie. Wtedy młody człowiek siedzący koło szofera wystawił przez otwarty wywietrznik pistolet z grubą jak rakielnica lufą i oddał w kierunku BMW dwa strzały. Szary wóz natychmiast stanął w płomieniach. Mercedes zręcznie go wyminął i zwiększył szybkość.

— Już po wszystkim — spokojnie zauważył Zimmerman.

— Nie zatrzymujemy się?

— Po co?

— Żeby ich wykończyć albo złapać i porozmawiać.

— Nie sądzę, żeby się wydostali z płonącego wozu. Patrz — to mówiąc Zimmerman odsłonił tylną szybę. Widać było, że BMW zjechało na pobocze i płonęło w rowie. Jakieś inne samochody jadące za nim, zatrzymały się na miejscu wypadku.

— To mój mały wynalazek — wyjaśniał właściciel mercedesa — specjalny pistolet dużego kalibru z ekrazytowymi pociskami. Rozpryskują się one po przebicciu metalu, a znajdujący się w środku

fosfor pali wszystko. Sporo pieniążków kosztowało mnie zrobienie tego cacka, ale, jak widać, ten wydatek zdążył się zamortyzować.

— Dlaczego chcieli cię sprzątnąć? — dziwił się Miller. — Przecież sam mówiłeś, że właściwie wycofałeś się z interesów.

— W Turcji, a przede wszystkim w Stambule, są ludzie, którzy bardzo lubią strzelać. Nawet jeżeli nie mają ściśle sprecyzowanych celów. Istnieje tu kilkanaście organizacji terrorystycznych. Największą i najniebezpieczniejszą są „Szare Wilki” ze skrajnej prawicy muzułmańskiej. Rząd walczy z terroryzmem, odniósł w tej bitwie spore sukcesy, ale jakoś nie zdołał wyeliminować wszystkich, którzy usiłują uprawiać politykę z pistoletem w ręku. Toteż prawie każdy zamożniejszy człowiek na własną rękę zabezpiecza się przeciwko terrorystom. Ja także jestem na tyle przezorny, że jeżdżę opancerzonym samochodem, mam dobrą obstawę i niezłą broń przeciwko wrogom. Muszę jednak przyznać, że nigdy w Turcji nie zajmowałem się polityką i w ogóle unikałem jakichkolwiek stosunków z partiami politycznymi. Starłem się nie wchodzić zbyt blisko władzom w oczy. Po cichu, bez reklamy, prowadziłem swoje sprawy. Nigdy nie dostawałem żadnych listów z pogrózkami. Naturalnie, jak wszyscy inni ludzie interesu opłacałem się różnym legalnym organizacjom politycznym i społecznym, bądź też charytatywnym. Dotychczas nie przekraczało to rozsądnych wymiarów. Zawsze też zachowywałem równowagę między stronami. Jeśli dawałem czerwonym, to także pewne sumy przeznaczałem dla czarnych. Kiedy popierałem partię rządzącą, nie zapominałem o opozycji. Inaczej w Turcji nie można.

— Wszyscy tak postępują — wtrącił sekretarz.

— Nigdy nie otrzymałem żądania zapłacenia jakiegoś okupu. Ten zamach przyszedł tak niespodziewanie i to mnie najbardziej dziwi. Gdyby wymagano ode mnie pieniędzy i gdybym odmówił, wówczas postępowanie tych ludzi byłoby logicznym następstwem mojego uporu. Ale, powtarzam, nic takiego się nie zdarzyło. Dlatego

też myślę, że to nie „Szare Wilki”, lecz zwykłe psy. A że dostały dobrą nauczkę, będziemy chyba mieli spokój. Przynajmniej ja. Ale tobie radzę mieć się na baczności.

— Mnie? Dlaczego?

— Sądzę, że te kule przeznaczone były przede wszystkim dla ciebie.

— Nonsens! Kto mnie zna w Stambule?

— Choćby pan Fock lub pan Gabon.

— Przecież oni z nami robią interes.

— Ale gdyby nas spotkało nieszczęście, może mogliby zrobić ten sam interes bez naszego udziału. A przynajmniej tak się im może wydawać. Pojechanie do Kapsztadu i pójście twoimi śladami nie byłoby zbyt trudne.

— Przecież oni się w ogóle przed tym nie znali.

— Ale już się poznali. Takie porozumienia nie wymagają zbyt wiele czasu. Zaś znalezienie w Stambule odpowiednich ludzi do dobrze płatnej roboty nie jest trudniejsze niż gdzie indziej. Zresztą wcale nie musimy działać wspólnie. Sam pan Fock mógł wpaść na tak doskonały pomysł albo pan Gabon? A także i ktoś trzeci?

— Kto?

— Ten, komu sprzątamy sprzed nosa doskonały interes. Przecież Afrykanerzy nie czekali, aż im spadniesz z nieba. Na pewno i sami starali się zdobyć wolfram. To się im dotychczas nie udawało. Nie tracili jednak nadziei, że w końcu znajdą jakiś sposób na zdobycie tego szarego metalu. A tu raptem zjawia się konkurent, który sprząta im sprzed nosa kilka milionów, jakie liczyli, że zarobią. Wyasygnowali zatem parę groszy, aby usunąć tego konkurenta. Żeby nie mój pancerny wózek, pewnie obaj już byśmy byli klientami przedsiębiorstwa pogrzebowego.

— To wprost nieprawdopodobne. Poza Ruyterem nikt o mnie nie wiedział.

— Van den Ruyter sam tej transakcji nie załatwia. Wolfram potrzebny jest państwowemu przedsiębiorstwu ROKSI, które ma w

Południowej Afryce monopol na produkcję stali. Te huty znajdują się w Vanderbijspark. Byłeś przeszło tydzień w Republice Południowej Afryki i nawet się tym nie zainteresowałeś. Van den Ruyter najwyżej zasiada w zarządzie lub w radzie nadzorczej ROKSI. Zdobywszy możliwość zakupu wolframu, przemysłowiec musiał się podzielić tą wiadomością z innymi osobami z dyrekcji ROKSI, a najpewniej także i z ludźmi z rządu. To zbyt wielka i zbyt delikatna sprawa, żeby van den Ruyter mógł ją trzymać w tajemnicy przed prawdziwymi decydentami. Nawet ktoś z nich może być zainteresowany, żeby nam się to nie udało. Kiedy w grę wchodzi miliony, parę litrów krwi nic nie znaczy.

— Może masz rację?

— Jest jeszcze jeden kontrahent, który bardzo chętnie widziałby fiasko naszego interesu.

— Kto? Amerykanie?

— Nie myślałem o nich, chociaż ich także nie można wykluczyć z gry. Są również czarni walczący o niepodległość Namibii, są spychani na skraj nędzy Murzyni południowoafrykańscy. Są państwa afrykańskie, które nie wpadają w entuzjazm na wiadomość, że Republika Południowej Afryki wzmacnia broń, szykuje się do produkcji rakiet balistycznych i bomby atomowej. Udaremnienie Afrykanerom zaopatrzenia się w wolfram, to przeszkodzenie im w zbrojeniach.

— To tylko luźne hipotezy.

— Ale strzały na autostradzie są niezachwianym faktem. Ślady tych kul widać na szybie i także znajdziemy je na pewno na blachach nadwozia.

— Obawiam się — wtrącił kierowca — że trzeba będzie lakierować całą lewą stronę wozu. Lakier na pewno poodpryskiwał od uderzeń kul.

— Wolałbym nie dawać wozu do warsztatu.

— Zrobimy to sami w naszym garażu. Nikt nic nie będzie wiedział.

— Nie będziesz miał przykrości z policją? — zaniepokoił się Miller — nie chciałbym, żeby nas zatrzymano na przesłuchanie. Nie złapałbym wtedy połączenia we Frankfurcie na samolot do Brazylii.

— Przesłuchanie? A dlaczego? Jadący za nami samochód wpadł w poślizg, stoczył się do rowu i tam się spalił. Nie zauważyliśmy tego wypadku, bo jechaliśmy przed tym wozem. Prawda?

— Naturalnie — odparł kierowca — nic nie widziałem.

— Ani ja.

— Nie przypuszczam, żeby nas w ogóle o coś pytano.

Podjechali pod budynek portu lotniczego. Miller z Zimmermanem i sekretarzem wysiedli. Kierowca od razu odjechał. Lepiej, żeby nikt nie oglądał wozu, wzdłuż którego ciągnęła się równa linia malutkich odprysków czarnej farby. Strzelający wygarnął do mercedesa wszystkie pociski, jakie miał w pistolecie.

Hans Zimmerman był w porcie lotniczym osobą znaną. Często podróżował. Zarówno personel lotniska, jak i funkcjonariusze straży granicznej uprzejmie kłaniali się milionerowi z Wysp Książęcych. Formalności paszportowe i celne Antona Millera załatwiano szybko i sprawnie. Obaj panowie mieli jeszcze tyle czasu, że mogli razem wypić kawę w miejscowej restauracji.

— Nie wiem, powtarzam to jeszcze raz — Zimmerman ciągle wracał do niedawnego zamachu — kto strzelał i do kogo celował. W każdym bądź razie musisz się mieć na ostrożności. Zachować jak największą ostrożność.

— Nic mi nie będzie.

— Przestań wierzyć we własną nieśmiertelność. Wszystkie cmentarze świata są przepelnione takimi durniami, którzy byli pewni, że ich nigdy nic nie spotka.

— Nieraz mnie różne rzeczy spotykały, a jednak siedzę tutaj i piję z tobą kawę.

— Jedynie dlatego, że nie żałowałem pieniędzy na kupno opancerzonego samochodu z kierownicą z prawej strony, a także parę

groszy na goryla. Trzeba przyznać, że chłopak gracko się spisał. Muszę się mu jakoś odwdziżyć.

— Odkąd Fenicjanie wynaleźli pieniądze, z tym problemem nie ma kłopotów.

— W Brazylii — pouczał go nadal Zimmerman — uważaj na wszystko. Nawet na jedzenie. Stołuj się w przypadkowo odwiedzanych knajpach czy w barach samoobsługowych, a nie w hotelu, w którym będziesz mieszkał. Nigdy nie zamawiaj jedzenia do pokoju.

— Nudzisz mnie.

— Nie chodzi mi o ciebie. Dla mnie mogą cię podziurawić wzdłuż i wszerz. Chodzi o interes, na którym chcę zarobić, a nie darowałbym sobie, aby przez jakiegoś postrzelca z tej sprawy wyszły nici.

— Dobrze, już dobrze, będę w Rio de Janeiro uprawiał głódówkę jak hinduski joga.

— Zawsze trzymaj się blisko Focka. Jeżeli on zorganizował tę małą strzelaninę, nie będą tego powtarzać w jego obecności, żeby i on nie ucierpiał. Jeżeli będziecie musieli być razem na jakimś party, pij z tej samej butelki i z takiego samego kieliszka.

— Zmień płytę, bo dłużej nie wytrzymam.

— A zwłaszcza z daleka od kobiet. Kto wie, czy ta twoja dziewczyna, kochanka w Kapsztadzie, nie sprzedała cię tym, którzy wynajęli naszych przyjaciół z szarego BMW.

— Na pewno nie!

— Jestem przekonany, że jej wszystko wygadałeś.

— Co do tego, to się grubo mylisz. Nie pisałem ani słówka. A poza tym to bardzo porządna i miła dziewczyna.

— Gadaj z takim. On zawsze ma do czynienia z porządnymi dziewczynami.

— Żebyś wiedział.

— Zgubią cię te dziwki. Na pewno zgubią — prorokował Zimmerman.

W tej chwili z głośnika rozległo się wezwanie, żeby pasażerowie udający się do Frankfurtu wychodzili na płytę i zajmowali miejsce

w autobusie. Hans Zimmerman musiał więc przerwać swoje jeremiady i pożegnać się z przyjacielem.

Czarnym mercedesem powracającym na Wyspy Książęce nikt się nie zainteresował. Przy szczątkach spalonego BMW stały samochody policyjne i karetka. Właśnie wnoszono do niej dwa ciała przykryte kocami.

Podróż do Frankfurtu nad Menem i potem przesiadka na samolot do Brazylii minęły bez żadnych przygód. Żadne też mocniejsze przeżycie nie czekało na Antona Millera w Rio de Janeiro. Arnond Fock przybył tam o kilka godzin wcześniej, zarezerwował dla współnika pokój w tym samym hotelu, w którym i on się zatrzymał, oraz od razu przystąpił do rozmów z właścicielami kopalni.

Holender okazał się bardzo rzeczowym i dobrze wprowadzonym w stosunki brazylijskie partnerem. Na pewno nie zapomniał o własnych interesach, ale dbał i o wspólne. Partnerzy brazylijscy początkowo byli nader ostrożni w kontaktach z Millerem, jednakże i tutaj Hans Zimmerman potrafił zadziałać z daleka tak, że po kilku dniach rozmów z właścicielami kopalni, jak też po nieoficjalnych kontaktach z władzami decydującymi o wydawaniu licencji wywozowych, sprawy potoczyły się pomyślnie.

Arnond Fock uzyskał opcję na kupno sześćdziesięciu pięciu tysięcy ton rudy dla swojej firmy „Fossils Trading Company” i przyrzeczenie wydania zezwolenia na wywóz tej rudy do Japonii. Następnie osobnym aktem „Fossils Trading Company” odstąpiła tę opcję firmie szwajcarskiej „Züricher Import Export Gesellschaft”. Ustalono także cenę na rudę. Odbiorca miał zapłacić ogółem pięćdziesiąt jeden milionów dolarów. Anton Miller chyba słusznie domyślał się, że ten końcowy milion to prowizja obrotowego Holendra.

Brazylijczycy nie kryli zadowolenia z zawartej transakcji. Nalegali, aby ją jak najprędzej sfinalizować. Obiecywali, że z dowozem wolframu z kopalni na wybrzeże i potem z przeładunkiem na statek nie będzie żadnych kłopotów. Zgodzili się także, że zapłata za rudę

nastąpi listem kredytowym jednego z europejskich poważnych banków. Kredyt zostanie sfinalizowany po wyładowaniu rudy w porcie przeznaczenia.

Instytut geologii na zamówienie Arnonda Focka przeprowadził badania rudy na zawartość wolframu i wydał odpowiedni atest. Sprzedawcy dostarczyli próbki towaru.

Wszystko poszło tak gładko, że już po tygodniu Anton Miller mógł kablować do Kapsztadu: przyjeżdżam z potrebnymi dokumentami dla zakończenia transakcji.

Rozdział VII

Znajoma z, recepcji

Znowu lotnisko w Kapsztadzie. Formalności paszportowe i celne. Potem Anton Miller wyszedł do sali ogólnej. Tutaj, jak to zawsze na wszystkich lotniskach świata, spory tłumek czekał na swoich bliskich i znajomych.

Niejako już z zawodowego przyzwyczajenia, a może pod wpływem ostrzeżeń Hansa Zimmermana, przybysz z Rio de Janeiro obrzucił ciekawym spojrzeniem ludzi czekających przed wyjściem z sali odpraw. Od razu zauważył mężczyznę w granatowej marynarce ze srebrnymi guzikami i w szoferskiej czapce ze srebrnym galonem. Ten sam kierowca odwoził Millera z pałacyku w Constantia do hotelu na Rondebosh. Nieco z boku samotnie stała dziewczyna z bukietem w ręku. Tę dziewczynę Szwajcar także znał. Była to jedna z recepcjonistek w hotelu „Intercontinental”.

Nie było w tym nic dziwnego, że recepcjonistka wielkiego międzynarodowego hotelu czeka na kogoś na lotnisku. Ten bukiet kwiatów w jej ręku wydał się również zupełnie normalnym zjawiskiem. Zapewnie wita jakiegoś ważnego gościa hotelu. Może jego dyrektora? A może jest tu po prostu najzupełniej prywatnie i spotyka swojego chłopca?

Za dziewczyną, dwa, trzy metry z tyłu Miller dostrzegł młodego człowieka w dżinsach i kolorowej koszulce z jakimiś napisami.

Miller kątem oka zauważył, że kiedy przechodził koło dziewczyny, ona nagle zrobiła nieznaczny ruch trzymanym w ręku bukietem. Na ten sygnał młody człowiek szybkim krokiem wycofał się i poszedł w kierunku wiszących na ścianie automatów telefonicznych.

„Amatorzy” — pomyślał z rozbawieniem Miller — trzeba się jednak mieć na baczności. Czy tylko mnie śledzą, czy też będą interweniować?”

— Pan pozwoli — kierowca Ruytera uklonił się i zabrał z ręki Millera jego skórzaną walizę — czekałem na pana. Pan dyrektor prosił, aby pojechać prosto do niego, do Constantii.

— Jestem pracownikiem pana van den Ruytera — dostojnie wyglądający pan w średnim wieku przywitał nowo przybyłego — witam pana w imieniu pana dyrektora. Nasz samochód czeka przed dworcem.

— Doskonale — Miller nadał swojemu głosowi ton zadowolenia.

Wsiedli do znanego już Szwajcarowi jaguara. Nie był to jednak opancerzony pojazd. Szwajcar rozglądał się dokoła. Młody człowiek i przystojna recepcjonistka gdzieś zniknęli. Kiedy samochód ruszył, nikt za nim nie jechał. Szybko przebyli nie zabudowane okolice wokół lotniska i zbliżali się do miasta. Miller cały czas miał się na baczności. Zwracał uwagę zarówno na ruch kołowy, jak i na ludzi na chodnikach. Na razie nic się jednak nie działo.

Wjechali do Cape Flats. To uboga dzielnica zamieszkała prawie wyłącznie przez ludność murzyńską.

— Proszę, niech pan stanie — zadysponował Miller.

Kierowca podjechał do krawędzi chodnika. Anton Miller szybko wyskoczył z samochodu, nie wypuszczając z ręki swojej teczki z dokumentami.

— Jedźcie panowie do Constantii — powiedział. — Proszę powiedzieć panu dyrektorowi, że najdalej za godzinę tam się zjawię. Mam tu ważną sprawę do załatwienia.

— Może zaczekamy na pana? — urzędnik firmy Ruytera nie krył zdziwienia.

— Nie. Proszę jechać.

Miller zawrócił w stronę, skąd przyjechali. Auto ruszyło, zaś Szwajcar natychmiast skręcił w jedną z bocznych uliczek. Kluczył przez dobre piętnaście minut w tym labiryncie, gdzie był chyba jedynym białym przechodniem, aż nabrał zupełnej pewności, że nikt go nie śledzi. Chętnie napiłby się kawy i trochę posiedział w jakimś lokalu, ale małe barki i jadłodajnie w tej dzielnicy były przeznaczone wyłącznie dla czarnych mieszkańców Cape Flats. Zapytał więc tylko jakiegoś przechodnia, gdzie się znajduje najbliższy postój taksówek i pomaszerował we wskazanym kierunku.

Na postoju Miller nie wsiadł do pierwszego, lecz do trzeciego z rzędu stojących wozów, co wywołało wyraźne niezadowolenie pierwszego kierowcy, że traci kurs. Ale Szwajcar nie ustąpił.

— Proszę jechać do Constantii — polecił starszemu, siwemu Murzynowi — ale nie najkrótszą drogą. Nie znam Kapsztadu i chciałbym go trochę obejrzeć.

Zadowolony z takiej dyspozycji taksówkarz, obwoził swojego pasażera przez przeszło czterdzieści minut po całym prawie mieście. Wreszcie bojąc się, że zbyt wysoki rachunek może rozgniewać cudzoziemca, skręcił w stronę Constantii i podjechał pod pałacyk van den Ruytera. Milioner sam wyszedł na spotkanie gościa.

— Nareszcie pan się zjawił! — dyrektor wylewnie ścisnął dłoń przybysza — nic się panu nie stało?

— A co mi się miało stać?

— Nie wie pan? Przed pół godziną otrzymałem wiadomość, że na mój samochód na jednym z rond najechała wielka ciężarówka. Kierowca jest potłuczony, mojego sekretarza zabrano do szpitala. Prawdopodobnie ma złamaną nogę. Cały tył wozu jest kompletnie zgnieciony. Cud boski, że to się nie zapaliło, bo i zbiornik benzyny musiał uciec przy kolizji. Jak pan z tego wyszedł bez szwanku?

— Po prostu wysiadłem przed tym wypadkiem. Dojechałem z lotniska tylko do Cape Flats.

— Szczęściarz z pana. Albo jasnowidz? — Ani jedno, ani drugie — spokojnie odpowiedział Miller — po prostu spodziewałem się jakiejś niespodzianki. Jedną już miałem niedawno w Stambule, kiedy jechaliśmy na lotnisko wozem mojego przyjaciela. Na autostradzie wyładowano wtedy w naszym kierunku cały magazynek pistoletu maszynowego. Na szczęście wóz był opancerzony. Pomyślałem, że co się nie udało w Stambule, może być powtórzone w Kapsztadzie. Miałem się na bacności. Tym bardziej że na lotnisku zauważyłem parę młodych ludzi, którzy się wyraźnie interesowali moją skromną osobą. Przypuszczałem jednak, że do zamachu nie dojdzie, skoro napastnicy zauważą moją nieobecność w pańskim wozie. Widocznie pana sekretarza wzięli za mnie.

— Prawdopodobnie.

— A co z kierowcą ciężarówki?

— Korzystając z zamieszania, zbiegł porzucając wóz.

— Telefon do pana dyrektora — zameldował służący.

— Przepraszam — van den Ruyter odszedł w głąb mieszkania.

Kiedy po kilku minutach wrócił, krótko wyjaśnił. — Miał pan rację, to nie wypadek, to był zamach na pana. Wysłałem na miejsce kraksy jednego z moich ludzi i mam najświeższe wiadomości. Policja stwierdziła, że ciężarówka, która rozbiła mój wóz, została przed dwoma godzinami skradziona w Bantry Bay, a przed wypadkiem dość długo stała zaparkowana dwieście metrów od ronda. Ustalono także, że kierowca tej ciężarówki odjechał z miejsca kraksy jakimś starym fordem, który także czekał tuż przy skrzyżowaniu.

— Najwidoczniej komuś zależy, aby nie doszło do naszej małej transakcji — roześmiał się Miller — podobno do trzech razy sztuka.

— Nawet domyślałem się, kto to zorganizował, ale niestety, nikomu niczego nie dowiodę. Mogę tylko powiedzieć, że pewni moi przyjaciele są niezadowoleni, iż ta transakcja wymyka im się z rąk. Sami jej jednak nie umieli sfinalizować przez przeszło rok.

— Znana historia. Pies leży na sianie, sam go jeść nie może, ale krowie nie pozwoli uszczknąć najmniejszego ździebka.

— Właśnie, właśnie — potaknął dyrektor — a pańskie rzeczy?

— Walizka została w samochodzie. W bagażniku z tyłu.

— Obawiam się, że musiała porządnie ucierpieć. Niewiele pewnie z niej pozostało. Z tego, co mi zameldowano, cały tył samochodu jest kompletnie zdemolowany. Jaguar pójdzie do kasacji.

— Zabezpieczyłem się i przed podobną ewentualnością. Szczoteczkę do zębów i maszynkę do golenia mam przezornie w teczce.

— A opcje i dokumenty?

— Są całe, nienaruszone. Również próbki rudy.

Van den Ruyter odetchnął z wyraźną ulgą.

— Będzie pan moim gościem — zdecydował — jutro rano lecimy do stolicy, gdzie będziemy finalizowali umowę. Z chwilą jej podpisania, nic już panu nie będzie groziło, bo przecież bez względu na pańską osobę, dostawa i tak musi być zrealizowana. Ale aż do chwili złożenia podpisów na dokumentach, my obaj musimy się strzec. Dlatego proszę aż do rana nie opuszczać moich skromnych progów. Potrzebne zakupy załatwi moja służba.

— Zgoda — tym razem Miller nie protestował.

— Pan wspomniał o dwojgu młodych ludziach, którzy się nim interesowali na lotnisku. Pan ich zna?

— Mężczyznę, a właściwie młodego chłopca w wieku najwyżej dwudziestu lat widziałem po raz pierwszy w życiu. Nawet nie potrafiłbym opisać, jak on wygląda, bo przezornie stał odwrócony bokiem. Zauważyłem jedynie, że to dość wysoki blondyn. Miał sportową koszulkę z nazwą jakiegoś klubu rugby i podniszczone dżinsy z naszytymi na kolanach łatami z nieco ciemniejszego materiału. Te portki tobym poznał, ale przypuszczam, że do tej chwili już nie istnieją.

— A dziewczyna?

— Pracownica „Intercontinental”. Z recepcji. Trzymała w ręku trzy róże i właśnie nimi pokazała mnie swojemu partnerowi. Na ten znak on pobiegł do telefonu. Właśnie dlatego spodziewałem się, że jakaś niespodzianka nastąpi dopiero w mieście. Gdyby powtarzali numer ze Stambułu ze strzelaniną, chłopak nie biegłby do automatu, lecz zaalarmował któryś z wozów czekających przed lotniskiem.

— Zaraz się zajmę tą dziewczyną. Nasza policja umie z takimi rozmawiać. Wyciśnie z niej wszystko.

— Niczego nie wyciśnie, bo na pewno dziewczyna nie wie. Po prostu dobrze jej zapłacono, aby na lotnisku pokazała pewną osobę. Założę się, że tego młodego człowieka zobaczyła pierwszy raz w życiu dopiero tam na dworcu. Ludzie, którzy przygotowali te dwie niespodzianki, są zbyt mądrzy, aby dać się złapać w tak dziecinny sposób.

— Ma pan rację! Pomimo to recepcjonistkę należy mieć na oku.

— Słusznie. Ale trzeba to robić dyskretnie. Nie przestraszyć dziewczyny. Może jednak ma jakieś powiązania i doprowadzi nas na ślad? Chociaż w to wątpię. A co do kraksy na rondzie, niech pan uda, że pan wierzy w przypadkową stłuczkę.

— Mój kierowca zeznał, że widział ten samochód nadjeżdżający z prawej strony. Ciężarówka pokazywała, że skręca w prawo. Tam jest osobna jezdnia dla skrętu w tym kierunku.

— A pojechał prosto — roześmiał się Miller — stary kawał. Wyrzuca się kierunkowskaz w prawo, żeby sprowokować wóz stojący na rondzie db kontynuowania jazdy, a potem wali się w niego. Albo w prawe drzwi, albo z tyłu. Zależy co jest bardziej wygodne i na kogo się poluje. Czy na tego, który siedzi koło kierowcy po jego prawej stronie, czy na pasażerów na tylnym siedzeniu.

— Nazwiska tej dziewczyny pan nie zna?

— Słyszałem, jak jakaś jej koleżanka mówiła do niej „Liz”.

— Najpewniej skrót od Elizabeth.

— Albo od Elisha.

— To już wystarczy, żeby ją zidentyfikować. Dyrektor „Intercontinentalu” jest moim dobrym znajomym, a poza tym musi się ze mną liczyć. Zaraz zadzwonię do niego.

Van den Ruyter wykręcił numer hotelu.

— Proszę mnie połączyć z dyrektorem Hertzogiem. Mówi Ruyter... Dyrektorze, czy pan ma u siebie w recepcji dziewczynę o imieniu Elizabeth lub Elisha? Jak jej nazwisko? Bloom? Przez dwa „o”? Czy dzisiaj była w pracy? Aha, jest od tygodnia na urlopie. Dziękuję. Nie, nic takiego. Po prostu jednemu z moich znajomych wpadła w oko i męczył mnie, abym się dowiedział jej nazwiska. Sam pan wie, dyrektorze, jak to bywa. Facet dostał bzika na punkcie tej jednej, jedynej. Jeszcze raz bardzo dziękuję — Ruyter położył słuchawkę.

— Mamy już i nazwisko tej pani, i wiemy, że to była na pewno ona. Biedula, pewnie cały tydzień trzymała wartę na lotnisku, aby doczekać się mojego przylotu. Czy jej się to opłaciło?

— Zarobiła kilkaset randów. Nie więcej.

— Zapewne chyba nie zdawała sobie sprawy, jak przypuszczam, w jaką kabałę pakuje się za te kilka groszy.

— Biedni ludzie tanio kosztują — zauważył sentencjonalnie van den Ruyter.

— My jesteśmy drożsi.

— Toteż częstowali pana w Stambule nie randami, a kulą. Biedny by od niej zginął, pan siedział w opancerzonym mercedesie.

— Pan jednak nie ma takiego wozu.

— Dlatego kupujemy wolfram, żebyśmy nie musieli jeździć pancernymi samochodami. Trzeba czarnuchów trzymać mocno w garści.

Miller uśmiechnął się sceptycznie.

— Tak, jak to robiono w Rodezji, a przed tym w Mozambiku i w Angoli.

— Oni popełniali błędy. Terroryzowali czarnych. A my ich tylko oddzielamy. Tworzymy bantustany, gdzie murzyńska ludność jest u siebie i rządzi się sama. My się do bantustanów nie wtrącamy.

Szwajcara nic nie obchodziły problemy polityczne Republiki Południowej Afryki. Chciał tu tylko zarobić pieniądze. Szybko więc zmienił temat:

— Wspominał pan, że jutro udamy się do Pretorii. Samochodem?

— Nie. Polecimy moim prywatnym samolotem. Moje interesy wymagają częstych rozjazdów. W kraju i za granicą. Własny samolot rozwiązuje znakomicie te problemy. Pierwsze spotkanie mamy umówione jutro o dwunastą. O dziewiątej musimy wystartować. Może teraz uda się pan do swojego pokoju, żeby trochę odpocząć po dzisiejszej podróży i przygodach z nią związanych. Potem chciałbym, abyśmy porozmawiali o interesach. Wprawdzie jutro, na konferencji, będę reprezentował przeciwną stronę, tę która kupuje, ale już dzisiaj wolałbym wiedzieć, jak sprawy wyglądają.

W pokoju gościnnym Anton Miller zastał leżące na stole koszule, bieliznę i krawat odpowiedni do garnituru. W rogu pokoju znajdowała się jego walizka, a raczej smętne resztki, jakie z niej pozostały. Wszystko oblane było olejem silnikowym. Spora bańka, jak to Szwajcar zauważył, znajdowała się w bagażniku, do którego kierowca włożył walizkę.

Miller wyjął z kieszeni pięć dolarów, randów nie miał, bo nie zdążył wymienić waluty, wręczył pieniądze służącemu i poprosił go o usunięcie walizki wraz z całą zawartością. U siebie w domu może usiłowałby ocalić przynajmniej ubrania. Tutaj trzeba było trzymać fason.

Po kolacji obaj biznesmeni długo konferowali. Doszli jednak do całkowitego porozumienia. Van den Ruyter uważał, że propozycje Millera będą zaakceptowane. Oczywiście nie bez targów.

Nazajutrz, kiedy Miller zszedł na dół na śniadanie, van den Ruyter pokazał mu artykuł w porannej gazecie. Na plaży w False Bay

policja znalazła ciało młodej kobiety zamordowanej ciosem noża w plecy. Gazeta sugerowała, że to prawdopodobnie mord seksualny, popełniony jak zwykle przez jakiegoś czarnego zbrojnego. Udało się ustalić tożsamość zabitej. Była to pracownica „Intercontinentalu”, miss Elizabeth Bloom.

— Biedna dziewczyna — zauważył Szwajcar — szkoda mi jej. Była naprawdę przystojna i zawsze się do mnie uśmiechała.

— Dobrze jej tak. Doigrała się. Nie trzeba było się wdawać w podejrzaną sprawę. Wcale jej nie żałuję. Zwróć uwagę dyrekcji hotelu, a mam tam sporo do powiedzenia, aby staranniej dobierali personel.

— Zginęła dlatego, że ja żyję. Może rzeczywiście lepiej było sprawę przekazać policji? Może znaleźliby ją jeszcze żywą?

Na lotnisko udali się trzema samochodami jadącymi gęsto, jeden za drugim. Ford, w którym siedzieli Ruyter ze swoim gościem, znajdował się w środku. Przejazd przez miasto i dojazd na lotnisko odbyły się bez żadnych niespodzianek. Na płycie, gotowa do startu, czekała sześcioposadzowa maszyna. Samolot wystartował natychmiast, kiedy tylko dwaj panowie zajęli w nim miejsca.

Po dwóch godzinach wylądowano na podstołecznym lotnisku. Tutaj także van den Ruyter, na wszelki wypadek, zorganizował odpowiednią obstawę. Ale, tym razem zostawiono ich w spokoju.

Punktualnie o godzinie dwunastej, w gmachu dyrekcji ROKSI, poproszono Antona Millera do sali konferencyjnej, gdzie za dużym okrągłym stołem siedziało ośmiu panów, w tym oczywiście również i van den Ruyter. Po krótkiej prezentacji, z której Miller zorientował się jedynie, kto jest naczelnym dyrektorem koncernu, a kto jego zastępcą, rozpoczęło się pierwsze spotkanie stron.

Rozdział VIII

Konferencja okrągłego stołu

— Chciałbym — na wstępie zabrał głos van den Ruyter — żebyśmy wysłuchali propozycji pana Antona Millera w interesującej nas sprawie. Pozwolę sobie zaznaczyć, że znam pana Millera od wielu lat i wiem, że jest to poważny handlowiec, człowiek godny zaufania, którego ofertę musimy traktować jako coś bardzo konkretnego.

— Proszę zatem — naczelny dyrektor ROKSI przewodniczył naradzie — żeby pan Miller wyłożył swoje atuty.

— Szanowni panowie, sprawa na pewno w zarysie jest wam znana — zaczął Szwajcar. — Na rynkach światowych nie ma obecnie żadnych możliwości kupna większych ilości wolframu potrzebnego waszemu przemysłowi stalowemu. Wolfram uznany został przez wielkie mocarstwa za artykuł strategiczny i jego sprzedaż przemysłowi nie kontrolowanemu przez te mocarstwa jest ściśle reglamentowana. Jednocześnie cała produkcja wolframu; zakłady flotacyjne i huty są także w rękach tylko kilku dysponentów.

Uczestnicy zebrania potakiwali głowami. Oni tę sytuację znali bodaj lepiej niż ich gość.

— Z tych względów — ciągnął Miller — wolfram w przemysłowej postaci jest dla ROKSI nieosiągalny. Przynajmniej w tej ilości, jaka jest temu koncernowi potrzebna. Jednakże moja firma

„Züricher Import-Export Gesellschaft” ma możliwość sprzedania panom i dostarczenia loco jakikolwiek port rudę wolframową pochodzenia brazylijskiego, a najlepszą ze wszystkich dotychczas odkrytych. Ruda ta zawiera cztery do dziewięciu promille liczone w czystym wolframie. Składając panom moją ofertę, dysponuję zarówno oficjalnymi atestami brazylijskimi, jak też i próbkami tej rudy. Wasz przemysł produkuje wanad, tytan i mangan oraz inne rzadkie metale. Metody flotacji, a później wytopu tych rud są prawie identyczne jak przy wolframie. Sądzę więc, że powinniście się zainteresować moją propozycją. Gdyby moja oferta została przez panów zaakceptowana, jestem gotów do szczegółowych rozmów w gronie ekspertów i finansistów dla ustalenia ceny jak również warunków dostawy.

— Jaka byłaby cena kilograma wolframu w pańskiej rudzie? — zapytał naczelny dyrektor ROKSI — Czy mógłby pan nas poinformować choćby w pewnym przybliżeniu.

— Wynosiłaby ona około tysiąca pięciuset dolarów za kilogram. Jest to cena znacznie niższa od wolframu sprzedawanego przez Amerykanów.

— Ale do tego dochodzą koszty przeróbki rudy — wtrącił jeden z obecnych.

— Oczywiście — zgodził się Miller — ale wolfram, a właściwie jego pochodna wolframit, znajduje się w wysokoprocenowej rudzie żelaza. Tę rudę otrzymujecie, można powiedzieć, już za darmo i to loco huty. Surówka wytopiona z tych odpadów flotacyjnych pokryje koszty produkcji wolframu.

— To należałoby jeszcze obliczyć.

— Naturalnie — zgodził się Miller — ale wskazuję panom te możliwości.

— Rud żelaza mamy u siebie tyle, że nie musimy ich importować — zabrał głos rudy, wysoki mężczyzna siedzący po prawej ręce naczelnego dyrektora.

— Macie rudę, wiem o tym — bronił się Miller — ale musicie ją wydobyć i przewieźć do hut. Tę, która pozostanie po wyciągnięciu

z niej wolframu, macie od razu na miejscu.

— Jakie ilości wchodzi w grę?

— Mam opcję na zakup w kopalniach brazylijskich sześćdziesięciu pięciu tysięcy ton rudy.

— Ile z tego będzie czystego wolframu?

— Około czterystu pięćdziesięciu ton.

— Bardzo mało! — zawołał rudzielec.

— To najbogatsze złoża na świecie. Amerykanom czy Japończykom opłaca się eksploatować pokłady o połowę mniej wydajne.

— Jaki byłby ogólny koszt całej transakcji? — zapytał przewodniczący.

— Około siedemdziesięciu milionów dolarów.

— To ogromne pieniądze. Czy mamy gwarancje, że transakcja dojdzie do skutku?

— Sprzedawca zadowolony się listem kredytowym zrealizowanym dopiero wtedy, kiedy statek wiozący rudę przycumuje przy nadbrzeżu waszego portu. To chyba najlepszy dowód dobrej woli z naszej strony.

— Siedemdziesiąt milionów dolarów za sześćdziesiąt pięć tysięcy ton rudy to bardzo drogo — rudowłósy przemysłowiec znowu oponował. — Według moich informacji Amerykanie płacą znacznie taniej.

— Ma pan rację. Amerykanie mają swoje zakłady flotacyjne w Brazylii, w pobliżu kopalń. W ten sposób mogą dyktować ceny tym kopalniom i nie muszą utrzymywać swoich transakcji w tajemnicy. Rozporządzają również środkami transportu, statkami, które przez całe lata wożą wyłącznie tę rudę. Co innego moja firma. Kupuje ona rudę, musi ją przewieźć do portu na wybrzeżu Brazylii, tam w tajemnicy przeładować na statek, który z kolei po wyładowaniu rudy u was po prostu przestanie istnieć. To wszystko stwarza dodatkowe, wysokie koszty.

— Proszę to jaśniej wytłumaczyć.

— Prosta sprawa. Sześćdziesięciu pięciu tysięcy ton rudy nie uda się wywieźć z Brazylii i to pod bokiem Amerykanów tak, żeby o tym nikt nie wiedział. Trzeba mieć bardzo poważnego nabywcę, nie budzącego żadnych wątpliwości. Tylko pod tym warunkiem Brazylijczycy wydadzą licencję eksportową. Tym nabywcą nie może być przecież ROKSI, przedsiębiorstwo państwowe Republiki Południowej Afryki. Rudę dostaniecie jednak wy, a nie ten, kto ją nabył od Brazylijczyków. Stąd wniosek, że statek wiozący tę rudę musi zniknąć z powierzchni ziemi. Może nie tyle ziemi — roześmiał się Miller — co powierzchni oceanu. Jasne?

— Pomimo tych bzdurnych sankcji — rudzielec znowu się upierał przy swoim — kupujemy ropę naftową bez żadnych trudności. Po cenach niewiele wyższych niż ceny OPEC. To samo da się załatwić i z wolframem.

— Panie prezesie — odpowiedział van den Ruyter — rozumiem i podziwiam, że kierowany przez pana LOSAS zaopatruje nas w dostateczne ilości ropy i benzyny, ale to przecież właśnie wy od prawie dwóch lat robicie starania zdobycia wolframu i niczego nie wskóraliście. A tu mamy konkretną ofertę na szybką dostawę.

— Na razie nic nam nie wyszło — bronił się prezes państwowej rafinerii LOSAS w Durbanie — ale jesteśmy na najlepszej drodze dogadania się z Amerykanami. Prezydent Reagan jest bardziej życzliwie nastawiony do naszego państwa, niż jego poprzednik Carter.

— Kiedy więc konkretnie moglibyście dostarczyć nam wolfram? — zapytał naczelny dyrektor ROKSI.— Proszę o ścisły termin.

— Trudno mi to dzisiaj tak dokładnie określić.

— A pan, panie Miller?

— W ciągu trzech miesięcy, panie dyrektorze, a może nawet prędzej, będziecie mieli rudę w Afryce. Uważam, że nie możecie zbyt liczyć na Amerykanów i ich przychylność. W związku z planami prezydenta Reagana rozbudowy amerykańskich sił zbrojnych, oni sami potrzebują zwiększonych dostaw wolframu.

Strategicznych rezerw tego metalu dla was na pewno nie naruszają. Zaznaczam jednak, że moja oferta jest na jednorazową sprzedaż rudy. Taki numer drugi raz nie przejdzie.

— Trzy miesiące — powtórzył naczelny dyrektor — słyszał pan, panie prezesie LOSAS. Czy w podobnym terminie może pan nam zagwarantować przynajmniej połowę tej ilości wolframu, jaką byśmy uzyskali przyjmując propozycję pana Millera?

— Nie mogę tego tak ściśle umiejscowić w czasie. Ale jestem przekonany, że potrafimy zdobyć wolfram bez ryzyka wdawania się w niepewne i niepoważne transakcje.

— Ale kiedy? Nasze huty tymczasem nie mogą się wywiązać z zamówień na dostawę wysokogatunkowej stali.

— Nie widzę tu żadnego ryzyka — dorzucił van den Ruyter — przecież nie wykładamy z góry ani jednego randa. Mamy tę gwarancję, że płacimy loco nasze porty. Nie dziwię się też panu Millerowi, że musi mieć także zabezpieczenie w postaci listów gwarancyjnych.

— Zrobicie panowie, co uznacie za stosowne. Pamiętajcie, że od początku byłem przeciwny tej transakcji i że was ostrzegałem — krakał rudowłosy.

Teraz już Anton Miller wiedział, czyja ręka kierowała obu zamachami. Tym w Stambule i tym drugim w Kapsztadzie.

— Jak pan zorganizuje przewóz rudy z kopalni do Afryki? — padło kolejne pytanie. — Pańska firma rozporządza własnym transportem?

— Nie. Cały ładunek z kopalni na wybrzeże obciąża sprzedawcę, który dysponuje dużymi barkami i holownikami. Załadunek zostanie dokonany albo w którymś z małych portów, albo bezpośrednio z barek na wodzie. Nasz statek będzie do tego specjalnie przystosowany.

— Co to za statek?

— Transportem morskim zajmie się firma „Liverpool Shipping Company” zarejestrowana w Liberii.

— Ma odpowiedni masowiec?

— O ile wiem, nie rozporządza w tej chwili żadną pływającą jednostką, poza dwoma małymi stateczkami mającymi co najmniej trzydzieści lat.

— To kpiny — mruknął rudowłosy prezes LOSAS.

— Właśnie taka firma nam jest potrzebna. Przecież tłumaczyłem, że statek i tak pójdzie na straty. Żadne inne przedsiębiorstwo mające większy majątek nie zgodzi się na jakiegokolwiek ryzyko. Przecież może dojść do procesów i nawet do dochodzeń policyjnych. A tak, najwyżej „Liverpool Shipping Company” zostanie skreślona z rejestru. To i dla nabywcy jest dużo wygodniejsze.

— Ciekawy jestem, skąd ten „Liverpool” weźmie pieniądze na zakup rudowęgłowca?

— To proste. Wy dacie te pieniądze. W cenie, jaką wymieniłem, zawarta jest już i ta okoliczność. Wystawicie dwa listy kredytowe. Jeden na zakup statku, drugi na kupno rudy.

— Nie chcę tego dłużej słuchać — prezes LOSAS podniósł się ze swojego fotela — oświadczam i proszę to zaprotokółować, że jestem kategorycznie przeciwny tej nie tylko podejrzej, ale wręcz kompromitującej transakcji, która i tak nie dojdzie do skutku. Żegnam panów — rudowłosy z lekka kiwnął głową i majestatycznym krokiem opuścił salę narad.

— Wścieka się — mruknął van den Ruyter — bo sam chciał zrobić ten interes, ale nie umiał go nakręcić. Poradzimy sobie i bez tego pana.

— Jednak Verwoerd obiecał — zauważył przewodniczący — pokryć część kosztów transakcji. Obiecywał wkład w wysokości trzydziestu procent.

— Mój bank gotów jest pokryć piętnaście procent kosztów transakcji i zobowiązuje się wyszukać niedrogi kredyt na pozostałe piętnaście procent — zadeklarował Ruyter. Oczywiście tylko w wypadku, jeśli ROKSI uzna ofertę pana Millera za odpowiednią do sfinalizowania.

Narada trwała jeszcze przeszło godzinę. Anton Miller musiał odpowiadać na wiele pytań i wyjaśniać najrozmaitsze wątpliwości.

— Najważniejsze dla nas jest to — stwierdził naczelny dyrektor koncernu — aby dostawy wolframu przebiegły w pełnej tajemnicy aż do momentu, kiedy ruda znajdzie się w naszych zakładach. Przedwczesne ujawnienie tego faktu groziłoby nie tylko nam, ale nawet naszemu państwu nieobliczalnymi konsekwencjami na arenie międzynarodowej i mogłoby nas narazić na nieoczekiwane represje. Pomijani państwa Czarnej Afryki. Z nimi nie potrzebujemy się zbytnio liczyć. Jednakże gdyby Europa Zachodnia tak naprawdę zastosowała sankcje gospodarcze i jeszcze wywarła w tym względzie nacisk na Amerykę, moglibyśmy się znaleźć w ogromnie trudnej sytuacji.

— My chcemy na tej transakcji uczciwie zarobić. A zarobić — wyjaśniał Miller — to znaczy doprowadzić ją szczęśliwie do końca. Nam tym bardziej zależy na zachowaniu tajemnicy. Dlatego też prosiłbym panów, jeśli dojdziemy do porozumienia, żeby sprawa była znana jak najmniejszej liczbie osób. Szczegóły transakcji i terminy dostawy muszą pozostać jak najściślejszą tajemnicą.

— Przede wszystkim dla naszego bratniego koncernu LOSAS — dorzucił van den Ruyter. — Przecież Miller sprząta im sprzed nosa piękny interes. Tego mogą mu nie darować, a torpedując zabiegi pana Millera, zaszkodzą nam.

— Tylko częściowo podzielam obawy prezesa van den Ruytera — uśmiechnął się naczelny dyrektor ROKSI. — LOSAS nie zaryzykuje działania przeciwko nam. To także przedsiębiorstwo państwowe. Poza tym mamy wpływ na jego postępowanie. Ale naturalnie zgadzam się z panem Millerem, że im mniej ludzi będzie wiedziało o naszych projektach, tym lepiej dla przyszłej transakcji.

— Sądzę, że nie musimy już dłużej zatrzymywać pana Millera — oświadczył zastępca naczelnego dyrektora ROKSI — znamy

ogólne założenia przyszłej transakcji. Naradzimy się, czy to nam odpowiada i jeśli tak, jutro nasi eksperci mogliby w porozumieniu z panem Millerem przystąpić do sporządzenia wstępnego projektu umowy. W jakim hotelu pan się zatrzymał?

— Nie myślałem o tym. Przyleciałem z Kapsztadu prosto na spotkanie z panami.

— Pan Miller będzie moim gościem — wyjaśnił van den Ruyter — mój sekretarz zaopiekuje się nim w czasie naszej narady. Muszę panom wyjaśnić, że z panem Millerem łączy nas przyjaźń zawarta przed przeszło dziesięcioma laty.

Szwajcar wstał i pożegnawszy się z zebranymi, opuścił salę. Przemysłowiec z Kapsztadu nie posiadał wprawdzie w Pretorii własnego pałacyku, ale dysponował obszernym mieszkaniem w centrum miasta. Znalazł się tam i pokój gościnny dla znajomego z „Mewy Południa”. Rozglądając się po pięknie umeblowanym apartamencie, Anton Miller myślał, jak daleką drogę przebyły były przemytnik broni od chwili kiedy obaj mężczyźni widzieli się po raz ostatni. Tam nie było antyków i gustownego pałacyku, jedynie mały, kołyszący się na falach oceanu jacht, Murzyni transportujący ciężkie skrzynie z bronią i amunicją oraz dwaj biali nie ufający sobie nawet za grosz i nie wypuszczający broni z ręki nawet na sekundę. A z oddali dochodził szum motorów kutrów pościgowych generała Gonowana usiłujących udaremnić przemyt broni dla przeciwnika, zbuntowanej Biafry.

Dzisiaj jeden z tych dwóch mężczyzn jest milionerem i szanowanym przemysłowcem w swoim kraju. Drugi ściganym przez francuską policję bandytą i handlowcem bardzo podejrzanej konduity. A przecież jeden nie był pod względem moralności czy uczciwości ani za grosz lepszy od drugiego. Żaden z nich także nie miał najmniejszych skrupułów w zdobyciu pieniędzy. Po prostu w tej grze jeden miał szczęście, a drugi pecha. Jeden wygrywał, drugi zawsze trafiał na pusty los.

„Może teraz będzie inaczej — myślał Anton Miller czekając na powrót byłego kapitana jachtu „Mewa Południa”.

— Wygraliśmy — powiedział van den Ruyter wchodząc do mieszkania — pańskie propozycje zostały zaakceptowane. To oczywiście nie oznacza jeszcze podpisania umowy, ale jutro rozpoczniecie rozmowy na ten temat. Mam jednak nadzieję, że się dogadacie, chociaż uprzedzam, nie będzie to łatwe. ROKSI to poważny, ale trudny kontrahent.

— Ten rudy džentelmen bardzo nam przeszkadzał. Kto to taki?

— William Verwoerd. Prezes Rady Nadzorczej firmy LOSAS. Rafineria i petrochemia. Jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w państwie. To jego oficjalne stanowisko jest zaledwie drobną częścią możliwości i majątku tego pana, do którego należą różne zakłady przemysłowe, wielkie farmy hodowlane z tysiącami czy dziesiątkami tysięcy krów i owiec. W rękach tej rodziny znajduje się przynajmniej połowa ziemi w Natalu i w Oranie oraz większość przemysłu tych prowincji.

— Nie rozumiem, dlaczego on tak wrogo ustosunkował się do mnie. Jak te wyraźnie wynikało z przebiegu narady, sam nie był w stanie przeprowadzić tej transakcji. Z tego co pan mówi, wynika, że Verwoerd jest bogaczem, nieudany interes, w który, zresztą nie angażuje swoich kapitałów, nie przyniesie zbyt wielkiego uszczerbku jego fortunie.

— Na pewno.

— To dlaczego usiłuje nam przeszkodzić? Przypuszczam, że oba incydenty w Stambule i w Kapsztadzie były pomysłem tego pana.

— Domyślałem się tego, kiedy dowiedziałem się od pana o przebiegu wypadków. Teraz, po dzisiejszej naradzie, jestem już tego pewien. Ma on dostatecznie długie ręce, aby takie akcje zorganizować.

— W jakim celu? Usunięcie mnie nie dałoby mu żadnej szansy przeprowadzenia tego interesu samemu. Poszedł przecież zupełnie błędną drogą.

— Tu nie chodzi nawet o zarobek. Po prostu William uważa, że w Południowej Afryce nic się nie może dziać bez udziału rodziny Verwoerd. Gdyby pan dotarł nie do mnie, a do niego, na pewno byłby entuzjastą całej sprawy.

— A pan przeciwnikiem, drogi van den Ruyter?

— Chyba nie — szczerze odpowiedział Afrykaner — w porównaniu z fortuną Verwoerdów jestem żebrakiem. Nie stać mnie na takie fanaberie. Poza tym my, bankierzy, umiemy liczyć. Jeśli się na jednym nie zarobi, szuka się okazji gdzie indziej. W takim wypadku jak ten, nie pogardziłbym zyskami z sfinansowania transakcji, jak to zrobił obrażony William. Toteż od razu skorzystałem, aby wskoczyć na jego miejsce.

— Kiedy się wyzłoci, pewnie pożałuje tego kroku. Bądź co bądź na udzieleniu kredytu ponad dwadzieścia milionów dolarów także się nieźle zarabia.

— Sądzę, że on już teraz żałuje.

— Tym bardziej niebezpieczny może być dla nas. Wie dość dużo, żeby nam przeszkodzić. Taki niby to przypadkowy przeciek wiadomości do Amerykanów byłby bardzo groźny. Albo tylko do państw Czarnej Afryki.

— Na to się nie ośmieli. Za dobrze wie, jak naszemu państwu zależy na zdobyciu wolframu. A dzisiaj się zdradził, że jest przeciwnikiem tej transakcji. Nawet Verwoedzi nie mogą pozwolić sobie na zadarcie z rządem. Ale nie wykluczone, że spróbuje panu spletać jakiegoś figla.

— Nowy zamach na moją osobę?

— Raczej nie, bo nie działa pan sam. To by tylko trochę odwlekło realizację kontraktu. Niemniej miejcie się na baczności. Ja także swoimi stosunkami postaram się jakoś ułagodzić tego pana. Może mi się to uda? ROKSI to potężny koncern. Największy w naszym kraju. Oni dobrze znają Williama Verwoerda. Niewątpliwie próbują przemówić mu do rozumu.

— Nie można jednak lekceważyć Verwoerda. — Millera nie zachwyciły wiadomości o swoim przeciwniku.

Przez cały tydzień trwały twarde rozmowy. Van den Ruyter nie przesadzał. ROKSI umiał chodzić koło swoich interesów. Miller z bólem serca przyglądał się, jak topnieją te miliony zarobku, na które tak liczył. Musiał jednak iść na daleko posunięte ustępstwa. W ostatecznym rezultacie i tak dla wszystkich współników pozostały ładne sumki do zainkasowania i Szwajcar przyznawał w duchu, że zbyt wielka krzywda go nie spotkała, mimo że początkowo liczył na znacznie większe pieniądze.

Ale i strona przeciwna musiała także rezygnować ze swoich pierwotnych żądań. Zgodziła się na pełne kredytowanie zakupów gwarancjami bankowymi. Wyasygnowała nawet poważną zaliczkę, gdyż na kredyt można kupić rudę i statek, ale nie zaangażuje się na ten statek załogi, ani nie kupi materiałów pędnych, żeby transport mógł dopłynąć do miejsca przeznaczenia.

Jednakże biznesmeni afrykańscy nie dali tych pieniędzy na piękne oczy Antona Millera. Weksle gwarancyjne musiały nosić żyro Hansa Zimmermana, o którego majątku przeprowadzono skrupulatny wywiad. Ale i to dało się załatwić. Umowa została podpisana i Szwajcar opuszczał Republikę Południowej Afryki unosząc w swojej teczce listy gwarancyjne na sumę ponad sześćdziesiąt pięć milionów dolarów oraz dowód wpłaty na jego konto w „Credit Suisse” kilkuset tysięcy dolarów. Ponadto miał gwarancję Merca Banku, że po sfinalizowanej transakcji wypłacona mu będzie prowizja w wysokości pięciu procent od kwoty zakupu rudy, to jest od pięćdziesięciu jeden milionów dolarów. Na taką bowiem kwotę opiewała opcja wystawiona przez spółkę, której własnością była kopalnia w Brazylii. Z tej prowizji Miller zobowiązał się pokryć wszystkie inne koszty nie wymienione w umowie, jak wynajęcie statku, jego eksploatację, należności załogi i opłaty portowe. Z tej prowizji także miała być potrącona kwota zaliczki.

Przez cały czas pobytu w Południowej Afryce Anton Miller ani przez chwilę nie pomyślał o Mary Strijdom, zwanej przez przyjaciół

Marietjie. Skończyła się miła przygoda, zaczął się wielki interes.

Kiedy odlatując do Europy, Szwajcar żegnał się ze swoim kapsztadzkim przyjacielem, van den Ruyter mimochodem zauważył:

— A wie pan, nasz miły William Verwoerd miał śmieszna przygodę.

— Jaka?

— W nocy do sypialni w jego willi w Durbanie ktoś wrzucił bombę. William w popłochu uciekł prawie nago na ulicę i narobił alarmu. Przyjechała policja i specjaliści wojskowi.

— Bomba nie wybuchła?

— Wybuchła, ale nie była napelniona materiałami wybuchowymi, lecz zwykłymi bombkami czekoladowymi. Podobno cały pokój był umazany czekoladą. Gdyby bomba była prawdziwa, z Verwoerda zostałyby mizerne szczątki. Ale śmiechu było dużo.

Anton Miller nie skomentował opowiedzianej mu historyjki.

Rozdział IX

Szatański plan

Wszyscy wspólnicy zjechali się znowu w zacisznej willi Hansa Zimmermana na jednej z wysp Książęcych, na morzu Marmara. Tym razem nastrój był pełen euforii. Sprawa była już właściwie zapięta na ostatni guzik, bo nie tylko że zakupiono rudę wolframową, ale jeszcze dzielnemu Libańczykowi z paszportem USA, Frederickowi Gabonowi, udało się wyszukać odpowiedni statek dla przewiezienia tego ładunku z Brazylii do Kapsztadu. Był to japoński masowiec „Kuretake Maru”, który przez długie lata woził pszenicę z Australii do Hongkongu lub do portów japońskich. W tej chwili „Kuretake Maru” musiałby być poddany generalnemu przeglądowi, gdyż jego ubezpieczenie kończyło się za pół roku. Japoński armator zamiast ponieść wysokie koszty remontu, wolał go sprzedać, jak to się mówi, za „psi grosz”.

— Statek tym razem zabiera z Birmy transport ryżu do Europy. To dla nas dodatkowa korzyść. Nasza załoga będzie mogła wejść na „Kuretake Maru” w porcie wyładunku.

— Ile trzeba zapłacić za tego grata? — zapytał Zimmerman.

— Drobiazg. Dziewięć milionów siedemset tysięcy dolarów. Ale nasz stateczek ubezpieczony jest na siedemnaście milionów.

Jego pojemność wynosi siedemdziesiąt tysięcy BRT. Akurat tyle, ile potrzebujemy. Mam opcję do końca tego miesiąca.

— Chyba kupujemy? — zapytał gospodarz.

— Kupujemy — potaknął Armond Fock.

— Mam list gwarancyjny szwedzkiego „Enskilda Banka”. Trzeba natychmiast podpisać kontrakt kupna i wręczyć Japończykom tę gwarancję bankową. Na pieniądze poczekają trzy miesiące, a w najgorszym razie będą mogli ten list kredytowy zdyskontować w jakimkolwiek innym banku.

— A ja? A mój zarobek? — Libańczyk nie mógł się doczekać swoich pieniędzy.

— Z chwilą kiedy statek zostanie przerejestrowany na „Liverpool Shiping Company”, Miller podpisze z tą firmą, czyli z panem — tłumaczył Zimmerman — umowę na wydzierżawienie statku. Dwieście osiemdziesiąt pięć tysięcy dolarów za każdy miesiąc od momentu wejścia załogi na „Kuretake Maru”. Regulowane przelewem w „Crédit Suisse”, gdzie obaj macie swoje konta.

— Płatne z góry za trzy miesiące naprzód gotówką — zastrzegł się Gabon.

— Pan chyba zwariował? — oburzył się Miller.

— Niech pan nie plecie głupstw, panie Gabon. I tak dostanie pan przeszło pół miliona albo i więcej za nic — interweniował Zimmerman — jedynym człowiekiem, który w tej sprawie coś ryzykuje, jestem ja, bo żyrowałem weksle gwarancyjne Millera.

— Moja firma... — Libańczyk usiłował się bronić.

— Może się pan jeszcze wycofać. Razem ze swoją opcją na kupno „Kuretake Maru”. Znajdziemy inny statek i inną banderę.

Frederick Gabon zamilkł. Kochał pieniądze, ale zrozumiał, że nie można przeciągać struny.

— Pan Fock — powiedział Zimmerman, który w tym towarzystwie odgrywał rolę „wielkiego mózgu” — zaraz poleci do Brazylii i podpisze kontrakt kupna rudy płacąc listem gwarancyjnym, który panu da Miller. On zaś uda się do Japonii, aby tę rudę sprzedać.

Tylko Japonia będzie na tyle poważnym kupcem, że nie wzbudzi żadnych podejrzeń Brazylijczyków i wydadzą nam licencję wywozową. Gdyby nawet Amerykanie przed czasem dowiedzieli się o tej transakcji, trudno im będzie ją zepsuć.

— A załoga? — zaniepokoił się Libańczyk.

— Mój przyjaciel kapitan Litakis z Pireusu wyszukał nam odpowiedniego dowódcę statku. Będzie nim kapitan Achilles Borgulis — tłumaczył Zimmerman — wprawdzie nie radziłbym badać autentyczności patentu kapitana żeglugi wielkiej Borgulisa, ale na pewno potrafi on doprowadzić statek od ujścia Amazonki do Kapsztadu. Tak nawiasem mówiąc, jest to straszny pechowiec. Już trzy jednostki, którymi uprzednio dowodził, przybiły do portu Neptuna. Ale to nie załamało Borgulisa. Jest gotów świadczyć nam usługi. Naturalnie za odpowiednim wynagrodzeniem. Sądzę, że lepszego fachowca nie mamy potrzeby szukać. Litakis gwarantuje za niego.

— A reszta załogi?

— Tym się zajmie sam Borgulis, ewentualnie z pomocą Litakisa. Nie za dużo ludzi. Za to z najrozmaitszych krajów i takich, którzy lubią zarobić, ale i umieją trzymać język za zębami. Po szczęśliwym zakończeniu rejsu — tu Zimmerman uśmiechnął się znacząco — ludzie ci rozjadą się we wszystkie strony świata. Będzie tam kilku Greków, trochę Tunezyjczyków, Hindusi, marynarze z Bangladeszu, nie zabraknie zapewne i Chińczyków z Hongkongu czy Singapuru lub przedstawicieli obu Ameryk. Możemy polegać na kapitanie Borgulisie. Ten człowiek ma pod tym względem duże doświadczenie i załogę skompletuje taką, jaka mu będzie potrzebna.

Kiedy wszystkie szczegóły sprawy omówiono i czterej panowie siedzieli przy czarnej kawie popijając ją znakomitymi koniakami i likierami (słodkie alkohole to ulubione napoje ludzi Wschodu, do którego zaliczać trzeba i Liban), Frederick Gabon wystąpił z nowym projektem. Tu już nie chodziło o marne kilkaset tysięcy czy głupi

milionik, ale o zarobek, który aż dech w piersiach zapierał. Ryzyko duże, nawet „wieloletnie”, ale miliony jeszcze większe. Warte tego ryzyka.

Arnond Fock i Anton Miller z entuzjazmem przyjęli propozycję Libańczyka. To było to, o co im chodziło. Raz w życiu dobrze zarobić, a potem choćby zniknąć z horyzontu. Po to jedynie, aby pod zupełnie inną postacią odnaleźć się gdzie indziej.

Hans Zimmerman nie podzielał zapału swoich gości.

— To nie dla mnie, moi panowie. Ja do tego ręki nie przyłożę, chociaż nie będę wam przeszkadzał. Róbcie to beze mnie. Trochę się dorobiłem. Mój majątek jest uchwytny i w razie wpadki wylądowałbym na ulicy w jednych spodniach i koszuli. Mnie się takie ryzyko już nie opłaca. Spokojnie tutaj żyję, na ten kieliszek chleba zawsze zarobię. Kieruję waszymi operacjami, ale moja rola skończy się z chwilą, kiedy „Kuretake Maru” odbije od brzegów Brazylii. Wtedy zainkasuję moje pieniądze i powiem wam grzecznie do widzenia. Dalej płynicie beze mnie.

— Jak pan uważa — zgodził się Gabon — dla nas lepiej. Będziemy dzielili forszę na trzy, a nie na cztery kupki.

— Dzielcie sobie, szczęście wam Boże.

Nazajutrz pałacyk na Wyspach Książęcych opustoszał. Arnond Fock łąpał połączenia lotnicze do Rio de Janeiro, Frederick Gabon odleciał do Hamburga, gdzie z przedstawicielem japońskiego armatora miał sfinalizować kupno „Kuretake Maru”, zaś Anton Miller do Kopenhagi, aby tam przesiąść się w samolot SAS lecący przez biegun północny do Tokio. Również pan tego domu wyjechał do Stambułu i później do Pireusu, żeby czuwać nad kompletowaniem załogi dla nabytku Gabona.

W Kopenhadze Anton Miller uzupełnił swoją garderobę. Ciągłe chodził w tym samym garniturze, który miał na sobie w momencie kraksy samochodowej. Kupił dwa nowe ubrania. Niestety, musiał się i tym razem zadowolić gotowymi wyrobami, chociaż książeczka

czekowa z „Credit Suisse” pozwalała na innego rodzaju sprawunki. Nie było jednak na to czasu. Za to przy zakupie bielizny Szwajcar zastosował się już do filozofii pokojówki z hotelu „Intercontinental”. „Bogaci ludzie nie wożą ze sobą dużo bielizny. Wszędzie gdzie się znajdują, kupują nową, a brudną po prostu wyrzucają opuszczając hotel”.

Po zainstalowaniu się w jednym z tokijskich hoteli, Anton Miller na próżno usiłował odszukać na planie miasta adres „Sanei Metal Thermal Engineering Company”, którą to firmę polecił mu Zimmerman w Stambule. Ulice w Tokio nie mają ani nazw, ani numerów. Tylko kwadraty domów pomiędzy tymi ulicami są oznakowane jakimiś numerkami lub nazwami. Toteż trzeba się było zdać na łaskę i niełaskę kierowcy, który bezbłędnie poruszając się po napowietrznych estakadach, w podziemnych tunelach i labiryncie wąskich uliczek dowiózł go przed dwudziestokilkupiętrowy drapacz będący siedzibą koncernu.

Tu już zaczęły się kłopoty. Najpierw trzeba było wyszukać kogoś, kto by nie tylko rozumiał po angielsku, ale i umiał odpowiedzieć w tym języku. Angielska wymowa Japończyków jest bowiem zrozumiała przeważnie dla nich samych. Kiedy pierwsza przeszkoda została usunięta, rozmówca pana Millera długo nie wiedział, do kogo skierować Szwajcara.

Następny z kolei pracownik koncernu także nie nadawał się do prowadzenia rozmów. Millera odesłano dalej. Tym razem młody człowiek wysłuchał Europejczyka bardzo dokładnie, porobił jakieś notatki, przejrzał dokumenty handlowe i poprosił o przyjęcie nazajutrz o tej samej godzinie.

Po półgodzinnym pobycie w gmachu „Sanei Metal Thermal Engineering Company”, Miller znowu znalazł się na ulicy. Miał dużo wolnego czasu. Nie znał w tym mieście nikogo i nigdzie się nie spieszył. Postanowił więc wędrować pieszo, żeby rozgryźć topografię tego giganta. Tak długo przemierzał ulice, aż dotarł do Ginzy i

ogromnego centrum handlowego mieszczącego się w podziemiach przy dworcu głównym. Stamtąd powrót do hotelu znajdującego się w pobliżu, był dziecinnie łatwy.

Nazajutrz wizyta w „Sanei” miała podobny przebieg, z tą jednak różnicą, że tym razem przyjmowano go w identycznie umeblowanym pokoju, ale rozmówca był dużo starszy. Mężczyzna uważnie wysłuchał cudzoziemca, przeglądał opcję i atesty i prawie nie zadając żadnych pytań poprosił o ponowne pofatygowanie się w dniu następnym. Pozornie nie wykazywał żadnego zainteresowania tym, co do mego się mówiło. Natomiast angielszczyzną władał znacznie lepiej, niż jego młody poprzednik.

Antonowi Millerowi nie pozostało nic innego, jak nadal poznawać Tokio łącznie z jego dzielnicą rozrywkową Joshiwara. Tutaj jednak herbaciarnie z gejszami były smętnym wspomnieniem albo nędzną imitacją stworzoną wyłącznie dla cudzoziemców. W czasie okupacji amerykańskiej, jej szef, generał Mac Arthur, specjalnym dekretem z 1947 roku rozwiązał czcigodną instytucję gejsz, mającą przeszło dwustuletnią tradycję. Pozostały tylko „czuwające”, jak po japońsku nazywa się prostytucja, a te nie interesowały mieszkańca Zurychu.

Trzeciego dnia windziarz zawiózł Szwajcara na inne piętro niż dotychczas. Tym razem na cudzoziemca czekało trzech panów. Rozmowy były rzeczowe i bardzo konkretne. Reprezentanci koncernu poprosili o zostawienie im kserograficznych odbitek dokumentów, jakie Miller posiadał.

— My mamy własny wolfram — zauważył jeden z Japończyków.

— To prawda. Ale wasze pokłady są na wyczerpaniu i już importujecie ze Stanów Zjednoczonych spore ilości tego metalu. To, co ja wam oferuję, tak uzupełni waszą własną produkcję, że zdołacie zaspokoić zapotrzebowanie przemysłu stalowego na dobrych kilka lat i uniezależnić się od niepewnych dostaw. Nie przypuszczacie chyba panowie, że w tym czasie wolfram stanieje?

— Pańska firma — zauważył inny z rozmówców — nie jest zbyt wielkim przedsiębiorstwem. Pozornie też nie jest tak bogatym, żeby kupować wielomilionowe zapasy towarów. Nawet uwzględniając w tym kredyty bankowe.

— To proste — Miller postanowił grać *va banque* — jesteśmy tylko podstawieni przez przemysłowców brazylijskich. Dla nich bezpośrednia sprzedaż komukolwiek rudy wolframowej byłaby zbyt wielkim ryzykiem. Są przecież w dużym stopniu uzależnieni od kapitałów amerykańskich. A chcą zrobić za ich plecami dobry interes. Dlatego od nich rudę kupuje „Fossils Trading Company”, zaś od niej moje przedsiębiorstwo „Züricher Import-Export Gesellschaft”. W razie niezadowolenia Amerykanów, Brazylijczycy zawsze mogą umyć ręce i zwalić winę na nas. Mogą na przykład twierdzić, że przypuszczali, iż ruda jest przeznaczona dla konkurencyjnych amerykańskich koncernów. Może zechcą wytoczyć nam proces o przekroczenie uprawnień?

— Sprytne — pochwalił najstarszy z Japończyków.

— W ten sam sposób i wy omijacie kwoty importowe różnych państw, między innymi i Stanów Zjednoczonych.

Japończycy nie podjęli więcej tego tematu, a ten z nich, który, jak się wydawało Millerowi, był najważniejszy, oświadczył:

— Transakcja nas zasadniczo interesuje, ale nie zależy ona wyłącznie od nas. To zrozumiałe. „Sanei Metal Thermal Engineering Company”, chociaż jest wielkim przedsiębiorstwem, nie wyciągnie pięćdziesięciu milionów dolarów z kieszeni. Poza tym są jeszcze inne problemy do rozwiązania. Dlatego też proponujemy szanownemu panu małą wycieczkę krajoznawczą po Japonii. Czy może pan jest alpinistą? Chciałby pan wejść na szczyt Fudzi Jama?

— Raczej nie.

— Słusznie. Tam o tej porze roku za dużo śniegu i bardzo zimno. W takim razie proponujemy zwiedzenie naszej starej stolicy Kioto, Nagasaki i Hiroszimy, oczywiście jako gość „Sanei”.

— Ciekawa propozycja — Miller nie palił się do oglądania historycznych zabytków i starych świątyń, ale uznał, że jego akcje poszły w górę, bo w przeciwnym razie koncern nie wydawałby niepotrzebnie pieniędzy.

— Cieszymy się, że pan wyraził zgodę. Na pewno ta mała wycieczka pozostawi panu miłe wspomnienia, chociaż szkoda, że pora roku nie jest najbardziej sprzyjająca podróżom. Japonia jest najpiękniejsza w marcu i w kwietniu.

Trzej Japończycy jak na komendę podnieśli się ze swoich miejsc i zwyczajem tamtejszym skłonili się tak nisko, żeby ręce dotknęły kolan. Miller, który przed tym zaobserwował ten sposób witania i żegnania się, odpowiedział podobnym ukłonem.

— Jutro z samego rana zgłosi się do czcigodnego pana nasz przewodnik. Proszę całkowicie na nim polegać.

Rozdział X

Thank you, mister Miller

Przewodnikiem przysłanym przez „Sanei Metal Thermal Engineering Company” okazała się młoda pracownica tego koncernu. Typowa japońska piękność, która dla Europejczyka ma trochę egzotyki. Czarne, gęste włosy krótko ostrzyżone, zgrabny nosek z garbkiem na końcu, usta silnie podmalowane, broda nieco cofnięta do tyłu. Wydatny biust, zgrabna kibić, ale jak to zwykle u kobiet japońskich, krótkie nóżki. Uśmiech jakby na stałe przylepiony do twarzy. Przez ramię miała przewieszoną niewielką torbę podróżną. W podobną zaopatrzył się zawczasu i Miller, pozostawiając resztę swoich rzeczy w pokoju hotelowym, który zatrzymał pomimo wyjazdu z Tokio. Szwajcar nie okazał zdziwienia na widok innej płci przewodnika, niż się spodziewał. W ogóle niedziwienie się niczemu, z czym się ma do czynienia, jest pierwszą i naczelną zasadą zachowania się w obcym kraju.

— Pan ma tak mało rzeczy? — zapytała Japonka, kiedy już się zapoznali. Angielskim władała zupełnie swobodnie, bo jak później wyjaśniła, urodziła się i chodziła do szkoły w Honolulu, na Wyspach Hawajskich.

— Nie mniej niż pani. A co mi będzie potrzeba, dokupię na miejscu.

— Jeśli pan gotów, możemy jechać. Samochód czeka przed hotelem.

Przejazd na dworzec, potem, jazda najszybszą koleją świata równie nudna, co przelot samolotem. W samolocie nic się nie widzi, a tutaj wszystko tak śmiga przed oczyma podróżnych, że dokładnie nie można niczego zobaczyć.

W Kioto krótki odpoczynek w hotelu, obiad i zwiedzanie miasta. Przewodniczka o dźwięcznym imieniu i nazwisku Junichi Matsushito gorliwie wypełniała swoje obowiązki. Pędziła cudzoziemca od jednej świątyni do następnej jeszcze starszej i zbudowanej z poczerńiałego przez wieki drewna. A przy tym naopowiadała Millerowi całą masę najrozmaitszych legend coraz bardziej krwawych, jak o tym słynnym bandycie, Goemon Ishikawa, którego ugotowano w kotle ze smolą i teraz, po wiekach, sposób kąpieli w takim żelaznym naczyniu nosi imię tego człowieka „Goemonburo”. Uznano go za bohatera, bo całą tę operację aż do śmierci przetrwał bez jednego jęku, szydząc i wymyślając poprawcom.

Po kilku godzinach takiej wędrówki i po kolacji z niezliczoną ilością japońskich dań, które trzeba było spożywać posługując się pałeczkami, Szwajcar marzył o wypoczynku w swoim pokoju umeblowanym na poły po europejsku, na poły po japońsku. Była tam wprawdzie mata tatami i niziutkie stoliczki, ale nie brakowało także wygodnego tapczanu. W miarę przeciągania się kolacji, Anton coraz milej o nim myślał.

Nie dane jednak było Millerowi od razu się położyć. Pożegnał się wprawdzie z przewodniczką przed drzwiami swojego pokoju, ale za dziesięć minut usłyszał pukanie do drzwi. Kiedy je otworzył, panna Junichi stała przed nim w barwnym kimonie z jakimiś dzbanuszkami i puzderkami w rękach.

— Pokażę teraz panu, jak się naparza i częstuje herbatą.

— Proszę — w głosie Millera nie wyczuwało się entuzjazmu, Matsushito jednak nie zważała na to.

— Niech pan się wygodnie usadowi w kucki na tatami — poleciła — buty należy zdjąć.

— Może jednak nie w kucki z podwiniętymi nogami — bronił się Szwajcar — nie wytrzymam w takiej pozycji nawet kwadransa.

— No to inaczej, jak panu wygodnie. — Japonka ukłękła i rozpoczęła skomplikowany obrzęd parzenia herbaty. Najpierw wypłukała mały dzbanuszek porcelanowy wrzątkiem. Później ze srebrnego puzderka wysypała do naczynka trochę zielonego proszku herbacianego i zalała go gotującą wodą oraz przykryła specjalną haftowaną osłonką. Kiedy po kilku minutach herbata naciągnęła, naląła ją do malutkiej filiżanki i ciągle klęcząc w tej pozycji zrobiła kilka kroczków w stronę gościa, aby podać mu napar.

— To bardzo stary obrządek zwany „chanoyu” — tłumaczyła panna Junichi — ma co najmniej osiemsetletnią tradycję. Dawniej herbatę mógł naparzać jedynie pan domu, obecnie do tej roli dopuszcza się i kobietę, jego żonę. Kolejność podawania zgromadzonym czarek jest ściśle ustalona. Najpierw otrzymuje ją najczcigodniejszy członek rodziny, a potem najbardziej honorowany gość. Wszyscy piją napar malutkimi łyżkami komplementując dom, w którym się znajdują. Po wypiciu pierwszych filiżanek całą ceremonię powtarza się od początku, z tym że z kolei można już mówić o sztuce, malarstwie i poezji. Dopiero po dalszych czarkach rozmowa schodzi na politykę i sprawy bieżące.

— To musi długo trwać — zauważył cudzoziemiec i już zgodnie ze zwyczajem tylko maczał usta w gorącym wonnym napoju — musicie dużo czasu tracić na to picie herbaty.

— Herbatę przyrządza się w tradycyjny sposób tylko wtedy, kiedy już nikt nigdzie się nie śpieszy — wyjaśniała Junichi Matsushito — w ciągu dnia pije się nieraz ten napój zarówno w pracy, jak i w domu. Ale to co innego. Ceremonia zaparzania herbaty, to nie jej picie, to obrzęd prawie religijny i rytuał towarzyski.

— Dlaczego pani nie pije?

— Ten, kto naparza herbatę, nigdy jej sam nie pije. Ma obowiązek służenia swoim gościom.

— Nawet jeśli gość jest jeden?

— Tym bardziej.

— A więc pozwoli pani, że teraz ja ją obsłużę — Miller usiłował możliwie najdokładniej powtórzyć wszystkie ruchy dziewczyny, która teraz zmieniła pozycję. Już nie klęczała, lecz zwyczajem wszystkich ludów Wschodu usiadła w sposób, jaki w Europie nazywa się „po turecku”.

— Jak na rudowłosego — zauważyła dziewczyna — bardzo dobrze to panu idzie.

— Przecież nie jestem rudy — zdziwił się Miller.

— Tak w Japonii nazywają wszystkich cudzoziemców. Pewnie dlatego, że wśród marynarzy admirała Peary, który otworzył wrota Japonii na świat, musiało być sporo rudowłosych, co wtedy budziło zrozumiałą sensację.

Miller uznał, że herbata już naciągnęła. Nalał ją do filiżaneczki i podał dziewczynie.

— Thank you, mister Miller — odpowiedziała przyjmując napar.

Jeszcze przez pewien czas panna Junichi bawiła swojego gościa opowiadaniem o zwyczajach związanych z herbacianymi tradycjami oraz o gatunkach herbaty, jakich się do tego celu używa. Bo i to jest także ważne. W końcu rozmowa zaczęła się rwać. Ale dziewczyna nie zabierała się do wyjścia. Najwidoczniej na coś czekała.

— Jakie piękne jest to kimono — zauważył Miller, żeby podtrzymać rozmowę. Coraz bardziej pragnął wyciągnąć się na miękkim tapczanie, a nie siedzieć w dość niewygodnej pozycji na ryżowej macie tatami.

— Każda Japonka ma kilka kimon. Niektóre, ręcznie malowane na prawdziwym jedwabiu, są bardzo drogie. Są kimona, które w spadku przechodzą z pokolenia na pokolenie. To moje jest niestety fabryczne i niezbyt cenne.

— To wygodny strój?

— Przyzwyczajone jesteśmy do niego od dzieciństwa.

— Chyba je trudno włożyć bez pomocy.

— Tego także się uczymy.

— Może i ja nauczyłbym się, jak się je zdejmuje? — roześmiał się Miller.

— O nie! — dziewczyna zdawała się czekać na podobną propozycję — zrobię to sama. W swoim pokoju. Muszę też skorzystać z łazienki i umyć zęby. A pan zaczeka na mnie. Szybko wrócę.

Panna Junichi opuściła pokój, zaś Miller nie wiedział, czy dobrze zrobił? Z jednej strony był dość solidnie zmęczony, z drugiej jednak uważał, że mężczyzna nie powinien odmawiać kobiecie tej małej grzeczności. Nawet wówczas, kiedy tą kobietą jest Japonka i ma dość krótkie nogi.

Wkrótce dziewczyna zjawiła się z powrotem. Tym razem była w niebieskim szlafroczku w wielkie czerwone jabłka. Szybko go zdjęła, a nie miała nic pod spodem. Była przyjemnie ciepła, miła i biegła w sztuce kochania. Anton Miller, chociaż przeżył niejedną przygodę, został oczarowany przewodnikiem przydzielonym mu przez uczynną firmę „Sanei Metal Thermal Engineering Company”.

W szczytowych momentach miła Japoneczka zamykała oczy i szeptała z przejęciem:

— Thank you, mister Miller.

Kiedy jednak Szwajcar zapytał ją, bo dziewczyna była dobrze zorientowana w interesach, które przywiódły cudzoziemca do Krainy Wschodzącego Słońca, czy koncern ma zamiar podpisać umowę, Junichi Matsushito odpowiedziała z przejęciem:

— „Sanei” zawsze robi to, co dla niego najlepiej. „Sanei” jest naszym ojcem i matką. Codziennie, przed rozpoczęciem pracy, wszyscy śpiewamy hymn na cześć „Sanei”. Każdy z jego pracowników musi kochać i szanować „Sanei”, tak jak kocha i szanuje swoich przodków. „Sanei” robi wszystko najlepiej dla siebie i dla nas.

I gadaj tu z taką!

Następnego dnia marszobieg po mieście zaczął się od początku. Na próżno Miller usiłował przede wszystkim zwiedzać restauracje i herbaciarnie, panna Junichi Matsushito zawsze wynajdywała jakieś

muzeum czy historyczny obiekt, który przybysz w Kioto musi koniecznie zobaczyć i ocenić jego niepowtarzalne piękno. Kiedy przechodzili koło sklepu z damską garderobą, Szwajcar prawie siłą zaciągnął dziewczynę do środka i wybrał dla niej kimono. Protestowała, ale była szczęśliwa. Na pewno nie każda pracownica „Sanei”, mimo że jest on dla swoich ludzi ojcem i matką, może sobie pozwolić na posiadanie dwóch takich ładnych szat. Millera nawet zdziwiło, że są takie drogie, chociaż nie był to ani stary, ani ręcznie malowany okaz, a zwykły fabryczny wyrób. Biznesmen uważał jednak, że nie można oszczędzać na kosztach handlowych.

Wieczorem znowu odbyła się ceremonia picia herbaty. Japoneczka demonstrowała nowe kimono. Cudzoziemiec był w dużo lepszej formie, niż poprzedniego dnia i panna Junichi miała więcej okazji, aby szeptać:

— Thank you, mister Miller — nawet mu się zwierzyła, że jeszcze nigdy... z Europejczykiem i że jest to równie przyjemne.

Droga wycieczki biegła z kolei przez Nagasaki. Tutaj także mieli zarezerwowane noclegi w hotelu. Ale był to jeden pokój, za to podwójny. Najwidoczniej „Sanei Metal Thermal Engineering Company” z góry bezbłędnie przewidywało rozwój wypadków i nie lubiło wydawania pieniędzy bez potrzeby. W myśl swojej zasady, żeby niczemu się nie dziwić, Anton Miller okiem nie mrugnął.

Natomiast miss Matsushito i w Nagasaki nie darowała Szwajcarowi zwiedzania miasta. Zabytków historycznych było tu dużo mniej, gdyż padły ofiarą szalejącego pożaru, który wybuchł po zrzuconiu przez Amerykanów bomby atomowej. Zniszczyła ona dużą część miasta. Miller tego nie żałował. Wolał zwiedzać nowoczesne urządzenia przeładunkowe w porcie. Tu rzeczywiście Japończycy mieli się czymś pochwalić. Ogromne masowce o pojemności ponad stu tysięcy BRT. Rozładowywano je czy też załadowywano zaledwie w ciągu kilku godzin.

W Nagasaki obeszło się bez obrzędu parzenia herbaty w pokoju hotelowym. Ten ceremoniał demonstrowano cudzoziemcowi w jakiejś liczącej ponoć trzysta lat herbaciarni, do której Millera zaprowadziła panna Junichi.

Następnego dnia wieczorem w hotelu zastali telefonogram, żeby, jeśli czcigodny pan Miller się zgodzi, przerwać dalsze zwiedzanie kraju i nazajutrz wrócić do Tokio, gdyż pojutrze pan Miller zaproszony jest na decydujące rozmowy w siedzibie koncernu.

Tego ranka Junichi Matsushito była bardziej miła niż zawsze. Mocniej tuliła się do mężczyzny i jeszcze bardziej słodkim głosem szeptała:

— Thank you, mister Miller.

Wrócili do Tokio dopiero po południu, gdyż nie udało się kupić biletów na samolot, a podróż koleją trwała jednak kilka godzin. Przewodniczka odwiozła swojego gościa do hotelu, w którym mieszkał. Kiedy się z nim żegnała, Miller zapytał:

— Nie przyjdiesz, kochanie, dzisiaj wieczorem na parzenie herbaty?

— Nie — odpowiedziała dość zdziwiona dziewczyna — już nie jestem na służbie i mam tutaj swojego chłopaka, którego bardzo kocham. Ale było bardzo miło, nieprawdaż? Good bye! — Zanim mężczyzna zdążył coś powiedzieć, Japonka zniknęła w drzwiach wyjściowych hotelu.

W pokoju Miller zastał pismo na czerpanym papierze, zapraszające go do gmachu koncernu na jutro, na godzinę dziesiątą.

Cudzoziemiec przybył przed siedzibę koncernu na kwadrans przed terminem. Nie ufał zbyt komunikacji i bał się, że taksówka może utknąć w jakimś korku ulicznym. Teraz nie pozostawało mu nic innego, jak odbyć piętnastominutowy spacer dookoła budynku. Kiedy zaś przekroczył drzwi gmachu, na dole czekał na niego ten sam urzędnik, z którym Miller rozmawiał pierwszego dnia. Pojechali windą na górę, gdzie Szwajcara wprowadzono do niewielkiej salki.

Przy dużym, prawie kwadratowym stole siedziało czterech ludzi. Trzech z nich Szwajcar znał z poprzednich kontaktów. To oni właśnie wysłali go na wycieczkę. Czwarty, pan już dobrze po siedemdziesiątce, był, jak to wyjaśniono, prezesem firmy „Sanei Metal Thermal Engineering Company” i jego twórcą.

Zaczęły się konkretne, rzeczowe rozmowy. O terminach, warunkach przewozu, cenach i frachtach. Japończycy o nic nie pytali, byli jednak o wszystkim dokładnie poinformowani, ale to nie znaczy, że wiedzieli o Południowej Afryce. Za to wszystko wiedzieli o kopalni, jej właścicielach oraz o obu firmach, przez których ręce przechodziła ruda, zanim miała dotrzeć do portu w Japonii.

Finansowo to także był twardy przeciwnik. Ale na warunkach finansowych Antonowi Millerowi przecież nie zależało. Chodziło mu głównie o kontrakt, od którego zależało zdobycie licencji eksportowej. Jedyne dla pozorów Szwajcar udawał, że się targuje do upadłego.

Po długich targach strony zgodziły się na pięć promille od kwoty zakupu rudy. Koszta przewozu miał pokryć sprzedawca. Kiedy Miller protestował, jeden z dyrektorów koncernu zauważył:

— Pięć promille to przeszło ćwierć miliona dolarów, które panowie zarabiacie właściwie za nic. Za kilkudniowy pobyt w Tokio i wydatki na bilety lotnicze. Przecież i Brazylijczycy wam także płacą. Przypuszczam nawet, że więcej niż my. To dla was doskonały interes.

Miller nie protestował. Warunki zapłaty — wtedy, kiedy towar znajdzie się na miejscu. Termin dostawy — najpóźniej dwa miesiące od daty podpisania kontraktu. W przeciwnym razie strona japońska może rozwiązać umowę.

Ponieważ rokowania przeciągały się, dwie urzędniczki wniosły do sali mały stolik i nakryły go na pięć osób. Podano obiad, przyniesiony, jak poinformował jeden z dyrektorów, ze stołówki fabrycznej. Jakaś surowa ryba w ostrym sosie, gęsta zupa w niewielkiej filiżance, potem potrawa, której głównym składnikiem był ryż i kawałki

ryb, warzyw oraz odrobiny mięsa wołowego. To było nawet smaczne. Do tego po dwa kieliszeczki sake, wódki ryżowej, nalewanej z małej porcelanowej buteleczki zwanej „tokkuri”. Prezes wyjaśnił, że są dwa gatunki sake. Jeden, popularny posiadający nieco ponad dwadzieścia procent alkoholu i drugi, raczej dla amatorów, zawierający ponad sześćdziesiąt procent. W czasie obiadu pito tę słabszą sake. Na zakończenie wniesiono misę gotowanego ryżu. Wzięcie z niej choć jednego ziarnka byłoby ogromnym nietaktem.

Ponieważ rokowania były w zasadzie zakończone i czekano na sporządzenie umowy, prezes koncernu zaprosił obecnych do swojego gabinetu. Tam obok zwykłego biurka, paru foteli, stoliczka z kilkoma aparatami telefonicznymi i ekranem wewnętrznej telewizji, na podłodze leżało kilka tatami. Dla cudzoziemca zrobiono jedyny wyjątek, postawiono niziutki hebanowy stołeczek. Pozostali goście prezesa, pomimo czarnych europejskich ubrań, sztywnych białych koszul i odpowiednich krawatów usiedli na tatami w tradycyjnych pozach. Wcześniej, przed wejściem do gabinetu, zdjęli obuwie.

Jakaś dziewczyna przyniosła na pięknej tacy z laki przybory do parzenia herbaty i prezes koncernu pomimo swojego podeszłego wieku, klęcząc przystąpił do tradycyjnej ceremonii. Pierwszą czarękę podał cudzoziemcowi, który ją z kolei wręczył zastępcy prezesa, co zostało odpowiednio ocenione miłymi uśmiechami obecnych. Dopiero drugą filiżaneczkę Miller przyjął i od razu zaczął wychwalać zalety wielkiego gmachu siedziby koncernu. Jakie wygodne są tu pomieszczenia, jak cicho chodzi się po korytarzach wybitych specjalną okładziną i jak bezszelestnie pracują windy. Wszyscy z zapałem podjęli ten temat dodając, że całą zasługę budowy nowej siedziby koncernu należy przypisać wyłącznie prezesowi. Wychwalano także jego pomysł sprzed lat, założenia małego przedsiębiorstwa, które następnie dzięki pracowitości i talentom tego człowieka rozwinęło się w dzisiejszy wielki koncern.

Przy drugiej czarce wonnego naporu Miller zachwycił się pięknymi zabytkami starego Kioto i nowoczesnym portem w Nagasaki. Teraz już prezes i jego współpracownicy przekonali się, że mają do czynienia wprawdzie z cudzoziemcem, ale z człowiekiem dobrze wychowanym. To przekonanie umocniło się jeszcze bardziej, kiedy w odpowiednim momencie, po otrzymaniu trzeciej filiżaneczki herbaty, gość zauważył, że nowy premier Japonii na pewno uzyska większość w parlamencie i zdoła rozwiązać różne trudności gospodarcze stojące przed krajem.

Anton Miller podziwiał żywotność prezesa koncernu. Ten niemłody już człowiek cały czas pozostawał na klęczkach i tylko w ten sposób podawał swoim gościom czarki z herbatą. Sam nie wypił ani kropli. Nic też dziwnego, że kiedy nadeszła pora, gdy można było rozmawiać o najrozmaitszych sprawach, jeden z obecnych w sposób bardzo uprzejmy zaczął dziękować gospodarzowi za gościnność tłumacząc się, że jest to jednak jeszcze dzień pracy i on musi wrócić do swoich zajęć. Pozostali wraz z Millerem przyłączyli się do tej prośby. Mistrz ceremonii wyraził prawdziwy żal, że dostojni goście muszą go opuścić.

W ten sposób ceremonia picia herbaty została zakończona. Wszyscy wstali i wszyscy razem przeszli do salki, gdzie wcześniej toczyły się targi o warunki umowy. Tutaj, na stole, w safianowych teczkach leżały spisane w kilku egzemplarzach gotowe do podpisu kontrakty.

Prezes koncernu rozdał kopie umowy obecnym, a sam powoli odczytywał poszczególne paragrafy kontraktu z oryginału sporządzonego na bezdrzewnym, czerpanym papierze. Kiedy skończył, zapytał Szwajcara:

— Wyraża pan zgodę na ten tekst?

— Tak — Millerowi w gruncie rzeczy było przecież wszystko jedno, co podpisuje.

— A panowie? — szef koncernu zwrócił się do swoich pomocników.

— Nie mamy zastrzeżeń.

— Proszę, panie Miller, zechce pan podpisać każdy z egzemplarzy — jeden z dyrektorów wziął teczkę z dokumentami i uroczyście położył ją przed Szwajcarem. Podsunął także wieczne pióro o złotej czy też złoczonej skuwce.

Kiedy cudzoziemiec składał swoje podpisy na umowie, panowało absolutne milczenie. Wszystko odbywało się tak, jak to zawsze przedstawia telewizja z okazji różnych dyplomatycznych wizyt.

Z kolei dokumenty powędrowały do prezesa koncernu. Podpisał je i wstając z miejsca dał znak ręką, żeby tam zasiadł jego zastępca czy też dyrektor do spraw finansowych i również podpisał kontrakt. Japończycy składali aż dwa podpisy. Jeden po angielsku i drugi pionowo, w alfabecie japońskim. Następnie safianowateczka już tylko z jednym egzemplarzem kontraktu została zamknięta i położona przed Millerem.

Japończycy podnieśli się z miejsc. Ciągle panowało milczenie. Wstał i Anton Miller. Wtedy, jak na komendę, prezes i dyrektorzy „Sanei Metal Thermal Engineering Company” wyskandowali jak jeden człowiek.

— Thank you, mister Miller.

Rozdział XI

Piranie są zawsze głodne

Po powrocie z Japonii Anton Miller miał prawie dwa tygodnie wycoczynku. Spędził go w Szwajcarii, zajmując się uporządkowaniem swojej firmy „Züricher Import-Export Gesellschaft”. Wyplacił zaległe pensje personelowi składającemu się zaledwie z dwóch osób: księgowego, pełniącego zarazem funkcje zastępcy właściciela, oraz maszynistki załatwiającej wszelką korespondencję. Uregulowane zostały podatki i czynsz za lokal. Książeczka czekowa „Credit Suisse” była stale w ruchu, ale interesy firmy zostały doprowadzone do takiego stanu, że... można ją było w każdej chwili zlikwidować nie wywołując żadnego alarmu.

Cały czas Miller był w kontakcie ze Stambułem. Wiedział więc, że sfinalizowano kupno statku „Kuretake Maru”. Dzielny kapitan Borgulis skompletował załogę. Drugiej takiej zbieraniny na próżno by nawet ze świecą szukać. Załoga weszła na statek w Hamburgu. „Kuretake Maru” wziął właśnie kurs do Argentyny, gdyż przedsiębiorczemu Libañczykowi, Frederickowi Gabonowi, udało się zdobyć jakiś ładunek do Montevideo. To zawsze lepiej niż płynąć pod balastem. Z Argentyny statek weźmie kurs prosto na ujście Amazonki, gdzie Armond Fock już czuwał nad zdobyciem licencji wywozowych i organizacją transportu rudy. Połowę ładunku można będzie wziąć

do ładowni statku z małego portu przy ujściu rzeki, resztę zaś z barek na redzie tegoż portu za pomocą pływającego dźwigu i urządzeń przeładunkowych statku.

Nad tymi wszystkimi operacjami czuwał z daleka Hans Zimmerman, który ze swojej willi na Wyspach Książęcych koordynował poczynania współników.

Kiedy „Kuretake Maru” pływający już teraz pod banderą liberyjską, zawinął do portu Macapa i rozpoczął przyjmowanie do swoich ładowni rudy, Hans Zimmerman uznał, że i Anton Miller powinien się tam znaleźć. Na miejscu bowiem byli już Fock i Gabon. Należało zatem pilnować nie tyle załadunku towaru, co obu zacnych współników i nie mniej szlachetnej postaci kapitana Borgulisa.

Chcąc nie chcąc, Anton Miller poleciał do Brazylii. Po chłodzie i deszczach Japonii oraz surowej, śnieżnej zimie Szwajcarii, wilgotny upał ujścia Amazonki omal nie zwałił z nóg przybysza. Na szczęście kabiny „Kuretake Maru” posiadały klimatyzację. Wprawdzie klimatyzacja ta przeraźliwie warczała i wyła do tego stopnia, że trzeba było nawet przykrywać ją poduszkami, ale jednak działała i utrzymywała w kabinie, którą Miller zajął, dość znośną temperaturę.

Wbrew pierwotnym obawom, kapitan Borgulis zrobił na Szwajcarze dość dobre wrażenie. Swoją załogę trzymał twardą ręką. Osobiście pilnował załadunku i od rana do zmroku był na pokładzie. Że po zmroku lubił sobie wytrąbić dwie, trzy flaszki mocnego greckiego wina czy też butelkę whisky nie skażonej najmniejszą kropelką wody, jego sprawa.

Panowie Fock i Gabon również z ogromną energią zajmowali się formalnościami, związanymi z załadunkiem rudy. Wszędzie trzeba się było opłacać, żeby w ogóle praca mogła ruszyć z miejsca. Gabon wynalazł w jakimś innym, niedalekim porcie jeszcze jeden pływający dźwig i zorganizował jego transport pod „Kuretake Maru”. Dźwig nie był duży, niemniej skracało to załadunek o kilka czy nawet kilkanaście dni. Fock wyszukał ludzi do przeładunku. Praca w takim

upale i wilgoci nie była łatwa i niewielu amatorów paliło się do tej roboty.

Również przedstawicielom kopalni zależało na jak najszybszym zakończeniu przeładunku. Barki z rudą nadpływały na ogół bez wielkich opóźnień. Wszystko więc szło nad podziw sprawnie. Amerykanie prowadzący zakłady flotacyjne znajdujące się w pobliżu kopalni, kilkaset kilometrów w górę Amazonki, albo niczego nie spostrzegli, albo zostali w jakiś sposób ugłaskani przez Brazylijczyków, dość że nie usiłowali przeszkadzać i nie dawali znaku życia.

O dziwo, Libańczyk, Frederick Gabon, przestał płakać i narzekać, że tak mało zarobi na tej transakcji. Dopilnował uregulowania ubezpieczenia statku i ładunku w „Lloyd's Brokers Association”. Statkowi przedłużono ubezpieczenie na siedemnaście milionów, zaś ładunek, według kontraktu firmy „Fossils Trading Company”, wyceniony został na pięćdziesiąt jeden milionów dolarów. Razem piękna sumka sześćdziesiąt osiem milionów. Trzej wspólnicy solidarnie pokryli koszty ubezpieczeń. Żaden nie protestował i nie usiłował zmniejszyć swojej działki.

Kapitan Borgulis z niejednego pieca chleb jadł. Wiedział także, jaki ładunek przewozi i że to może komuś przeszkadzać. Po statku przez cały dzień kręciło się masę robotników. Stale zmieniających się, bo większość po przepracowaniu kilku dni i zarobieniu pewnej sumki pieniędzy, wystarczającej na życie w małym miasteczku lub na wiele miesięcy w dżungli, rzucało robotę i wtedy trzeba było szukać innych pracowników. A za pracę należało płacić bardzo dobrze, w przeciwnym wypadku to zajęcie nikogo by nie przyciągało.

Kapitan uzbroił więc część załogi i postawił ich jako wartowników w części mieszkalnej statku, przy wejściu na mostek kapitański, w maszynowni i wszędzie tam, gdzie obecność obcych byłaby nie tylko niepożądana, ale wręcz szkodliwa. Anton Miller, który tutaj właściwie nie miał nic do roboty, na ochotnika objął nadzór nad tą strażą. Lata przeżyte na wojnie i w oddziałach najemników,

ogromnie mu się przydały. Dotychczas warty były tak rozstawione, że każdy mający trochę sprytu mógł je łatwo wyminąć. Teraz zapanował porządek. Wartowników nie było widać, ale to nie znaczy, że ich nie było. Przeciwnie, każdy kto choć o krok przełamał strefę, gdzie obecność robotników nie była konieczna, musiał się natknąć na uzbrojonych ludzi załogi „Kuretake Maru”. Codziennie zatrzymywano kilka osób. Odprowadzano je do Millera, który rewidował ujętych i szczegółowo ich przesłuchiwał.

Były to sprawy bez znaczenia. Najczęściej jakiś robotnik zapuszczał się do innej części statku dla zdobycia czegoś do jedzenia czy picia. A może z zamiarem zwędzenia czegoś? Ciekawość nieraz przygnała z miasteczka na statek różnych gapiów. Takiego kolosa, jak „Kuretake Maru”, nigdy tu przedtem nie widziano.

Miller nie chciał żadnych zadrażnień. Dlatego też traktował złapanych pobłaźliwie. Robotników odprowadzano do miejsca, gdzie byli zatrudnieni i ostrzegano, że następna próba szwendania się po statku skończy się dużo gorzej. Ostatecznie nie należało się dziwić tym ludziom, przeważnie Indianom zamieszkałym w pobliskich wioskach, że chcieli zobaczyć coś nie znanego im albo zabrać jakiś drobiazg, który wpadł im w oko.

Gapiów spoza załogi ładowaczy — trudno tych ludzi nazwać dokerami, bo byli to przecież zwykli niewykwalifikowani robotnicy — Miller traktował surowiej. Straszyl ich odesłaniem do miejscowej policji, która dzięki zabiegom Focka i przedstawiciela kopalni przychylnie traktowała cudzoziemców i gotowa była spełniać ich żądania. Areszt zaś tejsze policji budził zrozumiałe przerażenie mieszkańców miasteczka.

Groźba ta najczęściej skutkowałą, a widmo aresztu zamieniane było na pracę przy ładunku do końca dniówki. Jeżeli delikwent stawiał się, Miller nie wahał się zapoznać go z różnymi sposobami posługiwania się pięścią, otwartą dłonią czy nogą. Delikwenta

wyrzucano ze statku, zaś wartownicy wyprowadzający go na nadbrzeże jeszcze natrętowi dołożyli i od siebie.

Ale pewnego dnia ten pozorny spokój i porządek nagle został zakłócony. Wartownicy przyprowadzili do Millera jakiegoś młodego człowieka złapanego w pobliżu zbiorników paliwa. Ubrany był jak inni, miał na sobie sfatygowane spodnie, podniszczone gumowe obuwie i od wieków chyba nie praną koszulę. Nie mógł wylegitymować się żadnym dokumentem, ale to było tutaj najzupełniej normalne. Kto nosi w takim miasteczku przy sobie dowód tożsamości? Indianie z okolicznych wiosek w ogóle nie wiedzą, co to takiego. Schwytyany był białym, nie umiał albo udawał, że nie umie po angielsku. Co dziwniejsze, portugalskim władał słabo.

Kiedy wartownicy schwyтали usiłującego uciekać młodego człowieka, prowadzony do kajuty Millera odrzucił od siebie w korytarzu niewielkie zawiniątko. Ten manewr nie uszedł uwagi konwojentów. W zawiniątku znaleziono dwie laski dynamitu i dość prymitywny zapalnik czasowy.

To już było zbyt poważne, żeby Miller sam decydował. Wezwał do siebie kapitana Borgulisa i przedsiębiorcę, który angażował ludzi do pracy na statku. Ani kapitan, ani Brazylijczyk nie znali młodego człowieka. Schwytyany odmawiał odpowiedzi na pytania.

— Gdzie go złapaliście? — zapytał Borgulis wartowników.

— Koło zbiorników z paliwem — wyjaśnił jeden ze strażników — widziałem wyraźnie, że trzymał to zawiniątko w ręku. Potem, kiedy go goniliśmy, rzucił je na korytarzu prowadzącym do maszynowni.

— Gdyby to cacko wybuchło przy zbiornikach ropy, mielibyśmy pożar na statku — wyjaśniał kapitan — i byłoby sporo kłopotów z jego ugaszeniem. Przypuszczam, że nie wszystkie zbiorniki z paliwem eksplodowałyby, bo są od siebie odizolowane, ale zapalenie choćby jednego z nich w najlepszym razie unieruchomiłoby „Kuretake Maru” na co najmniej parę tygodni. Wprawdzie nasz ładunek

nie pali się, ale na statku nie brak materiałów łatwopalnych.

Ponieważ podpalacz nadal nie dawał odpowiedzi na żadne pytanie, Anton Miller polecił związać go i zamknąć w okratowanym pomieszczeniu. Na wszelki wypadek przed drzwiami prowizorycznego więzienia postawiono dwóch wartowników.

W kabinie Millera pozostali Fock i Gabon.

— Co dalej robić z tym frantem? — zapytał Szwajcar.

— Sądzę — zauważył Libańczyk — że na statku znajdzie się kawał drutu i jakieś ciężkie żelazo. Przywiązać do szyi i spuścić faceta do wody.

— Cała załoga będzie wtedy o tym wiedziała — oponował Miller — każdy może nas szantażować, że zamordowaliśmy człowieka. Nie odpowiada mi taki sposób załatwienia sprawy. Sądzę, że i Borgulis nie zgodziłby się na to. A on jako „pierwszy po Bogu” ma na statku głos decydujący. Zresztą czy da pan głowę, że sam Borgulis nie skorzystałby z okazji, aby z nas wyciągnąć dodatkowo parę dolarów.

— To racja — przyznał Gabon — chce pan łobuza oddać miejscowej policji?

— Ci, co go wynajęli, wykupiliby go od komendanta za kilkadziesiąt dolarów. Jestem tego więcej niż pewien. Musimy tak tę sprawę załatwić, aby uniknąć zbytniego rozgłosu, nie przykładając do niczego ręki. Jednocześnie tak zrobić, żeby innym odeszła ochota na łatwe zarobki.

— Ja bym — zaproponował Fock — porozumiał się z przedstawicielem kopalni. Ten zamach na statek, to przede wszystkim zamach na ich rudę i ich pieniądze. Nie ładujemy rudy, statek nie będzie mógł wypłynąć, nie płacimy za towar. Oni tracą najwięcej i niech oni zdecydują.

— Zgadzam się z tym. Ale podpalacz schwytyany został na statku — Miller wolał sprawę załatwić jak najbardziej normalnie — niech i kapitan Borgulis wypowie się na ten temat.

Borgulis zdecydował krótko:

— Chcę mieć na statku spokój i porządek. A co zrobicie z tym draniem, nic mnie nie obchodzi. Bylebym go nie miał na „Kuretake Maru”.

Wezwany na statek przedstawiciel kopalni był i przestraszony i wprost pienił się z wściekłości. Podejrzał, że podpalacza nasłali właściciele sąsiedniej kopalni, zazdrośni, że tak doskonały interes przechodzi im przed nosem. Poszedł nawet do pomieszczenia, gdzie zamknięto więźnia i usiłował z niego coś wydusić. Ale młody człowiek zuchwale się uśmiechał i stosując ciągle tę samą taktykę, nie otworzył ust.

— Jak bym go tak przypiekl gorącym żelazem — zauważył Chińczyk z Hongkongu, który pełnił wartę przy podpalaczu — na pewno od razu rozwiązałby się mu język. Nauczyłby się gadać i po portugalsku i po angielsku.

— Dlaczego on milczy? — dziwił się Gabon.

— Na pewno jego mocodawcy przyrzekli mu bezkarność właśnie pod tym warunkiem, że nie otworzy ust.

— Panowie — Miller zwrócił się do Brazylijczyków — to wasza sprawa. Usiłowanie przestępstwa zdarzyło się na terytorium Brazylii. On przede wszystkim wam chciał zaszkodzić opóźniając załadunek i wypłynięcie statku. Zabierzcie stąd tego człowieka. Zapewne będziecie chcieli przekazać go odpowiednim władzom waszego kraju. Nie mamy nic przeciwko temu.

— Oczywiście — uśmiechnął się Brazylijczyk — przekazemy go gdzie potrzeba. Zaraz sprowadzę samochód i paru moich ludzi, żeby zabrali tego ananasa.

Nie upłynęło i pół godziny, kiedy więźnia wyprowadzono na pokład, a stamtąd trapiem na ląd. Tutaj czekał już samochód terenowy z czterema Brazylijczykami. Wzięli młodego człowieka w środek pomiędzy siebie i terenówka natychmiast odjechała w stronę pobliskiej dżungli. Kapitan Borgulis przezornie postarał się, aby cała załoga widziała, że podpalacz cały i zdrowy opuścił statek. On przecież najlepiej znał swoją załogę.

Wszystkim, którzy złapali podpalacza, Anton Miller wypłacił po sto dolarów. A kapitan statku przymknął oko na wielkie pijaństwo, jakie się odbyło z tej okazji. Za to w następnych dniach wartownicy aż wyłazili ze skóry, żeby zarobić podobną premię. Dalszy załadunek „Kuretake Maru” przebiegał bez zakłóceń i we wzorowym porządku.

Natomiast gdzieś W godzinę po zabraniu przez Brazylijczyków podpalacza, pod statek podjechał stary łazik miejscowej policji. Siedział w nim komendant z dwoma swoimi ludźmi.

— Podobno złapaliście na statku niebezpiecznego przestępcę — powiedział szef policji. — Przyjechaliśmy po niego.

— Przestępcę? — zdziwił się kapitan Borgulis.

— Tak nam doniesiono.

— Jakieś głupie plotki. Kto wam to powiedział?

— Jeden z robotników zatrudnionych przy załadunku.

— To pewnie chodzi o tego włóczęgę — domyślił się Anton Miller — który usiłował naszemu bosmanowi ukraść butelkę wódki. Rzeczywiście, złapano go na gorącym uczynku. Bosmana mało szlag ze złości nie trafił. Jeszcze chwila, a poniósłby taką stratę. Była to przecież oryginalna „Black and White”.

— Gdzie jest ten człowiek?

— Zawolałem dwóch moich ludzi i kazałem go wyrzucić ze statku. Nie mam czasu — stwierdził kapitan — żeby się zajmować każdym drobnym złodziejaskiem.

— Na pewno go tu nie ma?

— Jak go wyprowadzano, widziała to nie tylko cała załoga, ale i ludzie pracujący przy załadunku. Może pan ich spytać.

— Jeżeli znajdzie tego człowieka na statku, będziecie mieli duże nieprzyjemności — ostrzegął komendant — wydajcie mi go dobrowolnie.

— Komendancie — roześmiał się Borgulis — policja jest u mnie zawsze miłym gościem. A tych parę butelczyn whisky jeszcze się w mojej kajucie znajduje.

- Zrobimy rewizję — szef policji nie ustępował.
- Panowie, cały statek jest do waszej dyspozycji.

Jeden z policjantów, który wcześniej rozmawiał z robotnikami, podszedł do swojego zwierzchnika i coś po cichu zagadał po portugalsku. Tak szybko, że chociaż Miller dość dobrze władał tym językiem, nie zrozumiał ani słowa. Ale rozmowa komendanta z podwładnym miała ten skutek, że policja poniechała pomysłowi rewidowania statku, chociaż nie odmówiła poczęstunku w kajucie kapitańskiej.

Zapasy whisky Borgulisa były widocznie dość znaczne, bo posiedzenie przeciągnęło się do kilku godzin. Później dzielni przedstawiciele władzy mieli niejaki trudności zejścia po trapie ze statku.

A niezależnie od gościnności kapitana, znowu kilka zielonych papierków zmieniło właściciela. I na tym też cały incydent został zakończony.

Tylko pan Fock tryumfował. Tłumaczył współnikom, że gdyby nie jego pomysł z wydaniem podpalacza właścicielom kopalni, mieliby duże nieprzyjemności, a co najważniejsze, amator używania dynamitu zostałby na pewno po cichutku wypuszczony przez policję na wolność.

— Nasz ptaszek bardzo się rozczarował, kiedy go wyprawialiśmy ze statku. Liczył, że wyjedzie stąd z honorami, w asyście komendanta policji, który na pewno wziął za to z góry ładną forszę.

— Trzymam zakład — roześmiał się kapitan Borgulis — że jej nie zwrócił.

— To jedyny człowiek, któremu się ten interes opłacił, bo i od nas dostał na odczepnego kilka dolarów.

— Nie licząc mojej whisky. Chlali ją jak wodę. Obawiam się, czy to, co pozostało, starczy mi na podróż.

Whisky i innych napojów było jednak na „Kuretake Mani” pod dostatkiem i po skończonym załadunku kapitan Borgulis wyprawił pożegnalny wieczór. Prócz trzech współników, byli również obecni

właściciele kopalni. Panował wspaniały nastrój. Wszyscy przecież byli coraz bliżej pieniędzy i to wielkich pieniędzy.

— Co się stało z tym podpalaczem? — w pewnej chwili Anton Miller zapytał o to jednego z brazylijskich gości.

— Nie interesowałem się tym — odpowiedział Brazylijczyk.

— Zabrali go wasi ludzie.

— Czy to takie ważne, co z nim zrobili? Grunt, że więcej tu nie wrócił.

— Może chcieli, żeby im pokazał, jak działa ten dynamit — roześmiał się inny z miejscowych notabli — a może zawieźli go nad pewien strumień, gdzie aż się roi od piranii? Piranie są zawsze głodne.

Rozdział XII

Nasz klient, nasz pan

Wielka japońska firma „Tadashi Shipping Company”, a raczej jej przedstawiciel w Sydney, nie zdziwił się wcale, kiedy otrzymał dyspozycję, aby jeden ze statków tego przedsiębiorstwa, który właśnie kończył załadunek pszenicy dla Szanghaju, zmienił kurs i zawiózł ten ładunek do Republiki Południowej Afryki. Japoński agent od lat zajmujący się eksportem zboża z Australii wprawdzie nie pamiętał, żeby w takim kierunku popłynął choć jeden statek z pszenicą, ale interes jest interesem i ten, kto sprzedaje, wcale nie musi znać intencji kupującego. Grunt, żeby zapłacił za towar i za fracht.

Kiedy więc „Sakura Maru” załadował ostatnie tony zboża do swoich luków i opuścił port w Sydney, zamiast wziąć kurs na północ, skierował się prosto do Durbanu. Statek miał także zapewniony ładunek powrotny. Zagwarantowano mu sześćdziesiąt tysięcy ton afrykańskiego węgla do Japonii. Kapitan i załoga byli bardzo zadowoleni. Po przeszło półtora roku regularnych kursów Chiny-Australia i z powrotem, zobaczą choć na kilka dni swoje rodziny.

Zarówno kurs do Durbanu, jak i wyładunek zboża przebiegły bez żadnych przygód. Ale w porcie czekała ich znowu niespodzianka. Polecono im zamiast ładunku węgla, popłynięcie pod balastem do

Namibii, skąd mieli wziąć ładunek rudy żelaza do Kapsztadu. Dopiero wówczas, znowu pod balastem, mieli wrócić do Durbanu po węgiel.

Frachty były korzystne. Klient płacił nawet za kursy pod balastem, więc armator „Tadashi Shiping Company” był zadowolony, a załoga statku nawet nie miała czasu na zastanawianie się nad dziwną fanaberią zleceniodawcy; który musiał dużo dopłacać do takiego wątpliwego interesu. Rudę z Namibii do Kapsztadu można przewozić bez wynajmowania w tym celu japońskiego masowca z Durbanu. Do tak krótkiego transportu nie brakło na pewno statków stojących na redzie w Kapsztadzie.

Ale ani kapitanowi, ani armatorowi nie przyszło nawet na myśl, że tak korzystne frachty zawdzięczają jednej drobnej okoliczności. „Sakura Maru” była siostrzanym statkiem „Kuretake Maru”, który właśnie kończąc załadunek rudy wolframowej szykował się do rejsu w poprzek Atlantyku.

Na nadbrzeżu jednego z portów w Namibii na „Sakura Maru” czekało dwadzieścia tysięcy ton rudy żelaza. Dziwna to była ruda. Nie miała, jak to zwykle bywa, koloru ciemno-rdzawego, lecz znacznie jaśniejszą barwę. Wyglądało na to, że więcej w niej piasku niż żelaza. Jeszcze dziwniejsze wydało się, że dla przewiezienia takiej garstki piachu wynajmuje się masowiec o siedemdziesięciu tysiącach BRT wyporności i każe mu się po ten piach płynąć aż z Durbanu.

Ale Japończycy niczemu się nie dziwili. Wiadomo, klient nasz pan. Był tylko płacił. Załadunek rudy przebiegał wyjątkowo marudnie. To brakowało dokerów, to znowu dźwigi nawały. Ale właściciel ładunku wcale się nie przejmował rosnącymi kosztami transakcji. Bez mrugnięcia okiem płacił za przestoje „Sakura Maru”. Japończycy wygrzewali się więc w styczniowym palącym słońcu na pomoście statku.

Wreszcie załadunek został zakończony i japoński masowiec ledwie, ledwie zapełniony, wziął kurs na Kapsztad. Tutaj znowu przetrzymano go przez trzy dni na redzie, zanim holowniki wprowadziły go do portu i ustawiły przy nadbrzeżu. Dlaczego trzy dni czekali? To

także stanowiło jakąś tajemnicę, bo przy nadbrzeżu było tyle wolnego miejsca, że drugi, identyczny statek jak „Sakura Maru”, swobodnie zacumowałby obok.

Kiedy rudę wyładowano, na statek przybyła komisja sanitarna i poleciła przeprowadzenie deratyzacji, co znowu zajęło dwa dni. Kapitan protestował, ale bez najmniejszego skutku. Trzeciego dnia także nie mogli wyjść w morze, aby wziąć kurs po węgiel do Durbanu, gdyż zabrakło holowników dla wyprowadzenia „Sakura Maru” z basenu portowego. Dopiero późnym wieczorem skończyły się kłopoty kapitana. Holowniki nagle się odnalazły i w zupełnych już ciemnościach wyprowadziły statek na pełne morze. „Sakura Maru” natychmiast pełną parą odpłynął na wschód.

Gdyby tego nie zrobił lub gdyby zaczął choć jedną godzinę, zauważyłby, że te same holowniki podprowadzają do tego samego nadbrzeża identyczny statek. Ustawiony został nie koło stożka rzekomej rudy żelaza, lecz troszeczkę dalej. Dziwnym trafem z rufy statku zwisała jakaś wielka plandeka, tak że całkowicie przysłoniła część nazwy statku. Pozostało do odczytania jedynie drugie słowo: „Maru”.

Nazajutrz robotnicy portowi i mieszkańcy Kapsztadu oglądający panoramę portu nie mogli zauważyć żadnej zmiany. Japoński statek jak stał wczoraj, tak i dzisiaj tkwił przy nadbrzeżu. Trochę się nieco przesunął i nadal wyładowuje ze swoich ładowni rudę na nadbrzeże. A że ta ruda jest teraz ciemniejsza? Widocznie w jednych lukach znajdowała się jasna, w drugich ciemna. Może i obsługa dźwigów niczego nie zauważyła? Ale chyba ci ludzie byli we wszystko wtajemniczeni i dobrze opłaceni.

Dyrekcja „Enskilda Banca” w Sztokholmie także nie okazała najmniejszego zdziwienia, otrzymując telefonogram, że na rachunek banku z „Merca Bank” wpłacono pięćdziesiąt jeden milionów dolarów do dyspozycji pewnej brazylijskiej kopalni, która może dysponować tym kapitałem po zwrocie listu kredytowego na tę samą kwotę.

Również i japońska firma, która sprzedała liberyjskiemu przedsiębiorstwu przewozowemu „Liverpool Shipping Company” stary masowiec, nie dziwiła się, że list kredytowy został wykupiony przed terminem i to nawet na przeszło dwa tygodnie przed terminem. Najwidoczniej Liberyjczycy akurat dysponowali płynną gotówką i woleli się pozbyć ciężającej na ich koncie płatności.

Przelewy na kontach „Credit Suisse” także nie zaskoczyły tego banku. Cóż w tym nadzwyczajnego, że „Züricher Import-Export Gesellschaft” polecał przelać ze swojego konta sumę siedemset pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów na konto prywatne pana Fredericka Gabona, obywatela Stanów Zjednoczonych. Takie transakcje są na porządku dziennym. A firma „Züricher Import-Export Gesellschaft” ostatnio robiła duże interesy, bo na jej rachunku zebrało się ponad trzy miliony dolarów. Przez bardzo długi czas to bankowe konto było prawie martwe.

Banki zawsze cieszą się, kiedy ich klienci zarabiają i zwiększają obroty. Bank wtedy także zarabia i ma więcej gotówki do obrotu. Im się pieniądź prędzej kręci, tym bankierzy robią lepsze interesy.

A więc wszyscy byli zadowoleni i nikt się nie dziwił.

Bankowcy z „Credit Suisse” i później nie okazywali zdziwienia, kiedy konto „Züricher Import-Export Gesellschaft” zaczęło się szybko opróżniać. Wiadomo, jeśli komuś zdarzy się dobry interes, nie będzie trzymał całej sumy na firmowym koncie. Władze podatkowe zaraz by szukały jakichś ukrytych i nieopodatkowanych dochodów. Dlatego też właściciel i zarządca tego przedsiębiorstwa dużą część tych kwot przelał na swój prywatny rachunek, zaś spore sumy bądź pobrał w gotówce, bądź umieścił w akcjach i papierach wartościowych, zdeponowanych w bankowym sejfie. Tego rodzaju operacje jeszcze bardziej wzmogły szacunek dyrekcji banku do pana Millera. Okazał się on nie tylko rzutkim handlowcem, ale także człowiekiem przewidującym.

Hans Zimmerman bez zdziwienia dowiedział się, że jego rachunek bankowy powiększył się o różne przekazy nadane ze Szwajcarii,

z Rotterdamu i z Anglii. Wprawdzie nazwiska i adresy nadawców tych dość okazałych kwot były odbiorcy zupełnie nie znane, ale ich wysokość zgadzała się mniej więcej z obliczeniami właściciela pięknej willi na Wyspach Książęcych. Jedynie przekaz z Londynu był o kilka tysięcy mniejszy, ale znając pana Fredericka Gabona, Hans Zimmerman przyjął z pobłażaniem te groszowe oszczędności zapobiegliwego Libańczyka.

W każdym większym mieście portowym świata, miejscowe gazety zawsze prowadzą rubrykę „Kronika portowa”. W tej rubryce notuje się, jakie statki zawinęły do portu z ładunkiem, jakie przybyły po miejscowe towary i jakie czekają na redzie. Ta kronika portowa jest przeglądana przez czytelników dość pobieżnie. Dlatego w Kapsztadzie nikt się też specjalnie nie dziwił, że japoński statek „Sakura Maru” ciągle stoi przy nadbrzeżu i ciągle wyładowuje rudę żelaza z Namibii. Żaden z czytelników miejscowej prasy nie miał w ręku dzienników wychodzących w Durbanie. Gdyby tak się zdarzyło, tego zbyt dociekliwego człowieka mogłoby zastanowić zjawisko przeczące podstawowemu prawu fizyki, że jedno ciało nie może się jednocześnie znajdować w dwóch miejscach. Kiedy bowiem kapsztadzka popołudniówka „Evening Star” notowała: „»Sakura Maru« wyładowuje rudę z Namibii”, tego samego dnia wychodzący w Durbanie „Morning News” informował swoich czytelników: „Statek bandery japońskiej »Sakura Maru« ładuje sześćdziesiąt tysięcy ton węgla dla Japonii”.

To drobne przeoczenie było jedynym błędem w planie, tak zrecznie ułożonym przez znanego kapsztadzkiego przemysłowca van den Ruytera. Ten sam przemysłowiec dopilnował osobiście, aby wszelkie sprawy finansowe związane z „operacją »Wolfram«” zostały zakończone natychmiast, gdy tylko ta ruda znalazła się przy nadbrzeżu portu w Kapsztadzie. Uważał bowiem, że należy jak najprędzej urwać wszelkie kontakty zarówno ze sprzedawcą tej rudy, jak też i z całym łańcuszkiem pośredników i przewoźników.

Rozmawiając z Arnondem Fockiem, który z kolei osobiście dopilnowywał w Kapsztadzie wszelkich formalności związanych z transakcją, van den Ruyter powiedział otwarcie:

— Panowie, zrobiliście swoje. My wywiązaliśmy się z przyjętych na siebie zobowiązań. Z chwilą zakończenia rozładunku statku zapominamy o wszystkim. Sprawę uważamy za definitywnie zakończoną. Żadne następne transakcje nie wchodzą w grę. Chyba się dobrze zrozumieliśmy?

Pan Fock jako doświadczony handlowiec musiał przyznać, że jego rozmówca rozumuje najzupełniej prawidłowo.

— Mam już bilet na samolot — powiedział uśmiechając się — jutro zapomnę, że kiedykolwiek w życiu byłem w Kapsztadzie. Takie było pożegnanie dwóch ludzi interesu.

Być może, gdyby do Kapsztadu przyjechał nie Arnond Fock, lecz Szwajcar, Anton Miller, jego kontakty z przedstawicielem finansjery południowoafrykańskiej byłyby bardziej serdeczne. Ale Hans Zimmerman, kierujący z daleka przebiegiem wypadków, kategorycznie zabronił przyjacielowi pokazywania się w Afryce.

— Zorganizowano na ciebie dwa zamachy — motywował Zimmerman — próbowano zatopić czy też unieszkodliwić wasz statek. Pomimo to transakcja doprowadzona została do końca, ładunek dopłynął do celu. Czy przypuszczasz, że ludzie, którzy za wszelką cenę przeszkadzali nam, teraz pożąłują kilku randów, aby z tobą załatwić ostatecznie swoje porachunki? Przecież wiedzą, że w Brazylii właśnie ty udaremniłeś wysadzenie zbiornika ropy.

— Nie będą się mścili za tego podpalacza — bagatelizował Miller.

— Za niego na pewno nie, ale za nieudaną akcję, tak. Ponieważ jeszcze mam w tej sprawie coś do powiedzenia, wracaj do Szwajcarii i likwiduj swoją firmę.

— Dlaczego?

— Rób, jak ci każę.

Antonowi Millerowi nie pozostało nic innego, jak najbliższym samolotem wrócić do Zurychu.

Rozdział XIII

Nieszczęśliwy wypadek

Rejs przez Atlantyk przeszedł bez żadnych przygód. „Kuretake Maru” chociaż starszek, dzielnie sobie radził z burzami i przeciwnymi prądami. Przed Kapsztadem statek zwolnił szybkość i potem zatrzymał się. W nocy przyplłyły holowniki i z ich pomocą masowiec wszedł do portu, aby zacumować przy wyznaczonym nadbrzeżu. Natychmiast na statku zjawiły się władze portowe i poinformowały, że w Kapsztadzie wydarzyło się kilka wypadków żółtej febry. Zawleczona została przez marynarzy, co zmusiło kapitanat portu do zarządzenia ścisłej kwarantanny załóg wszystkich jednostek zawijających do tego miasta.

Aby uniknąć uciążliwości kilkudniowego pobytu na statku bez prawa wychodzenia na ląd, lekarz sanitarny zaproponował inne rozwiązanie. Załoga „Kuretake Maru” zostanie przewieziona autobusem do strefy, gdzie już zaraza nie grozi i tam będzie mogła przebywać na względnej swobodzie. Na masowcu pozostanie jedynie kapitan i dwóch oficerów.

— A gdzie chcecie umieścić moją załogę? — zapytał kapitan Borgulis.

— W bardzo ładnym, nadmorskim miasteczku Hermanus, na wzgórzu, z widokiem na morze oraz na port rybacki. Przy ulicy Hill Street stoi wygodna willa, którą dla was zarezerwowaliśmy. Przy

końcu miasteczka jest dobra plaża Grotto Beach. W Hermanus jest parę kawiarenek, restauracja i kilka barów. Wasza załoga będzie miała prawo poruszania się po mieście i na plaży. Tyle, że nikomu nie wolno opuszczać Hermanus, ale to znacznie lepsze, niż siedzenie w żelaznym, nagrzanym słońcem pudle. Byłem pewien — tłumaczył lekarz — że się zgodzicie i autobus jest podstawiony. Ilu ludzi liczy załoga?

— Dziewiętnastu beze mnie i dwóch oficerów — wyjaśnił kapitan.

— Kto będzie odpowiedzialny za załogę?

— Pierwszy mechanik.

— No to zbierajcie się. Byle szybko.

Marynarze z „Kuretake Maru” bez entuzjazmu przyjęli propozycję. Mieli inne plany. Wiadomo, Kapsztad wielkie miasto, a ludzie już nieco grosza zarobili, więc po nudach nad Amazonką i długiej podróży przez ocean, każdy by chciał się trochę zabawić. Ale kierowca autobusu pocieszał ich, że Hermanus nie jest jakimś odludziem. Teraz w sezonie pełno tam ludzi spędzających urlop. Knajpki są, zaś przystojne dziewczęta spragnione przeżyć z egzotycznymi marynarzami także się na pewno znajdują.

Wyprawa do Hermanus zakłócona została nieszczęśliwym wypadkiem. Jeden z marynarzy pochodzący aż z Bangladeszu schodząc z trapu w jednym ręku trzymał aparat fotograficzny, w drugim worek z częścią swoich rzeczy. Mudżibar Sattar był bardzo szczęśliwy i dumny z posiadania drogiego sprzętu fotograficznego. Kupił go w Hamburgu, poświęcając całą zaliczkę otrzymaną od kapitana Borgulisa. Teraz więc, kiedy schodząc ze statku pośliznął się na mokrym trapie, myślał przede wszystkim o ratowaniu aparatu, a nie własnej skóry.

Rezultat: ciężkie złamanie nogi. Ale aparat ocalał. Na szczęście lekarz był na miejscu i zdecydował, że chorego trzeba przewieźć do szpitala. Zjawiła się karetka pogotowia i kiedy reszta załogi „Kuretake Maru” zmierzała do nadmorskiej miejscowości wypoczynkowej,

Mudżibarowi Sattarowi mocowano wyciąg na szpitalnym łóżku. Dopiero za kilka dni miano mu założyć gips, bądź w inny sposób usztywnić nogę, żeby się mogła dobrze zrosnąć.

Operacja nastawiania złamanej nogi była dość bolesna. Banglijczyk nie wydał najmniejszego jęku. Cały czas jednak przyciskał do piersi swój piękny aparat fotograficzny. Później schował go pod poduszkę. Wzbudziło to sporo śmiechu nie tylko innych chorych, ale i personelu lekarskiego.

Po kilku dniach choremu z usztywnioną nogą pozwolono poruszać się po pokoju i korytarzu szpitalnym. Podpierając się kulami, Mudżibar Sattar dowędrował do okna. Szpital stał na wzgórzu górującym nad portem. Marynarz widział swój statek, który w dole, w odległości około kilometra, stał zacumowany do nadbrzeża. Na statku panował gorączkowy ruch. Dźwigi pracowały bez ustanku wydobywając z luk „Kuretake Maru” ciemnobrązową rudę i usypując z niej spory nasyp na nadbrzeżu. Tutaj podjeżdżały wielkie platformy kolejowe, na które inne dźwigi załadowały rudę. Niedaleko od miejsca postoju statku, na tym samym nadbrzeżu, sterczała górka ciemnożółtego piasku.

Ten widok tak się podobał Mudżibarowi, że z powrotem powędrował do salki, w której leżał, wyciągnął aparat fotograficzny, wrócił do okna i pstryknął kilka zdjęć. Na szczęście miał w aparacie kolorowy film, a i w zapasie kilka takich rolek.

Teraz choremu marynarzowi czas zaczął schodzić coraz przyjemniej. Fotografował współtowarzyszy niedoli, personel pielęgniarstwa i lekarski, a kiedy pozwolono mu już wychodzić do ogrodu, także budynki szpitala. Nie zapominał oczywiście o swoim statku. Codziennie dokonywał przynajmniej jednego zdjęcia „Kuretake Maru”, z którego wnętrza pracownicy wydobywano dzień i noc coraz to nowe tony rudy.

Po kilku dniach nastąpiła zmiana, którą Mudżibar Sattar natychmiast zauważył. Oto statek przesunął się nieco na prawo. Obecnie cumował przy ciemnożółtym piasku, zaś dźwigi portowe ładowały

ten piasek w opróżnione z rudy luki. Tej zmiany obywatel Bangladeszu nie omieszkał uwiecznić na kliszy.

Ale za trzy dni już nie było co fotografować. W nocy statek nagle zniknął. Zniknęły też obie hałdy. Jedna, ta żółta w lukach „Kuretake Maru”, druga pociągami pojechała w głąb kraju. Nadbrzeże zostało dokładnie oczyszczone. Teraz zacumował tu inny statek wyglądający na karzelka w porównaniu z masowcem, który odpłynął. Z tej drugiej jednostki wyladowywano jakieś kontenery.

Mudżibar Sattar trochę się zaniepokoił, że jego jednostka wypłynęła z Kapsztadu. Sądził jednak, że w zarządzie szpitala lub w kapitanacie portu będą na niego czekały pieniądze i dyspozycje, gdzie ma dogonić „Kuretake Maru”. Tymczasem jednak zabawiał się fotografowaniem wszystkiego, co mu tylko w oko wpadło.

Upłynął niecały tydzień, kiedy jeden z chorych, leżących na sąsiednim łóżku, po przeczytaniu gazet powiedział:

— Miałeś szczęście. Twój statek zatonął koło wyspy Mauritius. Prasa nie podaje, czy się ktoś uratował.

— Niemożliwe.

— Patrz! To jest ta depesza z Mauritiusa donosząca o zatonięciu „Kuretake Maru”.

Mudżibar Sattar pochwycił podaną mu gazetę. Jak każdy marynarz, który sporo pływał na najrozmaitszych statkach, mógł się rozmówić po angielsku, natomiast z czytaniem było znacznie gorzej. Pomimo to przesylabizował nazwę „Kuretake Maru” i słowa „poszedł na dno”.

— No widzisz! — triumfował chory z sąsiedniego łóżka.

— Nie dość dokładnie zrozumiałem — przyznał się obywatel Bangladeszu. — Takie małe literki, a bez szkieł niedowidzę.

— Przetłumaczę ci. „Z Mauritius donoszą, że w dniu wczorajszym statek bandery liberyjskiej „Kuretake Maru” zdążający do Japonii miał awarię maszyny głównej. Na skutek wysokiej fali nastąpiło przesunięcie się ładunku, przechył statku na lewą burtę i pęknięcie

poszycia. W tej sytuacji załoga opuściła statek, który poszedł na dno. Dalszych szczegółów katastrofy i losu załogi na razie brak”.

— Taki wielki masowiec, jak on mógł nagle zatonać? — dziwił się Mudżibar Sattar.

— Większe od niego diabli brali. Jak pod banderą liberyjską, to na pewno był jakiś stary grat — sąsiad dobrze orientował się w jednostkach pływających pod „tanią banderą”.

Nazajutrz marynarz podpierając się laską, bo już mógł się poruszać bez kul, udał się do zarządu szpitala.

— Czy nie ma dla mnie jakiegoś listu albo pieniędzy?

Sekretarka długo sprawdzała.

— Niestety, nie ma nic.

Znowu upłynęło kilka dni. Lekarze orzekli, że stan zdrowia chorego jest na tyle dobry, że nie powinien blokować łóżka szpitalnego. Może się przecież poruszać o lasce. Opatrunek gipsowy zdejmie się za dwa tygodnie i wtedy trzeba będzie prowadzić ćwiczenia rehabilitacyjne.

— Co ja zrobię ze sobą? — martwił się marynarz — mam mało pieniędzy.

Tak jak mu poradzono, Sattar udał się do kapitanatu portu. Tam jednak kategorycznie twierdzono, że nic dla niego nie mają i skierowano go do „Domu Marynarza” utrzymywanego przez misję protestancką. Pastor wysłuchawszy opowiadania marynarza zaopiekował się nim, pozwolił mu mieszkać w zarządzanym przez siebie domu i nawet sam poszedł z Mudżibarem do przedstawiciela „Lloyd's Brokers Association”.

Agent „Lloyda” uważnie wysłuchał opowiadania marynarza z „Kuretake Maru”. Obiecał opiekę i wypłacenie odszkodowania za nieszczęśliwy wypadek. Na poczet tego odszkodowania, udzielił Sattarowi niewielkiej zaliczki pieniężnej. Zainteresował się także fotografiami wykonanymi przez Mudżibara. Był tak uczynny, że podjął się wywołania tych klisz i wykonania odbitek. Ta propozycja

ogromnie ucieszyła mieszkańca Bangladeszu. Martwił się bowiem, że nie będzie mógł zapłacić za wywołanie filmów.

Przedstawiciel „Lloyd's Brokers Association” poradził także marynarzowi, żeby ten jeszcze przez kilka dni nie forsował nogi, a raczej poleżał w „Domu Marynarza”. Tam przyjdzie lekarz i poprowadzi dalszą kurację chorego.

Tego samego dnia długa zaszyfowana depesza została nadana do centrali „Lloyda” w Londynie. Odpowiedź przyszła prawie natychmiast „Trzymać sprawę w ścisłej tajemnicy i jak najprędzej przywieźć Mudżibara Sattara do Anglii”.

Z Londynu tymczasem poszły w świat najrozmaitsze polecenia. Jedne na Mauritius, inne do stolicy Liberii, Monrovii.

Okazało się wkrótce, że poczynania towarzystwa ubezpieczeniowego, jakim jest „Lloyd's Brokers Association” są spóźnione. Mudżibar Sattar zbyt długo leżał w szpitalu i za późno dotarł do przedstawiciela „Lloyda” w Kapsztadzie. Na Mauritiusie nie było już nikogo z załogi „Kuretake Maru”, zaś w Monrovii Izba Morska rozpatrująca sprawę statku wydała orzeczenie stwierdzające zatonięcie masowca na skutek awarii maszyny głównej i uderzenia „wysokiej fali”. Wysoka fala to zjawisko meteorologiczne nie w pełni wyjaśnione przez naukę. Zdarza się ono stosunkowo dość często na Oceanie Indyjskim przy brzegach Afryki. Zwłaszcza na południe od Madagaskaru. Zjawisko polega na tym, że przy zupełnie spokojnym morzu nagle nadbiega z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę ogromna fala. Jej wysokość nieraz przekracza dwadzieścia metrów. Uderzenie takiego wału wodnego, jeśli dosięgnie statek od burty, może go przewrócić i zatopić. Wysokiej fali nie potrafią się oprzeć nawet wielkie tankowce. Zazwyczaj służba radiometeorologiczna stara się w porę ostrzegać jednostki pływające przed tym groźnym zjawiskiem. Jednakże wysoka fala, która przyczyniła się do katastrofy „Kuretake Maru”, nie została w ogóle zauważona przez meteorologów i hydrologów.

W wielkiej sali „Lloyd's Brokers Association” w Londynie wisi

stary dzwon okrętowy. Kiedy do siedziby tego towarzystwa ubezpieczeniowego nadchodzi wiadomość, że statek figurujący w rejestrze „Lloyda” zatonał, woźny uderza młotkiem w metal wydający żałobny dźwięk. Nie ma prawie dnia, żeby ponury głos dzwonu nie rozbrzmiał w tej sali. Przecież co najmniej trzy czwarte wszystkich jednostek pływających po morzach i oceanach świata jest bezpośrednio lub pośrednio ubezpieczona w starej firmie „Lloyd's Brokers Association”. A prawie codziennie jakiś statek zawija do portu Neptuna.

Uderzający w dzwon nabrał takiej wprawy, że klienci i pracownicy „Lloyda” po tonie i mocy dźwięku orientują się, czy to zatonał zwykły jacht, jakaś mała przybrzeżna jednostka, czy wielki tankowiec.

Tego dnia, gdy z wyspy Mauritius nadeszła wiadomość o zatonięciu „Kuretake Mani”, głos dzwonu zabrzmiał z całą ponurą mocą. Statek i ładunek ubezpieczone były łącznie na ogromną nawet jak na „Lloyda” kwotę sześćdziesięciu ośmiu milionów dolarów. Wypłata takiego odszkodowania nie wstrząsnęłaby podstawami finansowymi „Lloyda”, bo szkoda w systemie reasekuracji rozkładałaby się na dziesiątki różnych towarzystw reasekuracyjnych, ale dla wszystkich tych towarzystw byłaby dość dotkliwym ciosem.

Wiadomość, iż w Kapsztadzie znajduje się były marynarz „Kuretake Maru”, a jego opowieści zasadniczo różnią się od oficjalnej wersji katastrofy tej jednostki, wywołała w dyrekcji „Lloyda” wielkie poruszenie. Przedstawicielowi towarzystwa w Kapsztadzie polecono strzec chorego Mudżibara Sattara jak żrenicy oka i przywieźć do Londynu jak najszybciej, nie licząc się z kosztami. Przewidujący urzędnik „Lloyda” układający teleks do Kapsztadu zaznaczył, że w razie potrzeby choremu mogą towarzyszyć na koszt firmy lekarz i pielęgniarka. Konieczne jest, podkreślał teleks, zachowanie pełnej tajemnicy.

W ten sposób skromny marynarz z Bangladeszu w ciągu trzech dni znalazł się w stolicy Anglii, gdzie go umieszczono w niewielkim,

ale przyjemnym „Gresham Hotel” położonym przy Blomsburry Street 36, a zatem w bezpośrednim sąsiedztwie British Museum i Oxford Street, w samym centrum miasta. A poza tym niedaleko siedziby „Lloyda”.

Towarzystwo dbało o swoją zdobycz. Chorego odwiedził lekarz, który stwierdził, że Mudżibar Sattar zniósł podróż wyśmienicie, że niedługo będzie można zdjąć opatrunek i przystąpić do zabiegów rehabilitacyjnych, co zostało marynarzowi zagwarantowane przez towarzystwo.

Także właściciel hotelu pan Yan Langer otrzymał polecenie od dyrekcji „Lloyda”, żeby w miarę możliwości spełniać życzenia chorego, którego jednak ze względu na stan zdrowia nie należy wyprowadzać na ulice miasta. Ponieważ hotel serwował swoim gościom tylko śniadania, poproszono pana Langerę, żeby były one przynoszone na górę, do pokoju. Trudno bowiem wymagać od kogoś ze złamaną nogą, aby schodził do przyziemia, gdzie mieściła się jadalnia. Także inne posiłki miano przynosić Mudżibarowi z pobliskiej restauracji. Podjęła się tego zadania fertyczna pokojówka o dźwięcznym imieniu Kasia. Oczywiście za dodatkowe usługi płaciło towarzystwo ubezpieczeń.

Dziwnym zbiegiem okoliczności dwóch młodych gentlemanów sprowadziło się do „Gresham Hotel” w tym samym dniu, w którym marynarz z „Kuretake Maru” wylądował na lotnisku w Londynie. Panowie ci zajęli pokoje obok obywatela Bangladeszu. Tak się składało, że w hotelu był zawsze przynajmniej jeden z tych panów. Mieli także osobliwy zwyczaj. Nie lubili zamykać drzwi do swoich pokoi. Zawsze były one tylko przymknięte.

Ponieważ angielszczyzna Mudżibara Sattara przedstawiała dużo do życzenia, „Lloyd” zaangażował tłumacza, który z marynarzem mógł rozmawiać w jego rodzimym języku. Wywołano wszystkie wykonane przez chorego zdjęcia i zrobiono kilka odbitek. Ku wielkiej radości amatora fotografii, zdjęcia udały się doskonale. Mudżibar cieszył się nimi jak dziecko. Zwłaszcza znakomicie wyszły

fotografie przedstawiające panoramę portu z „Kuretake Maru” na pierwszym planie. Widać było, jak statek najpierw wyładowuje ciemnobrunatną rudę, a później, w nieco innym miejscu, przyjmuje do swoich ładowni żółty piasek.

Marynarz się nie domyślał, że część tych fotografii została zamknięta w pancernym sejfie „Lloyd's Brokers Association” tam, gdzie przechowuje się dokumenty o wartości wielu milionów dolarów.

Rozdział XIV

Operacja „Wolfram” część druga

Wyładunek sześćdziesięciu pięciu tysięcy ton rudy wolframowej z „Kuretake Maru” przebiegał szybko i sprawnie. Dźwigi portowe pracowały dzień i noc. Co kilka godzin, lokomotywy wyciągały z portu długi sznur wagonów i wiozły go w głąb kraju. Potem załadunek kupki żelazistego piasku był drobnostką, z którą uporano się w niecałe trzy dni. Czekano jedynie do zmierzchu, żeby statek bez zwracania specjalnej uwagi mógł wyjść w morze.

Załoga kapitana Borgulisa bawiła się dobrze w Hermanus. W miasteczku nie zabrakło okazji miłego spędzenia czasu. Byli tacy, co z prawdziwym żalem opuszczali ten kawałek afrykańskiej ziemi.

Dowódca statku nie zapomniał o swoim chorym marynarzu. Zatelefonował pewnego dnia do szpitala, żeby dowiedzieć się, co się dzieje z Mudżibarem Sattarem. Akurat recepcjonistka odbierająca telefon miała poważne problemy. Wczoraj pokłóciła się ze swoim przyjacielem i teraz biła się z myślami, czy chłopak zechce ją zawieźć po południu do Atlantic Coast, jak to wcześniej planowali. A może w ogóle więcej się nie odezwie?

Pogrążonej w czarnych myślach dziewczynie, bardzo nie na rękę był telefon. Jakiś cudzoziemiec dopytywał się o kogoś o śmiesznym

imieniu i nazwisku. Na dodatek telefon w recepcji szumiał i trzeszczał, tak że tego obcego w ogóle trudno było zrozumieć.

— Mudżibar Sattar — powtarzał Borgulis.

— Hindus z wypadku? — domyśliła się dziewczyna.

— Mudżibar Sattar — jeszcze raz powtórzył kapitan — z wypadku na statku.

— Ten wypadek w porcie?

— Tak. Złamał nogę. Marynarz z Bangladeszu. Z „Kuretake Maru”.

— Umarł!

— Niemożliwe.

— Kiedy mówię, że umarł, to umarł. Na drugi dzień, nie odzyskawszy przytomności — odpowiedziała dziewczyna, zła na swojego rozmówcę, że zanudza ją jakimś dzikusiem, gdy tymczasem ona nie może się zdecydować czy zadzwonić do chłopaka, czy też jeszcze czekać, żeby skruszał i pierwszy się odezwał.

— A co z pogrzebem?

— Nikt się nie zgłosił po ciało. Zabrano go do prosektorium, dla studentów medycyny — recepcjonistka uznała rozmowę za skończoną i cisnęła słuchawkę na widełki.

Prawda była nieco inna. Umarł mężczyzna nie z Bangladeszu, lecz Hindus, których dużo żyje w Południowej Afryce. Nie marynarz, ale doker. Nie złamał nogi, lecz został przygnieciony kontenerem. Nie Mudżibar Sattar, a Raddżaj Nahal. Poza tym reszta się zgadzała. Rzeczywiście przy wylądunku pewnego statku nastąpił wypadek. Jego ofiarę przewieziono do szpitala, gdzie zmarła nie odzyskując przytomności.

Żałoby po Mudżibarze Sattar nie obchodzono. Tradycyjnym zwyczajem współtowarzysze pracy podzielili się skromnym dobytkiem zmarłego. Żałowano jedynie, że pechowiec zabrał ze sobą do szpitala cenny aparat fotograficzny. Można by go było wymienić na kilka butelek whisky. A tak, aparat na pewno ukradli pielęgniarze.

Podczas pobytu w Kapsztadzie, kapitan Borgulis przystąpił do wykonywania drugiej części operacji „Wolfram”, opracowanej wspólnie z armatorem „Kuretake Maru” Frederickiem Gabonem i jego dwoma współnikami. Codziennie do Londynu na adres „Liverpool Shipping Company” (w Liberii, gdzie oficjalnie ta firma była zarejestrowana, całą jej siedzibą był mały pokój z jednym pracownikiem, zjawiającym się tam raz na parę dni, dla ewentualnego załatwienia poczty) szły radiodepesze podające fikcyjne położenie statku zdążającego rzekomo do Japonii.

Po pewnym czasie w tych komunikatach pojawiły się niepokojące wieści. Maszyna główna statku pracowała coraz gorzej. Szybkość „Kuretake Maru” spadała po parę węzłów codziennie. W rzeczywistości była ona równa zeru, bo statek stał spokojnie przy nadbrzeżu w porcie, w Kapsztadzie.

Z kolei wieści stawały się coraz bardziej pesymistyczne. Załoga na próżno usiłowała usunąć awarię silnika. Niestety, brakowało jakichś części, których na miejscu, na statku, nie można było ani dorobić, ani regenerować.

Firma „Liverpool Shipping Company” pieczołowicie przechowywała te depesze, a ich odpisy przysyłała „Züricher Import-Export Gesellschaft”. Właśnie to przedsiębiorstwo wdzierzało statek dla przewozu rudy i uregulowało czynsz za trzy miesiące. W jego gestii był więc teraz „Kuretake Maru”.

Z kolei szef zuryskiej firmy polecił „Liverpool Shipping Company”, niby podjął odpowiednie kroki dla umożliwienia usunięcia awarii, żeby statek mógł w przewidywanym terminie dotrzeć do brzegów Japonii. Wiózł przecież cenny ładunek rudy wolframowej.

Anton Miller oraz Frederick Gabon dobrze się bawili wymieniając te alarmistyczne listy polecane. O ich treści poinformowany był również trzeci współnik, Arnond Fock, który przebywając w Rotterdamie także uważał, że cała operacja przebiega nad wyraz pomyślnie.

O wypadku, jakiemu uległ marynarz z Bangladeszu, Mudżibar Sattar, trzej panowie nie wiedzieli. Zdaniem kapitana Borgulisa, był to drobny incydent bez najmniejszego znaczenia.

Kiedy „Kuretake Maru” naprawdę opuścił Kapsztad i całą mocą swojej sprawnej maszyny głównej zdążył na wschód, depesze ze statku stały się coraz bardziej tragiczne. Szybkość spadła do kilku węzłów. Zawisła groźba, że silnik w każdej chwili przestanie pracować.

Właściciel statku podjął więc jedynie słuszną decyzję, polecając kapitanowi Borgulisowi zmienić kurs i skierować się do najbliższego portu, jakim była wyspa Mauritius. Tam przybędzie ekipa mechaników, którzy przywiezą potrzebne części i doprowadzą statek do porządku.

Szybkość „Kuretake Maru” w radiotelegramach, nadal spadała. Statek już ledwie, ledwie się poruszał. Groziła mu utrata sterowności. Wreszcie dnia dwudziestego siódmego lutego nastąpiła katastrofa. Silnik ostatecznie odmówił posłuszeństwa. Teraz kapitan Borgulis co godzina meldował o pogarszającej się sytuacji. „Kuretake Maru” stał bokiem do coraz większej fali. Ładunek pod nieustannymi uderzeniami wałów wodnych przesunął się na lewą burtę powodując przechył statku. Na domiar złego wszelkie próby nawiązania bezpośredniej łączności z wyspą Mauritius nie dawały rezultatu. Nie można było wezwać stamtąd holownika, któremu może udałoby się dociągnąć masowiec do tak już bliskiego portu.

Tragedia przyszła nagle. Na stojący bokiem „Kuretake Maru” uderzyła wysoka fala. Tego ciosu niemłody już statek nie wytrzymał. Pękło poszycie burty na dużej długości i woda wdarła się do środka. Próby jej wypompowania i założenia prowizorycznej łąty nie dawały rezultatu.

W tej sytuacji kapitan Borgulis podjął ostateczną decyzję. Poleciał spuścić łódź ratunkową i wydał załodze rozkaz opuszczenia statku. W swojej ostatniej depeszy do armatora, dowódca masowca zawiadamiał, że na statku wybuchła panika, którą jednak kapitanowi

i

oficerom udało się opanować. Cała załoga zeszła do łodzi ratunkowej, nikt nie został ranny, ani nie odniósł jakichkolwiek obrażeń.

Jak się później okazało, ta panika nie przeszkodziła załodze nie tylko w zaopatrzeniu łodzi ratunkowej w zapasy pożywienia, papierosów i nawet w coś mocniejszego niż woda pitna w zbiorniku łodzi, ale również w zabraniu swoich rzeczy osobistych. Kapitan Borgulis zdołał wziąć ze sobą zarówno kasę okrętową, jak i dokumenty dotyczące ładunku, (naturalnie rudy wolframowej), ubezpieczenia oraz paszporty całej załogi.

Wśród tych zabiegów opanowania paniki, trudno się dziwić dzielnemu dowódcy masowca i jego oficerom, że zapomnieli zabrać... dziennika okrętowego.

Dopiero radiostacja łodzi ratunkowej nadając SOS nawiązała kontakt z wyspą Mauritius, skąd natychmiast wysłano hydroplan na ratunek. Ale nie zaszła potrzeba interwencji. Po przejściu wysokiej fali morze nagle uspokoiło się i woda była gładka jak stół. Łódź ratunkowa sterowana wytrawną ręką kapitana Borgulisa bezbłędnie trzymała kurs na Mauritius. Olbrzymi masowiec tonął dostojnie i powoli. Załodze hydroplanu nie pozostało nic innego, jak tylko sfotografowanie ostatnich chwil statku pogrążającego się w głąb oceanu. Te zdjęcia agencje prasowe kupowały później na wagę złota.

Po kilku godzinach żeglowania po spokojnym morzu, łódź ratunkowa przybiła do portu. Formalności trwały krótko. Władze portowe nie chciały męczyć biednych, zmaltretowanych straszną przygodą, rozbitków. Ograniczono się jedynie do spisania personaliów całej załogi i przyjęcia oświadczenia kapitana statku, że wszyscy są cali i zdrowi. Resztę wstępnych przesłuchań odłożono na stosowniejszą chwilę.

Nie wiadomo, jak to się stało, ale nazajutrz na Mauritius zjawił się przedstawiciel „Züricher Import-Export Gesellschaft”, który przyleciał tutaj czarterowym samolotem z Salisbury z Zimbabwe.

Starszy, mocno siwy pan o twarzy pooranej zmarszczkami i mocno przygarbionej figurze, troskliwie zajął się rozbitkami. Z każdym z członków załogi odbył rozmowę w cztery oczy. Każdemu także wręczył bilet lotniczy z Zimbabwe do jego miejsca stałego zamieszkania. A prócz tego kopertę z zielonymi papierkami, których wysokość wprost oszołomiła marynarzy. Starszy pan wymagał tylko dwóch drobiazgów. Podpisania dokumentu, że żaden z członków załogi „Kuretake Maru” nie rości pretensji ani do armatora, ani do dzierżawcy statku. Drugi warunek był jeszcze bardziej bagatelny. Po prostu zapomnieć o wszystkim.

W starszym, przygarbionym panu z twarzą pooraną zmarszczkami nikt by nie rozpoznał przystojnego człowieka w sile wieku, którego prawdziwie męskiej urody nie szpeciła duża blizna biegnąca przez cały prawie lewy policzek. Chyba nawet Marietje nie poznałaby w nim pana jej snów.

Sumka, jaką każdy otrzymał, była tak wysoka, że większości z nich pozwalała się urządzić do końca życia. Jedni planowali, że kupią ziemię i osiadą na roli, inni woleli jakieś małe przedsiębiorstwo lub knajpę w portowym mieście. Paru z nich, a byli to Grecy i Tunezyjczycy, od razu zawiązało maszoperię i postanowiło zakupić używany kuter rybacki. Każdy dobrze rozumiał, że w jego własnym interesie leży zapomnienie o istnieniu statku, który nosił nazwę „Kuretake Maru”. Ci ludzie, zebrani dosłownie z całego świata, znali cenę milczenia i cenę jaką się płaci za złamanie tego milczenia.

Oficerów i pierwszego mechanika uhonorowano specjalnie. Tutaj koperty były znacznie grubsze, a cyfry na zielonych papierkach dużo wyższe. Wszystko załatwiono ku zadowoleniu obu stron. Łódź ratunkowa, jedyna pozostałość po wielkim masowcu, została sprzedana za niewielkie pieniądze jakiemuś handlarzowi skórą z Zanzibaru. Nabywca kazał ją od razu załadować na statek odpływający w tamtym kierunku.

Tego samego dnia, samolot, którym przyleciał urzędnik z Zurychu, wystartował w drogę powrotną do Zimbabwe. Zabrał on na pokład całą byłą załogę „Kuretake Maru”, by ze stolicy dawnej Rodezji mogła się rozjechać w różnych kierunkach świata. Tak więc do dalszych rozmów kapitana i załogi z władzami portowymi w ogóle nie doszło.

Kapitan Borgulis wraz z pierwszym oficerem i pierwszym mechanikiem musieli się udać do Liberii, gdzie „Kuretake Maru” była zarejestrowana. Tam, przed sądem Izby Morskiej w Monroviu mieli wyjaśnić przebieg katastrofy masowca i uzyskać odpowiednie orzeczenie. Takie, które pozwoliłoby armatorowi i użytkownikom statku na wystąpienie do „Lloyd's Brokers Association” o odszkodowanie w wysokości siedemnastu milionów dolarów jako równowartość zatopionego statku, oraz pięćdziesięciu jeden milionów, które zapłacone zostały Brazylijczykom za rudę wolframową, spoczywającą teraz na głębokości trzech tysięcy metrów, gdyż taką głębokość ma Ocean Indyjski przy wyspie Mauritius.

I znowu dziwnym zrzędzeniem losu w kapitanacie portu gdzieś się zagubiła lista byłej załogi masowca. Pomimo jak najbardziej skrupulatnych poszukiwań nie udało się jej nigdy odnaleźć. Starszy pan, reprezentujący interesy armatora i dzierżawcy, miał w zapasie sporo zielonych papierków i umiał się nimi posługiwać.

Nie można się dziwić kapitanowi Borgulisowi, że po przeżyciu szoku, jakim było dla niego zatonięcie „Kuretake Maru” stracił pamięć przeżytych wydarzeń. Nie mógł sobie nawet przypomnieć żadnego z nazwisk marynarzy, przez prawie trzy miesiące stanowiących jego załogę. Taka amnezja była jednak zupełnie zrozumiała, jeśli się weźmie pod uwagę pech, jaki prześladował tego dzielnego marynarza. To już z kolei czwarty statek, który pod jego dowództwem szedł na dno. Nerwy Borgulisa mogły odmawiać posłuszeństwa.

Japończycy z „Sanei Metal Thermal Engineering Company” z właściwym ludzom Wschodu stoicyzmem przyjęli wiadomość o

katastrofie statku wiozącego dla nich ładunek rudy wolframowej. Ostatecznie w skali wielkiej firmy wydatek na kilkudniową wycieczkę cudzoziemca po kraju jest nie znaczącym drobiazgiem. Nic zatem nie stracili. A że i nie zarobili? Takie były najwidoczniej wyroki losu. Nie można walczyć z przeznaczeniem.

Rozdział XV

Przed sądem Izby Morskiej

Kapitanowie i oficerowie statków, którzy mają coś na sumieniu, tylko marzą o tym, żeby stawać przed sądem Izb Morskich w krajach „tanych bander”. Takich, jak Liberia, Cypr czy Panama. Te izby wydają prawdziwie ojcowskie wyroki. Upomnienie, nagana, w najgorszym wypadku ostrzeżenie i pozbawienie na rok prawa dowodzenia statkiem. Żeby komuś odebrano patent kapitana żeglugi wielkiej albo jeszcze gorzej, skazano na karę więzienia, musi on być skończonym durniem lub piramidalnym fajtlapą.

Kto będzie podpiłowywał gałąź, na której siedzi? Tak zwana „tania bandera”, to niskie opłaty za rejestrację statków i jeszcze niższe podatki. Takie przywileje zwabiają armatorów z całego świata. Flota maleńkiej Liberii liczy prawie sto osiemdziesiąt milionów BRT. Jest więc większa od takich potęg morskich, jak Anglia, Stany Zjednoczone czy Francja razem wziętych. Gdyby Izba Morska w Monroviu ferowała surowe wyroki, wiele tych statków zechciałoby zapewne zmienić banderę. A przecież opłaty rejestracyjne, to główna pozycja w budżecie tego państwa. Podobnie jest i z innymi „tanimi banderami”.

Dlatego kapitan Borgulis i jego oficerowie z całą ufnością i bez żadnych obaw lecieli do Monroviu. Tarn już armator, dzielny pan

Frederick Gabon, poczynił odpowiednie starania, żeby rozprawa odbyła się sprawnie i w możliwie krótkim terminie.

Wreszcie nadszedł dzień procesu. Oczywiście nie udało się spowodować, żeby przedstawiciele „Lloyd's Brokers Association” nie byli obecni na rozprawie. Ci panowie zjawiali się tam zawsze i zawsze też usiłowali bruździć, na szczęście zazwyczaj bez powodzenia.

Kapitan Borgulis w postawie wyrażającej szacunek dla Wysokiego Trybunału składał swoje wyjaśnienia spokojnym i opanowanym głosem. Opisywał, jak przebiegał rejs przez Atlantyk i jak na wysokości mniej więcej Przylądka Dobrej Nadziei silnik główny „Kuretake Maru” zaczął powoli odmawiać posłuszeństwa. Wszelkie wysiłki pracowników maszynowni pod kierunkiem pierwszego mechanika nie dawały rezultatu. Szybkość masowca coraz bardziej spadała.

Kapitan statku nie chciał działać samodzielnie. Codziennie konsultował się z armatorem. Od niego otrzymywał instrukcje, które ściśle wypełniał. Na dowód tego Borgulis złożył odpisy radiotelegramów wysyłanych do Londynu i oryginały otrzymywanych stamtąd odpowiedzi. Na szczęście wszystkie te dokumenty ocalały z katastrofy. Była to wzorowa korespondencja. Można byłoby dawać ją za przykład w wyższej szkole morskiej, jak postępować na morzu.

— Gdzie jest dziennik okrętowy? — wtrącił się zupełnie niepotrzebnie przedstawiciel „Lloyda” — chcielibyśmy się zapoznać z całym przebiegiem rejsu.

— Niestety, nie udało się go uratować z tonącego statku — odpowiedział ze smutkiem w głosie kapitan Borgulis.

— Jak to? Pan nie wie, że dziennik okrętowy jest najważniejszym dokumentem na statku? Nie uczyli pana, że ten dziennik trzeba przede wszystkim ratować.

— Dla mnie — odpowiedział kapitan z godnością w głosie — zawsze najważniejsze jest życie ludzkie. Nie moje własne — ostatni, jak każe obowiązek, zszedłem z pokładu — ale życie tych, którzy mi zawierzyli. Kiedy po uderzeniu wielkiej fali woda przelewała się

przez pokłady statku, a poszycie lewej burty pękło z hukiem armatnim, nie myślałem o dzienniku okrętowym, lecz spieszyłem na ratunek zagrożonej załodze.

To była piękna deklaracja i wzbudziła cichy aplauz wśród członków Trybunału.

— Na statku wybuchła panika. To zupełnie zrozumiałe — ciągnął dalej kapitan. — Woda gwałtownie wdarła się do wnętrza. Wprawdzie pierwszy mechanik natychmiast uruchomił pompy, ale szczelina powiększała się z każdą chwilą. Statek coraz mocniej kładł się na lewą burłę. Ludzie tracili głowy. Chcieli skakać za burtę w kamizelkach ratunkowych. Musiałem opanować sytuację. Udało mi się to w samą porę. Jeszcze trochę i wobec przechyłu statku nie można by było spuścić na wodę łodzi ratunkowej. Cud boski, że to nam się udało.

— Za każdym razem się udaje — znowu przedstawiciel „Lloyda” zabrał głos. — Ma pan przecież wprawę. To już czwarty statek wysyłany przez pana na dno. W poprzednich wypadkach, pan również zawsze opanowywał panikę.

— Protestuję, wysoki sędzie, kategorycznie protestuję — adwokat wynajęty przez armatora, najlepszy zresztą, jaki był w Monrovii, zerwał się ze swojego miejsca — to jest obraza mojego klienta i niedopuszczalna insynuacja.

— Proszę o wzięcie mnie w obronę przed niewybrednymi atakami tego pana — kapitan Borgulis także przyłączył się do protestu obrońców. — Gotów jestem odpowiadać na każde rzeczowe pytania, ale nie pozwolę się znieważać.

Sąd Izby Morskiej zwrócił uwagę przedstawicielowi „Lloyda”, żeby zadawał tylko pytania dotyczące wypadku, a nie próbował w złym świetle przedstawiać postaci kapitana.

— Mówi pan o panice i trudnościach ze spuszczeniem łodzi ratunkowej — przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeniowego nie dawał za wygraną.

— Tak było — potwierdził Borgulis — są na tej sali oficerowie

z „Kuretake Maru”, którzy mogą dokładnie zrelacjonować przebieg wypadków. Zapewne zrobią to lepiej ode mnie, bo nie miałem czasu na zastanawianie się i rejestrowanie wszystkiego w pamięci. Trzeba było działać szybko i ze zdecydowaniem.

— Kiedy przyjdzie kolej na zeznania pańskich towarzyszy, wyjaśnimy dokładnie te kwestie. Tymczasem — nie ustępował pełnomocnik „Lloyda” — posiadam tutaj cały pakiet fotografii wykonanych przez hydroplan przesłany z Mauritiusa na ratunek załogi.

— Nie zaszła taka potrzeba. Sami daliśmy sobie radę.

— To pięknie. Ale z tych zdjęć wynika, że statek tonął bardzo powoli. Załoga już go opuściła, widać odpływającą łódź ratunkową, a jeszcze burty wystają na kilka metrów nad powierzchnię morza. Brak też przechyłu, o którym wspominał kapitan. Dla każdego fachowca jest sprawą zupełnie oczywistą, że statek utrzyma się na powierzchni co najmniej przez godzinę, a może jeszcze dłużej. Oto te zdjęcia. Proszę o załączenie ich do akt sprawy.

Kapitan Borgulis ani jego adwokat nie mogli protestować. Sąd przychylił się do wniosku „Lloyda”.

— Jak widzimy, gdyby nawet w pierwszym odruchu paniki przedwcześnie opuszczono statek — przedstawiciel „Lloyda” nie dawał za wygraną — i rzeczywiście zapomniano o zabraniu dziennika okrętowego, był czas i okazja, żeby po tak ważny dokument bezpiecznie wrócić na statek.

— Te zdjęcia niczego nie dowodzą — zabrał głos adwokat — są wykonane z dużej wysokości. Hydroplan zataczał koło nad miejscem wypadku, więc sam się znajdował w przechyle. Dlatego też nie widać, że statek ryje jedną burtą. Ta prosta postawa masowca, to zwykle złudzenie optyczne, na którym nie można polegać.

— Dodam także — kapitan wsparł wywody adwokata — że z góry nie widać falowania morza. Woda fotografowana z pewnej wysokości zawsze wydaje się pozornie gładka. W rzeczywistości było zupełnie inaczej. Przyszanaję, że po opuszczeniu statku jeszcze

przez około godzinę obserwowaliśmy, jak on pogrąża się w wodzie, ale o podejściu do masowca naszej łodzi ratunkowej nie mogło być mowy. Wielkie fale rzuciłyby nas na burtę statku i roztrzaskały jak łupinę orzecha.

— To są puste słowa, a nie rzeczowe argumenty — protestował pełnomocnik „Lloyda”.

— Przy wydawaniu orzeczenia — stwierdził przewodniczący kompletu orzekającego Izby Morskiej — rozpatrzmy wszelkie okoliczności wypadku. Również weźmiemy pod uwagę przekazane nam zdjęcia oraz argumentację obu stron.

— Kiedy wreszcie udało się nam spuścić łódź ratunkową kontynuował wyjaśnienia kapitan Borgulis — osobiście kierowałem kolejnością, w jakiej załoga ma opuszczać statek. Najpierw szedł do łodzi pierwszy mechanik, żeby sprawdzić i ewentualnie usunąć jakieś uszkodzenia silnika łodzi oraz dopilnować, czy mamy dostateczną ilość paliwa na dopłynięcie do wyspy Mauritius, od której dzieliło nas ponad osiemdziesiąt mil morskich.

— Tego nie można było zrobić wcześniej?

— Sprawdzanie sprawności łodzi ratunkowej należy do zadań drugiego oficera — tłumaczył Borgulis — i było wykonywane codziennie. Co innego jednak taka lustracja łodzi stojącej na pokładzie, a co innego, kiedy ta łódź spuszczonej została na wodę i tańczy na falach. Do uszkodzenia mogło dojść w czasie stawiania łodzi na morzu. Kiedy pierwszy mechanik dał mi znać, że wszystko jest w porządku, do łodzi spuszczała się marynarze. Najpierw maszynownia, potem pokładowi, następnie bosman i oficerowie, a ja ostatni.

— Taka była panika, a każdy zdążył zabrać ze statku swoje rzeczy osobiste — pełnomocnik „Lloyda” zamęczał kapitana pytaniami — prosiłbym o wytłumaczenie tej sprzeczności. Pan także o tym nie zapomniał. Wiemy, że każdy z was wysiadł z łodzi na ląd objuczony jak wielbłąd.

— To że tym ludziom udało się ocalić swój skromny dobytek — replikował adwokat — może być poczytane kapitanowi Borgulisowi wyłącznie za zasługę. Dowodzi, że po chwilowej panice

kapitanowi udało się zapanować nad załogą. Tak wielki kolos jak „Kuretake Maru” nie tonie jak dwudziestopięciocentówka wrzucona do fontanny. Ludzie mieli czas pobiec do swoich kabin i tam wpakować do marynarskiego worka te trochę maneli, które każdy z nich miał.

— Tak było — przyznał Borgulis — co do mnie, nie zajmowałem się moimi rzeczami. Cały czas na pokładzie kierowałem akcją ratunkową. Steward, kiedy wziął swój worek, pobiegł do kabiny kapitańskiej i spakował moje rzeczy. Zresztą nie wszystkie. W pośpiechu zapomniał na przykład o magnetofonie i komplecie taśm z nagraniami. A także o wielu innych drobiazgach, jak choćby maszynka do golenia.

— Wróćmy jednak do dziennika pokładowego — upierał się przedstawiciel „Lloyda” — gdzie on się znajdował w momencie katastrofy?

— Oczywiście na mostku kapitańskim. Razem z mapami, na których wykreślany był kurs statku.

— Tam też pozostał?

— Tak jest. Nie myślałem o nim. Może to moja wina, ale uważałem, jak już zaznaczyłem, że najważniejszą sprawą jest ratowanie ludzi.

— Jednak zabrał pan inne papiery. Paszporty całej załogi, dokumenty frachtowe i ubezpieczeniowe, a także kasę okrętową. Jak to się stało?

— W pewnym momencie, kiedy większość załogi znajdowała się w łodzi ratunkowej, podszedł do mnie pierwszy oficer i zaofiarował się mnie zastąpić. „Niech pan pomyśli o sobie, kapitanie — powiedział, a także i o nas, żebyśmy mogli na Mauritiusie dać ludziom po parę groszy dla wydostania się z tej wyspy”. Wtedy uprzytomniłem sobie, że w mojej kabine, w kasie pancерnej, mam około czterdziestu tysięcy dolarów, wszystkie dokumenty statku i dokumenty spedycyjne oraz ubezpieczeniowe, jak również paszporty załogi. Pobiegłem do kabiny i to, co było w kasie, wyładowałem z

niej na koc. Zawiązałem koc i z tym pakunkiem wróciłem na pokład. Tam już był tylko „pierwszy”. Na linie spuściliśmy ten skarb do łodzi, gdzie go przejął pierwszy mechanik. Potem zszedł ze statku pierwszy i dopiero kiedy on był w łodzi, poleciłem mu, żeby przeliczył ludzi. Bałem się, że może któryś z nich został na statku. Ale byli wszyscy. Wtedy i ja zszedłem z „Kuretake Maru”.

— Dlaczego nie nawiązaliście kontaktu z Mauritusem?

— Zarówno ja, jak i armator zawiadomiliśmy port, że mamy uszkodzoną maszynę i że kierujemy się do nich. Kiedy statek stracił sterowność, wielokrotnie wywoływaliśmy Mauritius, ale nie zdołaliśmy nawiązać z nimi łączności.

— Dlaczego wcześniej nie wezwaliście holownika?

— Statek ciągle płynął. Wprawdzie szybkość spadła zaledwie do kilku węzłów, ale mieliśmy nadzieję, że jednak dociągniemy do portu. Przecież w momencie katastrofy od wyspy dzieliła nas odległość zaledwie osiemdziesięciu mil morskich.

— Ze statku nie mogliście porozumieć się z Mauritusem, a z łodzi ratunkowej nawiązaliście od razu kontakt — upierał się pełnomocnik „Lloyda.”

— Nie umiem tego wytłumaczyć. Nie jestem fachowcem z dziedziny łączności bezprzewodowej. Może to był fading, czyli zanikanie fal radiowych, częste w pobliżu wysp pochodzenia wulkanicznego, a taką jest Mauritius. Może radiostacja tamtejsza była uszkodzona lub nikogo przy niej nie było. Obowiązki radiotelegrafisty pełnił drugi oficer. Może on będzie umiał wytłumaczyć ten problem.

— Dlaczego nie ma listy załogi? Załoga powinna być także przesłuchana.

— Nie ma zwyczaju — zaprotestował adwokat — przywozić do miejsca, gdzie statek jest zarejestrowany, całej załogi. Firma, w której gestii znajdował się „Kuretake Maru”, uregulowała wszystkie sprawy finansowe tych ludzi. Dopomogła im także do opuszczenia Mauritiusa, gdzie nie znaleźliby żadnej pracy. To kapitanat portu

powinien od razu na miejscu przesłuchać załogę. Naturalnie tylko w wypadku, gdyby miał jakieś wątpliwości, co do przebiegu katastrofy, czy niewłaściwie prowadzonej akcji ratunkowej. Ponieważ jednak akcję tę obserwował hydroplan i pomoc z zewnątrz nie była potrzebna, najwidoczniej władze portowe zrezygnowały z rozmowy z załogą. Na miejscu, w Monrovii, jest przecież zarówno dowódca masowca, jak i jego wszyscy oficerowie.

Komplet orzekający Izby Morskiej podzielał to rozumowanie. Przedstawiciel „Lloyda” poniósł kolejną porażkę.

Z kolei kapitan Borgulis musiał odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących ładunku i sposobu rozmieszczenia go w lukach statku. Dowódca masowca kategorycznie stwierdził, że statek nie był przeładowany. Jak to bowiem wynikało z dokumentów frachtowych, przyjęto pod pokład sześćdziesiąt pięć tysięcy ton rudy, gdy tymczasem ładowność statku wynosiła siedemdziesiąt tysięcy. To że sypki towar przesunął się na lewą burtę, również jest zupełnie zrozumiałe i zgodne z prawami fizyki. Z chwilą kiedy statek stracił sterowność, musiał się ustawiać burtą, a nie dziobem do fali. Na to nie można było nic poradzić. Jedynie małe jednostki mogą się ratować przez wyrzucanie dryfkotwy, ale nie taki olbrzym jak „Kuretake Maru”. Uderzenia fal w prawą burtę powodowały, że ładunek pod wpływem kołysania przesunął się w lewą stronę, to jest na inną burtę i powodował coraz większy przechył.

— Ale to by nie doprowadziło do pęknięcia poszycia — pełnomocnik „Lloyda” nie chciał skapitulować.

— Toteż przechył nie doprowadził do bezpośredniej katastrofy. Spowodowało ją dopiero uderzenie wielkiej fali. Setki tysięcy ton wtedy dosłownie przygniotły statek. Na szczęście tę falę zobaczyliśmy w porę i dzięki temu nikt nie został zmyty z pokładu. „Kuretake Maru” był już starą jednostką. Nie wytrzymał próby, która nieraz zatapiała większe i nowsze jednostki. Wypadki spowodowane wysoką falą są przecież „Lloydowi” doskonale znane.

— Dziwne, że tej fali nie napotkał żaden inny statek.

— Prawdopodobnie znaleźliśmy się w centrum tego zjawiska. Byliśmy już na wodach stosunkowo mało uczęszczanych. O kilka mil na północ czy południe ta fala mogła być zupełnie niegroźna. Mogła także niedługo potem rozpląnąć się całkowicie. Nie ma reguł, którymi wielka fala musi się kierować w swojej wędrówce przez ocean. Nagle powstaje, nagle ginie. Biada tylko temu, kto się znajdzie na jej drodze.

— Akurat was musiała spotkać?

— Nie ja rządę wyrokami opatrzości.

Członkowie kompletu orzekającego przystąpili następnie do zadawania pytań dotyczących sprawności silnika. Interesowali się terminem dokonania jego przeglądu technicznego, rodzaju paliwa, zapasów i jakością.

Kapitan Borgulis dawał wyczerpujące odpowiedzi. Przegląd techniczny wykonano w Hamburgu, kiedy to statek zmienił właściciela i załogę. Protokół stwierdzający całkowitą sprawność wszystkich urządzeń statku na szczęście został uratowany z katastrofy i przedłożony sądowi.

— Mieliście bardzo małą załogę — pełnomocnik „Lloyda” ciągle szukał dziury w całym.

— Statek był w pełni zautomatyzowany. Maszynownia miała obsadę zgodną z wymogami konstruktora. Także ich fachowość, a przede wszystkim fachowość pierwszego mechanika, nie budziła zastrzeżeń ani moich, ani armatora. Rzeczywiście, mieliśmy nieco mniej ludzi na pokładzie niż to przewidywała instrukcja, ale nie znaleźliśmy w Hamburgu odpowiedniego personelu. Fracht do Buenos Aires był terminowy. W Argentynie także nie udało się uzupełnić stanu osobowego załogi. Tym bardziej to było niemożliwe przy ujściu Amazonki, gdzie ładowaliśmy rudę. Luki, jakie istniały, wypełnialiśmy nadgodzinami. W ten sposób zawsze wszystkie urządzenia statku miały normalną obsługę. To są sprawy całkowicie normalne. Proszę mi pokazać jakikolwiek statek mający pełną obsadę załogi.

„Kuretake Maru”, kiedy przyплыł do Hamburga, miał jeszcze mniej ludzi niż potem, pod moim dowództwem.

— Pan już kiedyś dowodził tak wielką jednostką?

— Mam patent kapitana żeglugi wielkiej. Tam nie ma żadnych tonażowych ograniczeń. Mam dwadzieścia lat praktyki dowodzenia statkami.

— Ja zadałem konkretne pytanie i proszę o odpowiedź: tak lub nie.

— Uchylam to pytanie — zdecydował przewodniczący — odpis dyplomu kapitana Borgulisa znajduje się w aktach.

— A oryginał?

— Protestuję — sprzeciwił się adwokat — pytanie pełnomocnika „Lloyda” ma charakter wyraźnej prowokacji.

— Jeszcze raz zwracam uwagę — przewodniczący powiedział to ostrym tonem — żeby „Lloyd” zadawał tylko pytania rzeczowe, dotyczące przebiegu wypadków.

— Chciałbym wrócić do listy załogi. Dlaczego nie ma jej w aktach?

— Takiej specjalnej listy w ogóle na statku nie było. Istniały dwie osobne listy płacy załogi. Jedna, personelu oficerskiego, druga, pozostałej części załogi. Te listy miał pierwszy oficer, który pełnił rolę płatnika. O ile wiem, zostały one na statku. Ja natomiast miałem dokumenty moich ludzi. Paszporty i książeczki marynarskie. Jeszcze na łodzi ratunkowej, kiedy płynęliśmy do wyspy Mauritius, rozdałem je ludziom.

— Dlaczego?

— Chociażby dlatego, żeby mogli się wylegitymować władzom portowym.

— Trzeba było wtedy sporządzić listę załogi.

— A po co? Przecież taką listę ma kapitanat portu na Mauritiusie. Jeżeli to „Lloyda” tak obchodzi, proszę się do nich zwrócić.

Po kilku godzinach odpowiadania na różne podchwytliwe pytania i udzielania wyczerpujących odpowiedzi zarówno w sprawach technicznych, jak i wyjaśniania przebiegu akcji ratowniczej, kapitan

Borgulis aż się ślaniał na nogach i zużył przynajmniej pół tuzina chusteczek dla wycierania potu z czoła. Wreszcie przewodniczący kompletu orzekającego Izby Morskiej wypowiedział sakramentalną formułkę:

— Czy są jeszcze jakieś pytania? Stwierdzam, że nie ma. Dziękuję kapitanowi za wyczerpujące wyjaśnienia. Przystąpimy teraz do wysłuchania pozostałych członków personelu oficerskiego „Kuretake Maru”.

Przed kompletem orzekającym stanął pierwszy mechanik. Stwierdził, że jest z wykształcenia inżynierem mechanikiem. Skończył wydział budowy statków na politechnice w Atenach i szkołę morską w Pireusie. Pływa od osiemnastu lat na stanowiskach najpierw drugiego, później pierwszego mechanika. Pływał także na tankowcach o wyporności ponad dwieście tysięcy BRT.

— Proszę opowiedzieć nam o silniku „Kuretake Maru” i przyczynach awarii.

— Statek wyposażony był w silnik konstrukcji japońskiej. Tak zresztą jak i pozostałe urządzenia. Statek wykonany został w jednej z japońskich stocznii. Tego typu masowce są tam produkowane seryjnie po dziś dzień, z niewielkimi i mało znaczącymi ulepszeniami. Silnik główny wykonany został na licencji znanej firmy duńskiej „Burgermeister”. Był to silnik, oczywiście na ropę, pięciocylindrowy, rzędowy, przystosowany do pracy w różnych warunkach atmosferycznych i na różne rodzaje ropy. Zaopatrzony był w urządzenia odsiarczające paliwo. Silnik przeszedł przegląd techniczny w Hamburgu. Nie stwierdzono wtedy żadnych uszkodzeń ani odchyłeń od normy.

— Dlaczego więc silnik pracował źle i w końcu w ogóle odmówił posłuszeństwa?

— Sądzę — opowiedział inżynier — że nastąpiło zjawisko zmęczenia metalu. Najpierw musieliśmy zatrzymać jeden z cylindrów, bo popękały pierścienie uszczelniające. Z kolei nastąpiło wybite panewek w następnym. Przy pracy na trzy cylindry wystąpiły

odkształcenia wału korbowego. W końcu szliśmy na jednym cylindrze, aby utrzymać sterowność statku i poruszać się naprzód.

— Czyli cała maszyna po prostu nagle się rozsypała? — zakpił przedstawiciel „Lloyda”.

— Nie. To były tylko uszkodzenia. Nawet nie tak poważne. Gdyby istniała możliwość zastopowania silnika i jego rozebrania, to większość tych niedomogów usunęlibyśmy we własnym zakresie. Sądzę, że tydzień postoju na wyspie Mauritius, otrzymanie części zamiennych i dokładny przegląd całego silnika, wystarczyłyby do dalszego spokojnego kontynuowania rejsu. Niestety, los zrzucił inaczej.

— Mielicie zapas paliwa?

— Tak. Statek był przystosowany do dalekich rejsów bez zawijania do portu. Dopłynęlibyśmy bez żadnych trudności do Singapuru, gdzie mieliśmy zamówiony transport ropy.

— Dlaczego wybrano dłuższą drogę wokół Afryki, zamiast przez przylądek Horn?

— Tamta droga jest ze względów atmosferycznych bardziej niebezpieczna niż dookoła Przylądka Dobrej Nadziei. Poza tym, tam tylko na Hawajach można się zaopatrzyć w paliwo nie zbaczając z kursu. Dlatego też kapitan po naradzie z nami wybrał dłuższy, lecz bardziej bezpieczny kurs.

Zeznania obu oficerów: pierwszego i drugiego nie wniosły niczego nowego do sprawy. Obaj potwierdzili nienaganne zachowanie się kapitana w czasie katastrofy i troskę o załogę, jaką później wykazał armator czy też jego podnajemca.

Następnego dnia po rozprawie, komplet orzekający Izby Morskiej wydał postanowienie stwierdzające, że katastrofa i zatonięcie „Kuretake Maru” spowodowana była uszkodzeniem maszyny głównej, czego nie dało się przewidzieć, oraz zbiegiem niepomyślnych warunków atmosferycznych. Kapitanowi Borgulisowi udzielono napomnienia, że nie zabrał ze statku dziennika okrętowego, ale podkreślono w orzeczeniu, że postępowanie dowódcy statku w czasie awarii było bez zarzutu.

Rozdział XVI

Na tropach oszustwa

Orzeczenie Izby Morskiej w Monroviu stwierdzające, że zatonięcie „Kuretake Maru” nastąpiło na skutek przyczyn niezależnych od armatora i załogi, było automatycznie wyrokiem skazującym „Lloyd's Brokers Association” i związane z nim towarzystwa reasekuracyjne na zapłacenie ogromnej kwoty sześćdziesięciu ośmiu milionów dolarów. W londyńskiej dyrekcji „Lloyda” zapanował popłoch.

Cała sprawa wyglądała dość podejrzanie. Nieznany zupełnie armator nagle kupuje wielki masowiec. Nieznane firmy handlowe operują dziesiątkami milionów dolarów zakupując i sprzedając rudę wolframową, która w ogóle nie jest przedmiotem transakcji rynkowych. To musiało obudzić czujność ubezpieczeniowców, zwłaszcza że na widowni pojawił się ten sam kapitan, pod którego dowództwem statki toną jak na rozkaz. I zawsze są to jednostki stare, wysoko ubezpieczone.

Od strony formalnej wszystko wydawało się prawidłowe, nie było najmniejszego punktu zaczepienia i „Lloyd” szykował się do wypłacenia odszkodowania, jak tylko wpłynie odpowiedni wniosek od armatora i od firmy, której własnością była ruda wolframowa zakupiona od Brazylijczyków. Przedstawiciele towarzystwa ubezpieczeniowego

przeprowadzili dyskretne śledztwo w Brazylii. Podejrzewano bowiem, że na „Kuretake Maru” załadowano zwykłą ziemię i to nie w ilości podanej we frachcie przewozowym. Przepytywano pracowników kopalni i tych, którzy ładowali rudę na barki. Zeznali oni, że załadowano czternaście barek. Ponieważ miały one około pięciu tysięcy ton pojemności, ilość rudy zgadzała się.

W porcie przy ujściu Amazonki, na nadbrzeżu pozostało sporo tej rudy. Nikt tam nadbrzeża nie sprzątał. Miały to załatwić jesienne deszcze. Pobrano próbki tej czerwono-brunatnej rudy. Analizy dokonane na zlecenie „Lloyda” stwierdziły ponad wszelką wątpliwość, że jest to ruda żelaza z domieszką wolframu. Taka sama, jaką kopalnie dostarczają amerykańskim zakładom flotacyjnym. A więc nie było żadnego oszustwa przynajmniej z tej strony.

Toteż depeszę z Kapsztadu i później przyjazd do Londynu byłego członka załogi „Kuretake Maru” przyjęto w dyrekcji „Lloyda” jak cud przychodzący w samą porę.

Kiedy Mudżibar Sattar trochę odpoczął po męczącej, jak na człowieka ze złamaną nogą podróży, rozpoczęto szczegółowe przesłuchiwanie marynarza. Nie było to proste, bo w Bangladeszu istnieje wiele narzeczy bardzo się od siebie różniących. Wynajęty przez „Lloyda” tłumacz często nie rozumiał, co do niego mówi jego rodak. Czasami dopiero język angielski był ratunkiem umożliwiającym porozumienie.

Obywatel Bangladeszu opowiadał, że pływał już kiedyś z kapitanem Borgulisem. Ostatnio zaokrętował się na tankowiec z ropą z Kuwejtu na Sycylię. W Katanii otrzymał wiadomość od swojego byłego szefa, żeby zszedł z tankowca i przyjechał do Pireusu. Zapewniano mu zwrot kosztów przejazdu i dalszy dobry zarobek.

W Pireusie czekał na niego Borgulis. Powiedział, że obejmuje dowództwo wielkiego masowca, który będzie wiózł specjalny ładunek, na czym wszyscy w ciągu kilku miesięcy zarobią więcej, niżby mogli przez wiele lat. Żadnych szczegółów Grek nie ujawnił. Przeciwnie, podkreślił, że głównym warunkiem dobrego zarobku jest

trzymanie języka za zębami.

W ciągu dwóch tygodni w Pireusie zebrała się cała załoga przyszłego rejsu. Dobierał ją osobiście albo kapitan Borgulis, albo inny kapitan noszący nazwisko Litakis. Mudżibar Sattar nie pamiętał nazwisk pozostałych członków załogi, gdyż używali oni pseudonimów, ale byli to ludzie różnych narodowości i różnych ras. Od początku wypłacano im uposażenie, jak gdyby pełnili służbę na statku. Pewnego dnia kapitan Borgulis przyjechał do hotelu, gdzie byli zakwaterowani i kazał im się spakować. Zawieziono ich do samolotu. Nie wiedzieli, dokąd lecą, dopóki nie wylądowali w Hamburgu. Tam od razu weszli na „Kuretake Maru”, który został przekazany przez japońskiego kapitana Borgulisowi i nowej załodze.

Po zapoznaniu się ze statkiem i po załadowaniu wyrobów stalowych, głównie szyn kolejowych, statek popłynął do Argentyny. Załodze wyjaśniono, że z Buenos Aires pójdą do ujścia Amazonki, gdzie wezmą rudę dla Japonii. Obiecywano po skończonym rejsie wysoką premię. Niespodziewanie, dopływając do brzegów Afryki, kapitan rozkazał zmienić kurs na Kapsztad. Do portu weszli w nocy. Władze portowe zawiadomiły, że w Kapsztadzie wybuchła epidemia żółtej febry i załoga musi być poddana kwarantannie w miasteczku Hermanus. Kiedy wszyscy szykowali się do opuszczenia statku, zdarzył się ten pechowy wypadek. Mudżibar pośliznął się na wilgotnym trapie i złamał nogę.

Te zeznania zajęły choremu kilka godzin. Spisywano protokół przesłuchania najpierw w języku używanym w tej części Bangladeszu, z której pochodził marynarz. Następnie przetłumaczono to na angielski i oficjalnie uwierzytelniono. Obie wersje protokołów Mudżibar Sattar musiał podpisać. Przesłuchiwany i tłumacz byli tak zmęczeni, że na ich wspólne żądanie przerwano te czynności.

Znowu posłano do Kapsztadu, do przedstawiciela „Lloyda”, telefonogram. W odpowiedzi agent wyjaśniał, że od wielu lat w całej

Republice Południowej Afryki nie było ani jednego wypadku żółtej febry. Nigdy też nie stosowano kwarantanny wobec załóg jakichkolwiek statków. Natomiast pod Kapsztadem w miasteczku Hermanus rzeczywiście w tym samym czasie, kiedy Mudżibar leżał w szpitalu, przebywali jacyś cudzoziemcy. Wynajęto dla nich jedną całą willę. Czy byli to marynarze i czy stanowili załogę „Kuretake Maru”, tego nie udało się stwierdzić.

Z kolei Mudżibar przedstawił szczegółowo swój pobyt w szpitalu i opisał dokładnie budynek, w którym leżał, oraz opiekujący się nim personel lekarski i pielęgniarski. Te fragmenty zeznań także były konfrontowane i potwierdziły prawdziwość słów marynarza.

— Kiedy po raz pierwszy pozwolono mi wstać z łóżka — opowiadał obywatel Bangladeszu — podszedłem do okna, żeby stwierdzić, gdzie się znajduję. Przywieziono mnie bowiem w nocy, wijącego się z bólu. Przez okno zobaczyłem mój statek „Kuretake Maru”. Byłem zdziwiony, że z jego ładowni dźwigi wybierają rudę, którą przenoszą na nadbrzeże. Przecież mówiono nam, że wieziemy ten ładunek do Japonii.

— Czy to był na pewno „Kuretake Maru”? — zapytał przesłuchujący.

— Na pewno. Kiedy płynęliśmy do Argentyny, zabrakło czarnej farby i pomalowaliśmy kotwice na czerwono. Tak to już zostało. W Buenos Aires uzupełniono zapasy farby, ale wszystkim te czerwone kotwice bardzo się podobały i w drodze znad Amazonki znowu je pomalowano tą samą farbą.

Rzeczywiście na zdjęciach statek miał kotwice pomalowane na czerwono. Telefonogram do przedstawiciela „Lloyda” w stolicy Argentyny to potwierdził. Znaleźli się świadkowie, którzy sobie przypominali ten charakterystyczny szczegół statku o japońskiej nazwie, gdy przywiózł ładunek szyn kolejowych.

Także fakt pobytu Mudżibara Sattara w Kapsztadzie nie mógł

być kwestionowany. Posiadał on bowiem oficjalny dokument — wypis ze szpitala, gdzie wyraźnie zaznaczono datę przyjęcia i opuszczenia przez chorego tej lecznicy oraz wyliczono stosowane zabiegi. Poza tym istniały trzy zdjęcia przedstawiające marynarza w otoczeniu personelu pielęgniarskiego na tle gmachu szpitalnego.

— Widząc przez okno „Kuretake Maru” — kontynuował swoją opowieść Mudżibar Sattar — postanowiłem zrobić jego zdjęcie. Miałem w zapasie sporo klisz, więc z nudów fotografowałem bardzo dużo. Codziennie także pstrykałem widok na port.

Te zdjęcia stanowiły szczególnie cenny dokument dla „Lloyda”. Pokazywały one, jak na nadbrzeżu ciągle rosła hałda rudy, zaś sam statek w miarę ubywania tonażu załadunku, stawał się coraz wyższy. Na fotografiach można było dostrzec także wagony albo już pełne rudy, albo w trakcie ich napełniania. Cała seria zdjęć stanowiła niepodważalny dokument, że ruda wolframowa została wyładowana z „Kuretake Maru” w Kapsztadzie. Nie mogła więc znajdować się w ładowniach statku, w, momencie jego zatonięcia.

Co tam było? Inne zdjęcia wykonane przez marynarza pokazywały to bardzo wyraźnie. Na tych pierwszych, statek cumował przy nadbrzeżu, na jego czarnym tle wyraźnie odcinała się hałda czerwonobrazowej rudy. Na prawo od niej znajdowała się inna hałda koloru ciemnożółtego. Na innych fotografiach widać, że „Kuretake Maru” zmienił swoje położenie. Teraz stał na prawo od ciemnego kopca, a przy tym jaśniejszym. Na jednym ze zdjęć utrwalony był nawet moment, jak z łyżki wielkiego dźwigu sypie się do luku statku żółtawa ziemia.

Następne zdjęcia przedstawiały statek ciągle znajdujący się w porcie. Ale obie hałdy były coraz mniejsze. Z jednej z nich wagony nadal zabierały rudę. Druga nikła we wnętrzu „Kuretake Maru”. Wreszcie ostatnie odbitki ukazywały panoramę portu, ale już bez wielkiego masowca.

Przedstawiciel „Lloyda” w Kapsztadzie otrzymał polecenie sprawdzenia, czy statek bandery libijskiej wpłynął do portu. Takich informacji nie udało się jednak uzyskać. W kapitanacie twierdzono, że „Kuretake Maru” nigdy nie gościł w Kapsztadzie. Natomiast w kwestionowanym terminie, znajdował się tam statek bandery japońskiej „Sakura Maru”, który rzeczywiście przywiózł rudę żelaza z Namibii. Kapitanatowi portu nic nie wiadomo o rudzie wolframowej, rzekomo wyładowywanej przy jednym z nadbrzeży. W ogóle przedstawiciele kapitanatu przy udzielaniu tych informacji nie byli zbyt skłonni do dłuższych rozmów.

Sprawdzenie w rejestrach „Lloyda”, że istotnie po morzach pływa statek o nazwie „Sakura Maru” nie było żadnym problemem. Japoński armator także nie krył, że jego masowiec zabrał ładunek pszenicy z Australii do Durbanu. Stamtąd „Sakura Maru” popłynął do Namibii, gdzie przyjął do swoich luk dwadzieścia tysięcy ton rudy żelaznej, którą wyładował w Kapsztadzie, skąd pod balastem udał się z powrotem do Durbanu i obecnie płynie do Japonii z sześćdziesięcioma tysiącami ton afrykańskiego węgla. Wkrótce zawinie do portu w Jokohamie.

Data podana przez armatora opuszczenia przez „Sakura Maru” portu w Kapsztadzie zgadzała się z datą wypadku Mudżibara Sattara. Natomiast kapitanat portu twierdził, że japoński masowiec wypłynął z Kapsztadu właśnie w dniu, kiedy przebywający w szpitalu marynarz nie znalazł swojego statku przy nadbrzeżu.

Na prośbę „Lloyda”, „Tadaschi Shiping Company” porozumiał się z kapitanem swojego statku i wyjaśnił, że nigdy kotwice „Sakura Maru” nie były pomalowane czerwoną farbą. Sprawdzenie w rejestrach wykazało, że oba statki zbudowane były w jednej ze stocznii w Japonii i należały do tej samej serii. Jedyne różnice, „Sakura Maru” powstał w sześć lat później od swojego brata. Ani sylwetką, ani urządzeniami technicznymi, czy też pojemnością obie jednostki nie różniły się w najmniejszych szczegółach. Obie też zazwyczaj pływały

na liniach australijskich, chociaż należały do różnych japońskich przedsiębiorstw nawigacyjnych.

Wyprowadzenie z tych wszystkich faktów logicznego wniosku było zupełnie łatwe. „Sakura Maru” bez wiedzy armatora i załogi po prostu maskował wejście do Kapsztadu siostrzanej jednostki, która tam wyładowała rudę wolframową przeznaczoną dla japońskich odbiorców „Sanei Metal Thermal Engineering Company”. Na tę bowiem firmę wystawiona była przez władze brazylijskie licencja wywozowa.

Energicznym i sprytnym przedstawicielem „Lloyd's Brokers Association” w Południowej Afryce udało się zdobyć ciekawy dowód. Dzienniki wychodzące w Durbanie informowały, że w porcie stoi „Sakura Maru”. W tym samym czasie dzienniki kapsztadzkie, które również prowadziły rubrykę „Z życia portu”, niezmiennie powtarzały, że ten sam „Sakura Maru” ciągle wyładowuje rudę z Namibii. Bardzo często bywa w życiu, że „nie wie prawica, co robi lewica”.

Klische i fotografie wykonane przez Mudżibara Sattara przekazane zostały do Instytutu Naukowego Metaloznawstwa dla przeprowadzenia badań. Specjaliści orzekli, że nie ma możliwości dokonania analizy spektralnej nie rozporządzając próbkami kwestionowanego materiału. Nie można więc ściśle ustalić składu chemicznego badanej rzeczy. Jednakże porównawcze zdjęcia, kolory występujące na fotografiach, pozwalają z całą pewnością twierdzić, że widoczna na fotografii hałda o kolorze czerwono-brunatnym jest rudą o dużej zawartości żelaza. Czy jest tam także i wolfram względnie wolframit, tego już orzec nie można. Niemniej jednak rudy wolframowe z Brazylii wykazują na zdjęciach kontrolnych identyczne cechy, co na badanych fotografiach.

Co do drugiego materiału, Instytut Naukowy orzekł, że jest to najprawdopodobniej tak zwany żelazisty piasek, czyli ruda żelazna o małej zawartości metalu. Takie piaski żelaziste występują najczęściej na obszarach pustynnych.

Spotyka się je zresztą we wszystkich częściach świata. Istnieją metody wzbogacenia tej rudy. Stosowane są w krajach, które nie mają lepszych zasobów żelaza, a nie chcą importować wysokowartościowych rud z zewnątrz.

Piaski żelaziste występują między innymi w wielu rejonach Namibii. Nie były jednak dotychczas eksploatowane ze względu na to, że Republika Południowej Afryki rozporządza ogromnymi zasobami rudy, gdzie zawartość czystego metalu sięga do osiemdziesięciu procent. W piaskach żelazistych nie przekracza on połowy tej ilości.

Po zebraniu tych materiałów dowodowych, członkowie dyrekcji „Lloyda” odetchnęli z ulgą. Towarzystwu nie groziło wypłacenie wielomilionowych odszkodowań. Teraz należało przystąpić do drugiej części akcji, przykładowo ukarania bandy bezczelnych oszustów. Zdecydowano, żeby sprawę skierować do organów sprawiedliwości. Niech się nią zajmie Scotland Yard, Interpol i Sądy Jej Królewskiej Mości.

Rozdział XVII

Alarm ze Stambułu

Trzej rzutni handlowcy, panowie Frederick Gabon, Arnond Fock i Anton Miller, z wielkim zadowoleniem przyjęli orzeczenie Izby Morskiej w Monrovi. Wszystko przebiegło jak najpomyślniej i według z góry założonego planu. Kapitan Borgulis rzeczywiście okazał się znakomitym fachowcem w swoim rodzaju. W porównaniu z wielomilionowymi zyskami, które wspólnicy widzieli już we własnej kieszeni, koszta całej imprezy były po prostu minimalne. Pan Gabon nawet uważał za objaw małostkowości fakt, że Anton Miller kazał zwrócić sobie te drobne wydatki. Libijczyk uczynił to bardzo niechętnie i z wielodniowym ociąganiem.

Toteż niemile zaskoczyły ich telegramy, które dotarły do Zurychu, Londynu i Rotterdamu. Były identyczne w treści. „Ciężka choroba. Przyjeżdżać natychmiast”. Nadawcą tego alarmu był Hans Zimmerman ze Stambułu. Ten człowiek cieszył się takim autorytetem, że trzech gentelmani porzucili sprawy bieżące i natychmiast, najbliższymi środkami lokomocji, pognali do miasta nad Złotym Rogiem.

Tak zawsze gościnny gospodarz nie zaprosił ich tym razem do swojej willi na Prinkipo, jednej z Wysp Książęcych. Kiedy trzech panowie zebrali się w jego biurze w Stambule przy Alei Attaturka, nie

przemawiał, a po prostu krzyczał na poważnych biznesmenów jak na małe dzieci.

— Jesteście bandą głupich, chciwych durni. Bardzo żałuję, że wam pomagałem. Wolałbym się wyrzec tych paru groszy, które wtedy zarobiłem.

— Ładne parę groszy — mruknął Frederick Gabon — przeszło sto pięćdziesiąt tysięcy bez ruszenia palcem.

— Za to ruszałem i ruszam głową, żeby was wyciągnąć z tego szamba, w które sami wleźliście. Żeby nie moje stosunki, jutro, najdalej pojutrze wszyscy trzej siedzielibyście w więzieniu, z którego wyszlibyście najwcześniej po kilku latach.

— Co się stało? — zaniepokoił się Armond Fock.

— Tłumaczyłem wam wiele razy — denerwował się Zimmerman — że statek należało przed załadowaniem rudy skreślić z rejestru „Lloyda”, jako przeznaczony na żyłетки. Wolfram trzeba było przewieźć bez żadnego ubezpieczenia. Wyładować go w Kapsztadzie, Japończyków zawiadomić, że transakcja wobec sprzeciwu Amerykanów nie dochodzi do skutku. Kontrakt z nimi nie przewidywał żadnych kar wadialnych. Przeciwnie, jest tam napisane wyraźnie, czarno na białym, że jeśli ruda nie zostanie dostarczona w ciągu trzech, jak sobie przypominam, miesięcy, umowa automatycznie ulega rozwiązaniu. Z Kapsztadu trzeba było „Kuretake Maru” wyprowadzić na głęboką wodę i po cichu zatopić. Pies z kulawą nogą o niczym by nie wiedział i nikogo to by nie obchodziło. Każdy z was zarobił po milionie dolarów, albo i więcej.

— Ja nie — zaprotestował Gabon — cały mój zarobek, to tylko tenuta za wydzierżawienie statku panu Millerowi. A jakie poniosłem przy tym wydatki!

— Czy mam panu przypomnieć — sucho odpowiedział Zimmerman — ile pan dostał prowizji, a właściwie nie ujawnionego w kontrakcie sconta od Japończyków przy kupnie tego starego grata? Mogę podać dokładną sumę.

Libańczyk zamilkł, zaś gospodarz ciągnął podniesionym głosem.

— Zarobiliście każdy najmniej po milionie. Ale tego było wam za mało. Postanowiliście wykiwać towarzystwa ubezpieczeniowe i zagarnąć odszkodowanie za rudę, której na statku już nie było i za to stare pudło, ubezpieczone dwukrotnie wyżej niż było warte. Przestrzegałem was przed tak niedorzeczną aferą. Powiedziałem, że do tego nie przyłożę ręki. Wyście się wtedy cieszyli, że jeden odpadł od podziału pieniędzy. Rzeczywiście odpadł, ale od siedzenia w więzieniu w waszym miłym towarzystwie.

— Co się stało? Mów wreszcie — Anton Miller, który dotychczas nie przejmował się słowami przyjaciela, okazał zaniepokojenie.

— Czy myślicie, że w towarzystwach ubezpieczeniowych siedzą dzieci, które bawią się rozkładaniem pieniędzy na różne kupki? „Lloyd's Brokers Association” zęby zjadł na takich jak wasza aferach. Mądrzejsi od was nie potrafili go wykiwać.

— Przecież mamy orzeczenie Izby Morskiej w Monrovi — bronił się Libańczyk.

— Dużo ono warte. Może pan tym orzeczeniem sobie... „Lloyd” natomiast dysponuje kolorowymi zdjęciami przedstawiającymi „Kuretake Maru” w Kapsztadzie, jak wyładowuje rudę wolframową, a następnie ładuje porcję piachu do swoich luków.

— Niemożliwe! — zachnął się Frederick Gabon.

— Skąd te zdjęcia? — zapytał Miller.

— Ni mniej, ni więcej, tylko wykonane zostały przez jednego z członków załogi „Kuretake Maru”, Mudżibara Sattara.

— Takiego na statku nie było — zaprotestował Miller — to jakaś mistyfikacja. Wszystkim tym ludziom wypłaciłem pieniądze i dałem im bilety lotnicze. Mam ich pokwitowania.

— Na tym właśnie polega dowcip — wyjaśniał Zimmerman — że tego faceta z Bangladeszu nie było na statku w momencie, kiedy go kapitan Borgulis zatapiał z pomocą swojej zbieraniny. Ten marynarz

jeszcze przed tym, w Kapsztadzie złamał nogę i leżał w szpitalu. A że miał przy sobie aparat fotograficzny, pstrykał sobie zdjęcia „Kuretake Mara” jak wyładowuje rudę, a potem ładuje piach. Teraz mu „Lloyd” dobrze za te fotki zapłacił. Warte są one dla towarzystwa sześćdziesiąt osiem milionów dolarów, a dla was po pięć lat więzienia.

— Borgulis nic nie wspominał o jakimkolwiek wypadku.

— Pytałem o to kapitana — odpowiedział Zimmerman. — Taki wypadek zdarzył się wtedy, kiedy statek dobił do nadbrzeża w Kapsztadzie. Marynarza zabrano do szpitala.

— A potem Borgulis zapomniał o tym albo, sam wszedł w zmwowę z marynarzem i z „Lloydem”. Ten człowiek szybko umrze — Libańczykowi twarz wykrzywiła się z wściekłości. — Zapewniam was!

— Borgulis o niczym nie zapomniał. Kiedy zatelefonował do szpitala, poinformowano go, że Mudżibar Sattar nie żyje. Kapitan ma świadków tej rozmowy. Załoga podzieliła się rzeczami kolegi i piła zdrowie nieboszczyka.

— Jak ci ze szpitala mogli tak powiedzieć?

— Nie wiem. Nie miałem czasu, i szkoda mi było pieniędzy, żeby to zbadać. Uważam to za niepotrzebne. W niczym nie zmienia waszej podłej sytuacji. Faktem jest, że ten chory marynarz po wyjściu ze szpitala nie miał nic lepszego do roboty, jak pójść do przedstawiciela „Lloyda”, żeby zażądać jakiejś pomocy. Agent od razu zorientował się, jaki to skarb zesłały mu niebiosy. Faceta ciupasem przewieziono do Londynu, gdzie dyrekcji „Lloyda” wyśpiewał wszystko, co mu było wiadomo i oddał im kolekcję pięknych kolorowych zdjęć.

— Pewnie drań wziął za to tylko kilka nędznych funtów.

— Sądzę — uśmiechnął się Hans Zimmerman — że ten przybysz z Bangladeszu zarobi jednak więcej niż inni jego koledzy z „Kuretake Maru”. I to dużo więcej. „Lloyd's Brokers Association” umie być szczodra wtedy, kiedy tą hojnością oszczędza sobie sześćdziesiąt osiem milionów dolarów.

— Skąd pan to wszystko wie? — Frederick Gabon nie wyżył się podejrzliwością.

— Z zupełnie pewnego źródła za sumkę dziesięciu tysięcy dolarów, które mi panowie solidarnie zaraz zwrócicie.

— Z jakiego powodu?

— Po prostu, żeby nie zapoznawać się z angielskim więzieniem, panie Gabon. Proszę — tu Zimmerman wyciągnął jedną z szuflad biurka i na blat wyrzucił plik kolorowych pocztówek — pieniądze biorę za informacje, a te zdjęcia dodaję wam gratis.

Trzej panowie pochylili się nad barwnymi fotografiami. Nie było żadnych wątpliwości, ukazywały one statek wyładowujący rudę i przyjmujący do swoich ładowni piasek. Każde z takich zdjęć w rękach sądu, to ładny wyrok dla organizatorów całej imprezy.

— Ten Borgulis, niech go... — zaklął Libańczyk.

— Co dalej robić? — martwił się Arnond Fock.

— Przede wszystkim zapłacić mi piętnaście tysięcy dolarów. Dziesięć to moje koszty własne. Pięć uczciwie zarobiłem. Mogą być czek, bo gotówki pewnie tyle przy sobie nie macie.

Biznesmeni bez słowa sprzeciwu sięgnęli po książeczki czekowe.

— A teraz powiem wam — Zimmerman uważnie przestudiował podane sobie kolorowe karteluszki papieru, czy zostały prawidłowo wypełnione, a następnie schował je do portfela — jak wybrnąć z tej całej kabały. I tak macie szczęście, że dowiedziałem się o wszystkim, zanim „Lloyd” przekazał sprawę Scotland Yardowi i zanim wystąpiliście z wnioskiem o odszkodowanie. W przeciwnym razie nic by was nie uratowało. A tak, mam nadzieję, że uda mi się was dwóch wykręcić od kryminału.

— Nas jest trzech — zaprotestował Fock.

— Tak. Ale na jednego z was trzeba zwalić całą winę. Na Millera i na kapitana Borgulisa. Innej rady nie ma.

— Dlaczego na mnie?

— Bo ty jesteś ostatnim ogniwiem w łańcuszku. Wydzierżawiłeś statek od pana Gabona i kupiłeś rudę od pana Focka. Potem razem z Borgulisem wykombinowaliście tę całą aferę ze spuszczeniem statku na dno oceanu.

— Przecież tak nie było — oburzył się Anton Miller — działaliśmy wszyscy solidarnie. To właśnie pan Gabon wpadł na pomysł z ubezpieczeniami.

— Ale tego żaden z was nie może powiedzieć w Scotland Yardzie, bo wtedy leżycie wszyscy trzej. Tymczasem zwalając winę na Millera i na Greka, Gabon i Fock wykręcają się z rąk sprawiedliwości. Zaś Miller i Borgulis po prostu tak znikną, żeby ani Anglicy, ani Interpol nie mogli ich znaleźć.

— Ładna perspektywa — westchnął Szwajcar.

— Z pieniędzmi nie najgorsza. Byle tylko nie we Francji, bo tamtejsza policja ma zbyt dobre kontakty z angielską.

Miller zrozumiał ukryte w słowach przyjaciela ostrzeżenie. Nawet niewinny kontakt ze Scotland Yardem groził w każdej chwili odgrzebanie marsylskiej afery.

— Jeśli trzeba — powiedział — wezmę całą winę na siebie.

— Dobrze, że to rozumiałeś — pochwalił Zimmerman — mam nadzieję, że firma „Züricher Import-Export” została zlikwidowana?

— Lokal jest opłacony do końca miesiąca, pracownicy otrzymali odprawę. W biurze zostały meble i dość wytarty dywan. Ani jednego papierka nigdzie nikt tam nie znajdzie. Podatki zapłacone i Szwajcarzy nie będą zbytnio węszyli. Im przecież chodzi tylko o to, żeby nie zalegać z opłatami.

— A twoje prywatne sprawy?

— Zostawiłem mieszkanie i wszystko co w nim jest.

— Dobrze. Z Paryża przyjdzie teleks do właściciela domu, że zwalniasz lokal i prosisz o przekazanie twojej garderoby dla biednych. Chyba nie masz w mieszkaniu niczego kompromitującego.

— Uchowaj Boże!

— To pięknie. Przynajmniej raz w życiu okazałeś się rozsądnym człowiekiem. Teraz pojedziesz sobie w podróż naokoło kuli ziemskiej. Są biura organizujące tego rodzaju eskapady. Akurat odpowiednie dla starszego pana, rentiera, który całe życie ciułał pieniądze, żeby choć na starość zobaczyć trochę świata.

— Zlituj się — jęknął Anton Miller — przecież od kilku miesięcy nic nie robię tylko latam jak kot z pęcherzem. Południowa Afryka, Stambuł, Japonia, Brazylia, Mauritius, Zurych, znowu Stambuł.

— Tym lepiej. Już się przyzwyczaiłeś do podróży, byłoby nawet niezdrowo zmieniać tryb życia. Poczyliłem pewne kroki i najdalej za kilka dni będziesz szczęśliwym globtroterem. Pierwszy etap Irak. Stara kultura Sumerów, Babilon, „miasto krwi i łez” czyli Niniwa. Później Persepolis i dla odpoczynku po starożytnościach Teheran z jego fanatycznymi szyitami. Dalej Indie, Tadż Mahal, Czerwony Fort w Delhi, a stamtąd skok do wiecznie zielonego ogrodu, jakim jest Cejlon czyli Sri Lanka — Zimmerman z całą powagą wyliczał wszystkie cuda świata — trochę ci zazdroszczę tej pięknej wycieczki.

— To jedź za mnie.

— Nie muszę, nie popełniałem głupstw. Przeciwnie, ostrzegałem przed nimi. Dobrze mi tak. Za to teraz bawię się w straż pożarną.

— Mam nadzieję, że kapitan Borgulis nie będzie mi towarzyszył w tej wycieczce. Wolę innego towarzysza podróży. Innej narodowości i innej płci.

— Nic z tych rzeczy. W podróż jedzie starszy pan, który jedynie może się oglądać za dziewczętami nic poza tym.

— A my? — zapytał Fock.

— Panowie o niczym nie wiedzą. Szczególnie pan Fock. Po prostu pańska firma sprzedała innemu przedsiębiorstwu rudę wolframową. Do pana w Rotterdamie zgłosił się pan Miller i wiedząc, co zresztą sama nazwa wskazuje, że „Fossils Trading Company” zajmuje

się kupnem i sprzedażą kamieni półszlachetnych i różnych innych kopalin z krajów Południowej Ameryki, prosił o umożliwienie mu zakupu rudy dla Japończyków. Pan wystarał się o tę rudę i sprzedał ją Szwajcarowi. Poza tym nic pana nie interesowało. Po transakcji nigdy pan już Millera nie widział. Należność przeszła przez banki. Skąd pochodziły pieniądze, pan tego nie wie. Miller wręczył panu kontrakt z Japończykami. Tego cały czas musi się pan trzymać.

— A mój pobyt nad Amazonką? Trudno go jednak będzie ukryć.

— Wprost przeciwnie, pan sam im o tym powie. Taka duża transakcja, więc pilnował pan, żeby i Brazylijczycy byli zadowoleni i kupujący dostał to, co zamówił.

— Na pewno wyniuchają, że moja firma nie jest zbyt wielka.

— To nie szkodzi. Małemu przedsiębiorstwu także może się trafić wielki, milionowy interes. Znał pan stosunki w Brazylii i dlatego właśnie zwrócono się do pańskiej małej firmy. Czy w księgach handlowych ta transakcja jest uwidoczniiona?

— Niezupełnie.

— Trzeba to jak najprędzej naprawić. Naturalnie ze wstecznymi datami. To także będzie argumentem na pańską obronę. Nic pan nie ukrywał. Transakcja była czysta jak łąza. Załadował pan rudę na masowiec i co się dalej działo, wie pan tyle, że „Kuretake Maru” zatonął koło wyspy Mauritius. To pana bardzo zdziwiło, bo statek wyglądał na bardzo solidny.

— Pocieszył mnie pan.

— Musi pan mieć dobrego adwokata. Siedzi pan w Rotterdamie i czeka na rozwój wypadków. A kiedy pana zaaresztują, adwokat podejmie starania najpierw o zwolnienie swego klienta, a później o umorzenie sprawy. Może nawet uda się postraszyć „Lloyda” ewentualnością procesu o niesłuszne oskarżenie.

— Sądzi pan, że mnie aresztują?

— Być może, że do tego dojdzie. Ale nie przypuszczam, żeby pana długo przetrzymywali, jeśli pan zastosuje taką taktykę, o jakiej mówiłem.

— A ja? — zapytał Libijczyk.

— Z panem jest gorzej. Będą się czepiali nabycia statku i tak wysokiego ubezpieczenia go. Trudno będzie wykazać, że nagle armator nie mający ani jednego statku kupuje wielki masowiec.

— Przecież kupiłem go za list kredytowy.

— Właśnie. Coś za dużo tych listów kredytowych w całej aferze.

— Przecież „Lloyd” już wie, że ruda wylądowała w Południowej Afryce, więc i pieniądze musiały pochodzić stamtąd — bronił się Gabon.

— Widzę jedno wyjście. Niech pan się zaraz jutro zgłosi do „Lloyda” i oskarży Antona Millera o oszustwo.

— Ładnie chcesz mnie urządzić.

— Ty już i tak jesteś spisany na straty. Ale dla pana Gabona to chyba jedyna droga do wymknięcia się spod klucza. Musi udawać, że nic nie wie o Mudżibarze Sattarze i jego zdjęciach. Pan Gabon pójdzie do naczelnego dyrektora „Lloyda” i złoży mu pismo z prośbą o dokładne zbadanie zatonięcia statku, gdyż podejrzewa pan oszukańczą znowę Millera i Borgulisa. Przy sobie będzie pan miał odpis pełnomocnictwa, jakiego pan udzielił Millerowi w tym samym dniu, w którym „Kuretake Maru” został kupiony.

— Nie rozumiem?

— To jasne. Zgłosił się do pana Anton Miller i zaproponował następujący interes: On ma kupca i ma towar. Towar, który trzeba bez większego rozgłosu przewieźć z Brazylii do Japonii. Tego transportu nie można powierzyć żadnemu znanemu armatorowi. Chce więc kupić jakiś statek. Ale miałby ogromne trudności z jego rejestracją i wszelkimi innymi formalnościami. Nie posiada bowiem uprawnień armatorskich. Chciałby, żeby „Liverpool Shipping Company” za pieniądze Millera zakupiła odpowiednią jednostkę. Oficjalnie

ten statek będzie własnością firmy, ale człowiek dający na jego zakup pieniądze, rozporządza generalnym pełnomocnictwem do sprzedaży statku, dysponowania nim i ewentualnego zainkasowania odszkodowania, gdyby masowiec uległ jakiejś awarii.

— Zaraz zapytają, ile ja na tym zarobiłem?

— Pokaże pan im umowę z Millerem na dzierżawę statku i dowody, że „Züricher Import-Export Gesellschaft” przełał na konto pańskiej firmy w „Credit Suisse” całą tenutę dzierżawną. Ponieważ jednak ma pan pewne podejrzenia, czy „Kuretake Maru” naprawdę zatonała na skutek przyczyn wymienionych w orzeczeniu Izby Morskiej w Monrovi jako uczciwy biznesmen przychodzi pan do „Lloyda”, żeby go ostrzec.

— Chciałbym — roześmiał się Fock — zobaczyć miny tych facetów z „Lloyda”.

— A mnie wcale nie do śmiechu — stwierdził Miller — coraz to więcej dokładacie na moje barki. Gdyby mnie złapali, z więzienia nie wyjdę.

— Twoja głowa, żebyś się nie dał nakryć. Sami leżliście w tę kabałę jak muchy w smołę.

— Obawiam się, że mogą mnie aresztować od razu na lotnisku w Londynie.

— Nie sądzę — Zimmerman uspokajał Gabona — Scotland Yard jest raczej ostrożny. A ponieważ nie złożył pan jeszcze wniosku o odszkodowanie, nie będą ryzykować takiego kroku. Ale na wszelki wypadek musi pan mieć przy sobie wszystkie dokumenty, o których wspomniałem oraz pismo do „Lloyda” ostrzegające przed możliwością oszustwa ze strony Millera. Do dyrekcji „Lloyda” uda się pan w towarzystwie swojego adwokata, który będzie referował aspekty prawne transakcji z „Züricher Import-Export Gesellschaft”.

— Ale ja nie mam tych dokumentów. Przecież nie wystawiałem pełnomocnictwa panu Millerowi. Mam tylko umowę na dzierżawę statku.

— Nie szkodzi. Zaraz pan pójdzie z jednym z moich ludzi do notariusza zaprzyjaźnionego ze mną i tam zostanie sporządzony tego rodzaju dokument z odpowiednią datą. Będzie to kosztowało trochę drożej niż normalne pełnomocnictwo, ale jak się robi podejrzone interesy trzeba za wsypę płacić.

— Ciągłe płacę i płacę — narzekał Gabon — w końcu dołożę do tego interesu.

— Czy ja pana namawiałem na zatopienie „Kuretake Maru”?

— Biorę winę na siebie. Zgoda. Ale z jakiej racji mam tylko ja pokrywać wydatki związane ze zniknięciem z horyzontu „Kuretake Maru” — upomniał się Miller.

— Bardzo słuszna uwaga. Półroczną podróż dookoła świata pana Millera pokryjecie wszyscy trzej. To zresztą nie jest specjalnie kosztowna impreza. Sądzę, że po piętnaście tysięcy dolarów na każdego wystarczy.

— Po co ta podróż? Można się doskonale ukryć i w Europie.

— Można — zgodził się Zimmerman — ale tylko wtedy, kiedy ustąpi pierwszy impet poszukiwań. Zanim Scotland Yard i Interpol stracą swoją energię w tym kierunku, trzeba będzie odczekać co najmniej sześć miesięcy. A najmniej podpadają oku sprawiedliwości bogaci starsi turyści, wędrujący pod kierunkiem przewodników po najrozmaitszych krajach świata. Są jak święte krowy, wszyscy o nich dbają, bo wszyscy kochają wpływy z turystyki.

Znowu Frederick Gabon musiał wyciągać książeczkę czekową. Robił to bardzo niechętnie. Pan Fock poszedł za jego przykładem. Oba чеки zabrał Zimmerman.

— Lepiej będzie, jeżeli ja te pieniądze podejmę, a Millerowi wypłacę gotówkę.

Po omówieniu bardziej szczegółowym całego planu, Armond Fock udał się prosto na lotnisko, żeby wrócić do Rotterdamu i tam oczekiwać na dalszy rozwój wydarzeń. Frederick Gabon wraz z Antonem Millerem oraz sekretarzem Zimmermana poszli do notariusza

dla sporządzenia odpowiedniego pełnomocnictwa. Po tej krótko trwającej formalności Libańczyk pojechał na lotnisko. Miał nadzieję, że złapie wolne miejsce w samolocie do Aten, skąd jest wiele dogodnych połączeń, aby się dostać do Anglii. Szwajcar zaś wrócił do przyjaciela i razem popłynęli na Wyspy Książęce.

— Posiedzisz u mnie ze cztery, pięć dni — zdecydował Zimmerman — trzeba cię przyszykować do wielkiej podróży.

— W jakiej roli każesz mi wystąpić?

— Chyba Anglika? Władasz angielskim jak ktoś urodzony w Putney.

— A zawód?

— Oczywiście emeryt. Najlepiej spensjonowany wojskowy. To by tłumaczyło twoją postawę i jak na wiek energiczny sposób poruszania się i chodzenia. A poza tym wojskowi są na ogół małowówni, nikt więc nie będzie cię specjalnie ciągnął za język. Hobby, oglądanie zabytków kultury starożytnej i kupowanie wszelkich barwnych albumów na ten temat.

— Nie każ mi tylko nosić monokla w oku.

— To raczej była cecha pruskich junkrów z epoki pierwszej wojny światowej, więc się nie obawiaj.

— W Stambule jest jakieś biuro, które organizuje takie imprezy?

— Na pewno jest. Ale nie skorzystamy z jego usług. Polecisz do Bagdadu i tam zostaniesz klientem jakiegokolwiek przedsiębiorstwa organizującego wycieczki po starożytnościach tego kraju. W Bagdadzie aż się roi od takich biur. Z Teheranu raczej zrezygnujemy. Weźmiesz kurs na Indie. Tak będziesz wędrował od kraju do kraju. Stany Zjednoczone pominiesz, za to powłóczyś się po Meksyku. A nie zapomnij dokładnie zwiedzić Indonezji. Pół roku przeleci jakby z bicza strzełił. Potem przyjedziesz znowu do mnie i naradzimy się, co robić dalej. Mam nadzieję, że masz odpowiedni paszport angielski?

— Tak. W mojej kolekcji jest dokument na nazwisko Peter Atkins. Trochę trzeba go przystosować do mojej nowej roli, ale to się da zrobić. Na szczęście swoją kolekcję różnych dokumentów i stempli przezornie zabrałem ze sobą. Będę ją nawet musiał zdeponować u ciebie na czas podróży. Tak mi się chce jechać, jak psu orać.

— Nie było innego wyjścia. A co do twojego archiwum, będzie ono u mnie najzupełniej bezpieczne. Nie zapomnij z każdego nowego miejsca pobytu wysyłać pocztówek. Turyści to bardzo lubią. A musisz być typowym zwiedzaczem. Prospekty w rękę, aparat fotograficzny na szyi, mnóstwo możliwie najgłupszych pytań do przewodnika czy też pilota grupy.

— Od dziewczyn już mi się kazałeś trzymać z daleka. Ale chyba nie zabronisz mi kropelki czegoś mocniejszego.

— Emerytowany angielski wojskowy może sobie pozwolić na szklaneczkę sherry albo na whisky and soda. Ale pić należałoby z umiarem.

— Tu niedaleko, w Grecji, jest klasztor na górzystym półwyspie Athos. Może od razu bym tam pojechał?

— Nawet dobrze byś wyglądał z długą brodą, włosami zwisającymi aż na ramiona i w brązowym habicie — roześmiał się Zimmerman.

Przez cztery dni Anton Miller nie opuszczał gościnnego pałacyku na Prinkipo jednej z Wysp Książęcych. Jedyne wtajemniczony we wszystko sekretarz pana domu dokonywał odpowiednich przygotowań i zakupów.

Pewnego dnia znany w kołach towarzyskich i handlowych Stambułu pan Zimmerman w jednej z najwytworniejszych restauracji tego miasta podejmował kolację swojego starego przyjaciela, Petera Atkinsa, byłego angielskiego pułkownika. Obaj panowie nie widzieli się od lat. Dopiero teraz, pułkownik wybierający się w podróż dookoła świata, wstąpił na parę dni do Stambułu, aby odwiedzić starego druha. Na przyjęciu wydanym przez znanego z szerokiego gestu gospodarza, zebrał się niemal cały high life Stambułu.

Było tam dwóch ministrów, kilku wyższych wojskowych tureckich, co znaczniejsi przemysłowcy i handlowcy. Dyplomację reprezentował pierwszy sekretarz ambasady angielskiej i ambasador Wenezueli. Panie olśniewały paryskimi toaletami oraz cenną biżuterią.

Wszyscy byli zdania, że gość z Albionu jest wspaniałym typem angielskiego gentlemana. Pomimo dość poważnego wieku, zachował piękną, młodzieńczą postawę i żywe energiczne ruchy. Był też wielkim koneserem win i koniaków, a każdej z pań umiał powiedzieć coś miłego. Żałowano, że pułkownik nazajutrz opuszcza Stambuł.

Rozdział XVIII

Uderzenie w próżnię

Kiedy Frederick Gabon zatelefonował do siedziby „Lloyda” z prośbą o przyjęcie go przez naczelnego dyrektora, otrzymał odpowiedź, że szef wielkiego towarzystwa ubezpieczeniowego chętnie się z nim zobaczy nazajutrz o dziesiątej rano. Libańczyk bez żadnych trudności przeszedł na lotnisku przez kontrolę paszportową i celną, ale na wszelki wypadek nie pojechał ani do swojego mieszkania, ani do biura. Wolał do „Lloyda” zadzwonić z kawiarni.

Słowa sekretarki prezesa uspokoiły biznesmena. Miał czas do następnego dnia, nie groziło mu aresztowanie. Spokojnie więc udał się do domu przy Victoria Street, gdzie wynajmował elegancki apartament. Wypoczął po podróży, przebrał się i zamówił telefonicznie spotkanie z adwokatem, który już nieraz ratował Gabona z różnych finansowych i prawnych opresji.

Adwokat uważnie wysłuchał swojego klienta, zbadał dokumenty i orzekł, że plan ułożony przez Hansa Zimmermana jest jedyną możliwością uniknięcia niebezpieczeństwa.

— Trzymam zakład — śmiał się prawnik — że Scotland Yard jest o wszystkim zawiadomiony i któryś z jego inspektorów będzie jutro o dziesiątej siedział pod drzwiami prezesa „Lloyda”, żeby od

razu pana stamtąd sprzątać. Oczywiście, chętnie będę towarzyszył w tej rozmowie. Z góry cieszę się na miny tych panów. To będzie pyszna zabawa.

— Czy mnie jednak nie capną? — niepokoił się klient.

— Cóż znowu — uspokajał mecenas — jak można zaaresztować człowieka, który powodowany prawością i uczciwością, pragnie przeszkodzić wielomilionowemu oszustwu? A gdzie „Habeas Corpus”? Stara konstytucja angielska mówi, że nikt nie może być więziony bez udowodnienia mu winy.

Punktualnie o godzinie dziesiątej, dwóch na czarno ubranych gentlemanów zjawilo się w sekretariacie naczelnego dyrektora. Sekretarka obrzuciła ich spojrzeniem i poszła do gabinetu szefa, żeby zameldować przybycie Mister Fredericka Gabona i Mister Thomasa Greena, solicitora.

Dyrektor polecił niezwłocznie wprowadzić obu panów do gabinetu. Tutaj zastali dwóch innych mężczyzn. Dyrektor powstając zza biurka uprzejmie pozdrowił przybyszów i wyjaśnił, że ci dwaj panowie są również członkami dyrekcji „Lloyda”. Adwokat się uśmiechnął. Jednego z rzekomych urzędników już na milę można było rozpoznać jako funkcjonariusza policji. Można zmieniać kraje, barwy skóry i stroje, a pewien typ tajniaka zawsze zostaje taki sam. Na to, podobno, nie ma sposobu.

— Domyślam się — zagaił prezes — z czym panowie przychodzą. Chodzi o „Kuretake Maru” i jego zatonięcie koło wyspy Mauritius. Prawda?

— Tak jest, panie dyrektorze — potaknął Libijczyk.

— Doskonale. Mają panowie wniosek o wypłatę ubezpieczenia?

— Chciałbym — zabrał głos solicitor — w imieniu mojego klienta pana Fredericka Gabona, wręczyć panu pismo.

— Proszę.

Adwokat otworzył elegancką teczkę, którą dotychczas trzymał na kolanach, udał że w niej czegoś szuka i wyjąwszy kilka arkuszy zapisanego papieru, wręczył je naczelnemu dyrektorowi.

— Co to jest? — na twarzy szefa towarzystwa ubezpieczeniowego odbił się wyraz niesłuchanego zdumienia. — To nie wniosek o odszkodowanie?

— Nie, panie dyrektorze — odpowiedział Gabon — jako uczciwy obywatel, uważałem za swój święty obowiązek zgłosić się do panów i ostrzec ich przed perfidnym oszustwem, którego ofiarą mógłby paść „Lloyd”. Mój adwokat posiada wszelkie dokumenty uzasadniające moje obawy.

— Sądzę — solitor zrobił niewinną minę, że wystarczy, jeśli pan dyrektor zapozna się z oświadczeniem mojego klienta, a później ja z kolegami prawnikami z „Lloyda” omówimy kwestie prawne.

Dyrektor czytał obszernie pismo. Wyraz zdumienia, a później rozczarowania nie schodził z jego twarzy. Odłożył wreszcie podany mu dokument i zwracając się do przybyłych powiedział:

— Panowie pozwolą, że z tym pismem zapoznam moich kolegów.

— Oczywiście.

Pierwszy dosłownie rzucił się na pismo Gabona, ten z dwóch mężczyzn, którego przynależność do tajnej policji nie ulegała wątpliwości. W miarę jak czytał dokument, jego długa twarz stawała się jeszcze dłuższa. Drugi z rzekomych dyrektorów pobieżnie przejrzał oświadczenie. Prawdopodobnie jego jedynym zadaniem było odprowadzenie Libańczyka do aresztu. O bliskich związkach tych panów najlepiej świadczyło, że i garnitury mieli bardzo podobne.

Frederick Gabon ostentacyjnie spojrział na zegarek.

— Sądzę, panie dyrektorze, że po spełnieniu mojego obywatelskiego obowiązku mogę opuścić gmach „Lloyda”. Tak się złożyło, że dopiero wczoraj zatelefonowałem do was, bo nie było mnie w Anglii. Niestety, my armatorzy, musimy być prawie stale w podróży, żeby uczciwie zarobić na ten kawałek chleba. Zawsze jestem do dyspozycji pana dyrektora i jestem także rad, że mogłem „Lloydowi” oddać te drobną przysługę.

Obaj gentlemani wstali i uprzejmie się kłaniając opuścili gabinet. Już będąc w drzwiach solitor zwrócił się do rzekomych wicedyrektorów.

— Panów nieraz spotykam koło Scotland Yardu. Widocznie często załatwiacie tam interesy „Lloyda”?

— Co panowie powiedzą na ten numer? — zapytał dyrektor, kiedy interesanci opuścili pokój.

— Łotry, przeklęte łotry — inspektor Harry Hendon ze złości zgrzytał zębami. — Jeszcze sobie z nas kpili. A jakie miny stroił ten libański krętacz, kiedy deklamował o obywatelskim obowiązku i o uczciwym zarabianiu na kawałek chleba. Uczciwość i Gabon to dwa całkowicie przeciwstawne pojęcia. Ile to razy rozpoczynaliśmy śledztwo w sprawach tego krętacza!

— I co?

— Zawsze nam się drań wywijał. Miałem nadzieję, że nareszcie dzisiaj go przyskrzynię.

— I co pan inspektor zamierza?

— Gabona nie mogę ruszyć. Pozostaje nam jeszcze dwóch ptaszków. Wysłałem teleks do Zurychu. Jutro z samego rana lecę w towarzystwie kolegi z Interpolu do Rotterdamu. Mam nadzieję, że holenderskiego orła zastanę w gnieździe.

— Zachodzę w głowę — wtrącił drugi z inspektorów, Mister Peter Pillows, skąd się ten Gabon dowiedział, że zastawiamy na niego pułapkę? Chyba jakiś przeciek z biura „Lloyda”?

— Albo ze Scotland Yardu — odparował naczelny dyrektor — o przestępstwie zawiadomiliśmy was oficjalną drogą natychmiast po rozmowach z Mudżibarem Sattarem. Dostarczyliśmy wam również jeden komplet jego zdjęć.

— Od nas to nie mogło wyjść — oburzył się inspektor Hendon. — Za moich ludzi ręczę jak za siebie samego.

— Głowę mogę dać — Peter Pillows poparł starszego stopniem kolegę.

— Nasi pracownicy są nieprzekupni — z godnością stwierdził naczelny dyrektor.

Tajemnicę znał jedynie Hans Zimmerman ze Stambułu, ale nigdy jej nikomu nie zdradził. Nawet swojemu przyjacielowi pułkownikowi Atkinsowi, który właśnie stojąc na ruinach Babilonu podziwiał bramę Isztar.

Kiedy inspektor Henry Hendon przybył do Rotterdamu, najpierw razem ze swoim kolegą z Interpolu udali się do gmachu dyrekcji holenderskiej policji w tym mieście. Tam już przygotowano wszystkie dane dotyczące Armonda Focka, pieczołowicie zbierane przez lata. Firma „Fossils Trading Company” stale miała jakieś zatargi albo z władzami, albo z klientami, którzy niejednokrotnie oskarżali przedsiębiorstwo o oszustwo i na drodze procesu cywilnego walczyli o odzyskanie swoich pieniędzy. Zwykle bez oczekiwanego rezultatu. Także władze celne często podejrzewały zacnego pana Focka o przemyt kamieni szlachetnych i półszlachetnych. Ale od zarzutów oszustwa czy też przemytu do udowodnienia winy nieraz droga jest bardzo daleka. Tak też było i z właścicielem „Fossils Trading Company”. Nie tylko, że wywijał się on jak piskorz z sieci sprawiedliwości, ale też potrafił zagrozić procesem o niesłuszne oskarżenie i odstąpić od wytoczenia takiego procesu za sutym odszkodowaniem.

Fachowcy holenderscy byli więc raczej nastrojeni pesymistycznie. Obejrzeni barwne zdjęcia Mudżibara Sattara, pochwalili dobrą robotę towarzystwa ubezpieczeniowego, ale ostrzegali przed zbyt pochopnym aresztowaniem holenderskiego biznesmena. Woleli do tego ręki nie przykładać.

— Bardzo bylibyśmy radzi — stwierdził zastępca dyrektora policji — gdyby wam udało się nareszcie zaprowadzić za kratki tego gagatka, ale w to z góry nie wierzę. Jakie macie przeciwko niemu dowody?

— Zapłacił Brazylijczykom za rudę pięćdziesiąt jeden milionów dolarów. Osobiście dopilnował jej załadowania na statek „Kuretake Maru” i ubezpieczył ten ładunek w „Lloydzie” na tę sumę. W ubezpieczeniu najwyraźniej napisane, że ładunek przeznaczony jest dla

Japonii. A przecież na zdjęciach widać, jak się go wyładowuje w Kapsztadzie, a potem wypełnia luki zwykłym piaskiem.

— Udzielimy wam wszelkiej pomocy — zapewniał przedstawiciel policji holenderskiej — ale przestrzegałem przed nieprzemyślanymi krokami. Inspektor Seyffardt będzie panom towarzyszył. Ma on nakaz zatrzymania Arnonda Focka, ale nie sądzę, żeby z tego papierka skorzystał.

Właściciel „Fossils Trading Company” przywitał przedstawicieli władz jak gdyby to byli najmiłsi goście, niecierpliwie oczekiwani. Wprowadził ich do swojego gabinetu, usadził przy okrągłym stoliku na wygodnych fotelach. Sekretarka bez wezwania przyniosła całą kolekcję butelek, kostki lodu w srebrnej wazie i palone migdałki oraz suche ciasteczka. Uprzejmy gospodarz, pomimo protestów przybyłych, napełnił ich kieliszki złotawym płynem z magicznym napisem na nalepce butelki „VSOP”.

— Domyślam się — powiedział pan Fock z lubością delektując się aromatem wystającego koniaku — że przychodzicie panowie w sprawie tego złodzieja Antona Millera. Od początku byłem przekonany, że za tą całą transakcją kryje się jakiś gruby szwindel. Toteż byłem ostrożny aż do przesady. Do tego stopnia, że siedziałem prawie dwa tygodnie przy ujściu Amazonki, w klimacie, któremu piekło może pozazdrościć. Jak pies na łańcuchu pilnowałem załadunku tej rudy. Bałem się, że Miller coś skręci z tym wolframem i potem wytoczy proces mnie oraz Brazylijczykowi o niedotrzymanie kontraktu. Myślę, że ten łobuz już siedzi?

— Na jakiej podstawie pan to mówi?

— Wczorajsza wieczorna prasa przyniosła wiadomość o aferze z zatopieniem „Kuretake Maru”. Informuje ona, że Scotland Yard oraz Interpol prowadzą w tej sprawie energiczne śledztwo. Dlatego tak się ucieszyłem na widok panów, być może moje informacje przyczynią się do zdemaskowania tego oszusta Millera. Znam inspektora Seyffarda i wiem, że na jego pracowitości oraz energii mogą panowie polegać.

Holender miał w tym momencie głupią minę. Nieczęsto bowiem zdarza się, żeby hochsztapler wysławiał pod niebiosa funkcjonariusza policji. Taka pochwała ma zawsze dwuznaczny wydźwięk.

— Naturalnie — zapewniał Armond Fock — szanuję i podziwiam tak sławną instytucję, jaką jest angielski Scotland Yard. Praca Interpolu budzi mój najwyższy szacunek. Kto wie, gdybym nie był handlowcem, czy nie zostałbym pracownikiem właśnie Interpolu? Był czas w młodości, kiedy o tym marzyłem.

— Wracajmy do naszych spraw — inspektor Seyffardt usiłował przerwać tę rzekę miodu płynącą z ust Focka.

— Naturalnie, naturalnie — zgodził się handlowiec — doskonale rozumiem, że w związku z tą aferą macie panowie ogromnie dużo roboty. Służę wszystkimi informacjami. Przypuszczam, że pan inspektor Seyffardt nie ma nakazu, ale chętnie okażę mu moje księgi handlowe. Jak zwykle nie mam nic do ukrywania. Słusznie cały świat uważa Holendrów za wzór pracowitości i uczciwości w interesach. Pod tym względem jestem typowym Holendrem.

— W jaki sposób zetknął się pan z Antonem Millerem?

— Było to w Stambule. W ubiegłym roku. Jeśli zajrzę do moich papierów, będę mógł podać panom dokładną datę, bo u mnie wszystko musi być w największym porządku. Zupełnie przypadkowy kontakt. Zgadało się, co kto robi i jak to zwykle bywa, wymieniliśmy bilety wizytowe. W kilka tygodni potem pan Miller zgłosił się do mnie z ciekawą propozycją. Poszukiwał rudy wolframowej. Interes przedstawiał się zachęcająco, udałem się więc do Rio de Janeiro na rozmowy z tamtejszymi przemysłowcami. Miller również przyleciał do Brazylii.

— Po co?

— Pewnie po to, żeby mnie wysłiznać z tej transakcji. Ale to mu się nie udało, Brazylijczycy znali mnie nie od wczoraj i tylko do mnie mieli zaufanie.

— Panie Fock — przerwał Seyffardt — pańska firma jest małym

przedsiębiorstwem. A tu raptem kupuje pan towar wartości pięćdziesięciu jeden milionów dolarów. Skąd pan wziął te pieniądze?

— Wcale ich nie miałem i znikąd nie brałem. Zapłaciłem za rudę listem kredytowym. Dostałem go od Millera. Brazylijczycy, jak już mówiłem, nie mieli zaufania do tego Szwajcara, może już kiedyś usiłował ich oszukać? Ja zaś cieszyłem się ich szacunkiem. Dlatego też właściciele kopalni powiedzieli, że mogą sprzedać rudę, ale jedynie mojej firmie. Pan Miller ich nic nie obchodzi. Co było robić? Wziąłem od „Züricher Import-Export Gesellschaft” list kredytowy, kupiłem rudę i natychmiast, różnica w datach wynosi zaledwie trzy dni, odsprzedałem cały transport Millerowi.

— Tak za darmo, bez grosza zarobku?

— Ten drań oczywiście wykorzystał, że nie miałem własnych możliwości kupna rudy i operowałem jego pieniędzmi. Odmówił mi nawet wypłacenia zwyczajowej prowizji, jaką każdy by dostał przy takiej transakcji. Ale musiałem się zgodzić i zadowolić tym, co mi dali Brazylijczycy. Normalne dwa promile od sumy zakupu. Te sto dwa tysiące figuruje w moich księgach handlowych jako zysk z operacji wolfram. Naturalnie minus koszta handlowe, jakie poniosłem. Między innymi koszta mojego pobytu nad Amazonką, co już panom wcześniej wyjaśniłem.

Pan Fock otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju i polecił sekretarce:

— Niech tu zaraz przyjdzie pan Hoff i przyniesie dokumenty dotyczące transakcji z rudą brazylijską.

Księgowy najwidoczniej czekał na wezwanie. Zjawił się natychmiast i zręcznie rozkładał na stole kolejne dokumenty: kontrakt z kopalnią brazylijską, akt odstąpienia rudy firmie „Züricher Import-Export Gesellschaft”. Bilety lotnicze, rachunki hotelowe, odpis pokwitowania na sto dwa tysiące dolarów otrzymane jako prowizja i na odwrocie notka księgowego pod jaką pozycją ten wpływ figuruje

w księgach handlowych. Pełna dokumentacja transakcji jak przystało na solidną holenderską firmę.

— Od momentu, kiedy się wyrwałem z tych moczarów nad Amazonką — stwierdził Fock — pana Millera więcej nie widziałem i nie pragnę zobaczyć. Od pierwszej chwili osoba tego pana nie budziła we mnie entuzjazmu.

— Jednak zrobił pan z nim interes?

— Nie ja pierwszy zauważyłem, że pieniądze nie śmierdzą. W interesach nie można się kierować sentymentami, a tylko rachunkiem ekonomicznym. Miałem jednak dobrego nosa. Pilnowałem się jak nigdy i dlatego Miller nie mógł mnie całkowicie wykantować. Tyle, że urwał należną mi prowizję. W sumie pozornie wielka transakcja nie przyniosła mi zbyt wiele.

— Hmm! — chrząknął inspektor Seyffardt przeglądając dokumenty przyniesione przez Hoffa. Holenderski specjalista od nadużyć handlowych nieraz już miał możliwość zapoznawania się z księgowością firmy „Fossils Trading Company”, ale nigdy jeszcze nie była ona tak wzorowo i przejrzysto prowadzona. Dla policjanta nie ulegało wątpliwości, że Fock nie tylko był uprzedzony o ich wizycie, ale także miał czas odpowiednio się do tego przygotować. Wzmianki w gazetach o aferze „Kuretake Maru” także dawały do myślenia. Przecież całą rzecz trzymano w ścisłej tajemnicy. Skąd dziennikarze mogli się o tym dowiedzieć? Teraz już wielka afera popłynie szerokim papierowym nurtem na cały świat. Policje zainteresowanych państw nie będą się mogły opędzić przed wścibskimi reporterami.

Inspektor nie umiał rozszyfrować przecieków prasowych. Tymczasem sprawa była bardzo prosta. Arnond Fock miał kilku przyjaciół pracujących w tej branży. Wystarczyło kilka niby przypadkowych słówek, żeby nie w ciemną bitych redaktorów naprowadzić na sensacyjny trop.

Trzej przedstawiciele władz wyszli z biura firmy „Fossils Trading Company” jak niepyszni. Powędrowali do najbliższej kawiarni, żeby tam spokojnie porozmawiać.

— Uprzedzałem was, co to za frant — mówił Holender — spodziewałem się, że wywinie nam jakiś numer. Ale to, co nas spotkało, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Drwił z nas w żywe oczy. A kiedy mówił o sobie jako wzorze uczciwego i pracowitego Holendra, flaki mi się w brzuchu przewracały. Na dokumentach, które nam pokazał, ledwie obsechł atrament. Sami panowie widzicie, jak trudno nam w Rotterdamie pracować. W tym wielkim portowym mieście aż się roi od podobnych niebieskich ptaszków. A nie można ich złapać do klatki.

— Miejmy nadzieję, że przyjdzie kolej i na Focka.

— Ja też tak sędzę. Ale, niestety, nie dzisiaj.

— Zarówno Frederick Gabon i Arnond Fock — stwierdził Henry Hendon — wszystko zwalają na Antona Millera. Mam nadzieję, że szwajcarska policja już go odnalazła.

Policja szwajcarska słynie jako jedna z najlepszych na świecie. Nie miała zatem wielkich trudności ze znalezieniem Antona Millera. Tylko, że zacy ten Szwajcar od przeszło dziesięciu lat leżał spokojnie... na cmentarzu w Bazylei. Nie mógł mieć nic wspólnego z aferą zatopienia „Kuretake Maru”. Poza tym drobnym szczegółem, wszystkie dane personalne ściśle się zgadzały.

Lokal firmy „Züricher Import-Export Gesellschaft” był zamknięty na klucz. Ale jak się potem okazało był czyściutko wypucowany, podłogi wypastowane aż lśniły. Kurze wymiecione do ostatniego pyłka. Tak samo wymiecione były szuflady stołów i biurek. Odszukani pracownicy firmy zgodnie zeznali, że pan Anton Miller zlikwidował swoje przedsiębiorstwo, gdyż przenosi się do Francji, gdzie miał zamiar otworzyć jakąś wytwórnię perfum lub po prostu wejść do niej jako wspólnik. Ostatnio do firmy nadchodziło sporo ofert w tej sprawie. Pracownicy przeszło miesiąc temu otrzymali uposażenie z góry za rok i rozwiązano z nimi umowę. Pan Miller ładnie z nimi postąpił. Także gospodarzowi domu uregulowano czynsz za kilka miesięcy naprzód, żeby nie poniósł strat.

Prywatne mieszkanie Antona Millera było już zlikwidowane. Posiadacz domu pokazał list z Paryża. W liście tym były właściciel zuryskiego przedsiębiorstwa zawiadamiał gospodarza, że zwalnia lokal. Znajdujące się w nim meble i garderoba ma być przekazana instytucji charytatywnej.

— Bardzo się tym listem zdziwiłem — stwierdził gospodarz domu — nigdy z czymś podobnym się nie spotkałem. Muszę jednak przyznać, że Herr Miller postąpił bardzo przyzwoicie. Komorne było zapłacone za trzy miesiące z góry, zaś hojny dar na pewno przydał się biednym, których nawet i w Szwajcarii nie brak.

— W mieszkaniu były jakieś papiery i dokumenty? — dopytywała się policja.

— Trochę jakichś prywatnych listów. Prospekty reklamowe różnych firm. Papiery bez znaczenia. Zgodnie z pismem lokatora, spaliłem wszystko. Znalazłem także w kieszeniach ubrań trochę pieniędzy. Razem ponad tysiąc franków. Wypłaciłem je instytucji charytatywnej, która zabrała meble i garderobę. Mam pokwitowanie na tę sumę.

— Ptaszek wywiązał w samą porę — mruknął jeden z inspektorów.

— Ma pan ten list z Paryża?

— Proszę, oto on — właściciel domu podał policjantowi żądany dokument — to jasne, że pieczołowicie przechowuję tego rodzaju dyspozycje.

List był krótki, ale rzeczowy. Nadano go z Paryża. Z urzędu pocztowego przy Luvrze.

— Jak wyglądał pan Miller? — to pytanie policja zadawała kolejno każdemu kto miał do czynienia ze zmartwychwstałym nieboszczykiem.

— Wysoki, przystojny mężczyzna. Szpakowaty blondyn. Z widoczną szramą biegnącą przez cały lewy policzek — padały zawsze identyczne odpowiedzi. Tę szramę widzieli i zapamiętali wszyscy. Inne szczegóły postaci i twarzy nie utrwały się jakoś w pamięci pytanym.

Policji szwajcarskiej i Interpolowi nie pozostało nic innego, jak

tylko rozpisanie międzynarodowego listu gończego za człowiekiem, który posługuje się fałszywymi dokumentami na nazwisko Anton Miller i którego cechą charakterystyczną jest blizna na lewym policzku. Tak się bowiem złożyło, że nie udało się policji zdobyć ani jednego zdjęcia oszusta.

Pomimo tak łatwej identyfikacji przestępcy, listy gończe pozostały bez echa.

Interpol nie odniósł również większych sukcesów przy poszukiwaniu jeszcze jednego bohatera całej afery, kapitana Achilesa Borgulisa. Policja grecka kategorycznie odpowiedziała, że osobnik o takim nazwisku w ogóle nie jest tam znany. Nie udało się także odnaleźć żadnych śladów, żeby jakakolwiek upoważniona do tego instytucja grecka wydała na to nazwisko patent kapitana żeglugi wielkiej. Nie pomogły wyjaśnienia „Lloyd's Brokers Association”, że taki kapitan jest towarzystwu doskonale znany, choćby dlatego, iż jeszcze przed „Kuretake Maru” trzy przez niego dowodzone jednostki zamiast dopłynąć do portu, wylądowały na dnie morza. „Lloyd” twierdził swoje, Grecy zaś swoje.

W tym samym mniej więcej czasie pewien obywatel grecki, który najwidoczniej dorobił się małego mająteczku za granicą, powrócił do ojczyzny. Za swoją siedzibę wybrał piękną wyspę Rodos i przystąpił do budowy hotelu połączonego z restauracją. Władze greckie bardzo popierają rozwój bazy turystycznej. Zwłaszcza na wyspach, które, w przeciwieństwie do rejonu Aten, są pod tym względem wyraźnie zaniedbane.

Stąd też przedsiębiorczy reemigrant cieszył się na Rodos poparciem nie tylko miejscowej administracji, ale także i banków, które przyszyły mu z pomocą tanimi, długoterminowymi kredytami.

Jakiś uważny obserwator mógłby wprawdzie zauważyć, że nowo upieczony hotelarz jest dziwnie podobny do starego wilka morskiego, który nie bacząc na niebezpieczeństwa przemierzał morza i oceany świata, zaś kiedy okręt tonął, zawsze umiał tak opanować panikę,

że cała załoga wychodziła z katastrofy z dobrym zarobkiem.

Hotel, chociaż nowoczesny, jest wygodny. Restauracja serwuje doskonałe dania, charakterystyczne dla kuchni greckiej. Między innymi pyszną sałatkę z krewetek. Chwałę tę kuchnię cudzoziemcy i tubylcy. Interes kwitnie.

Policja Republiki Południowej Afryki odpowiedziała krótko dopiero po kilku ponagleniach Interpolu. Afrykanerom nic nie wiadomo o jakiegokolwiek rudzie wolframowej przywożonej do tego kraju. Także nie potwierdzili, żeby statek o nazwie „Kuretake Maru”, zawinął do któregoś z portów tego państwa.

Inspektorzy Interpolu dotarli nawet do Sztambułu. Ich koledzy z policji tureckiej nie pozwolili, żeby niepokojono tak szanowanego handlowca, jakim jest Hans Zimmerman. On sam jednak nie uchylał się od rozmowy z inspektorem Interpolu. Przyznał, że znał pana Millera. Poznał go przed kilku laty, gdyż sprzedał mu swoją firmę, którą prowadził w Zurychu. Wycofując się z interesów, przekazał ją właśnie Millerowi. Nigdy nie przypuszczał, że tak z pozoru uczciwie wyglądający Szwajcar, okaże się hochsztaplerem. Panu Zimmermanowi jest z tego powodu ogromnie przykro. Ma jednak nadzieję, że oszust zostanie ujęty przez Scotland Yard. Przecież ktoś, kto ma na policzku taką bliznę, nie może się długo ukrywać. Tego żadna operacja plastyczna nie usunie.

Pułkownik Atkins ciągle podróżował po świecie. Podziwiał pomniki starych, dawno już przebrzmiałych kultur, zawierał najrozmaitsze znajomości i przyjaźnie. Był bowiem człowiekiem towarzyskim, dobrze wychowanym i umiejącym podobać się ludziom. Z każdej zwiedzanej miejscowości, pułkownik wysyłał starym i nowym przyjaciółom barwne pocztówki z egzotycznymi znaczkami.

Rozdział XIX

Czas robi swoje

Czas robi swoje. Wielka i głośna na całym świecie afery z zatopieniem „Kuretake Maru” powoli ustępowała innym sensacjom. Scotland Yardowi i policjom kilku państw było to na rękę. Nie mieli się bowiem czym chwalić. Ani jeden człowiek nie stanął przed sądem. Główny bohater tej afery, rzekomy Szwajcar, Anton Miller, znikł bez śladu, jak kamień w wodę. Nie zdołano nie tylko ująć człowieka z charakterystyczną blizną na lewym policzku, ale nawet ustalić, jak ten mężczyzna naprawdę wyglądał i jakie było jego prawdziwe nazwisko. Tę tajemnicę znał jedynie niejaki Hans Zimmerman, bardzo szanowany mieszkaniec Stambułu i pobliskich Wysp Książęcych, ale nikt go o to nie zapytał. Zresztą i tak nie otrzymałby odpowiedzi.

Zrujnowany na tej transakcji Libańczyk z amerykańskim paszportem, Frederick Gabon, powtarzający wszystkim, ile to dopłacił do afery tak zręcznie zmontowanej przez Antona Millera, chyba poważnie zapadł na zdrowiu albo angielski klimat Londynu nagle przestał mu służyć. Sprzedał bowiem komuś swoją firmę „Liverpool Shipping Company”, zlikwidował apartament przy Victoria Street i zakupił wygodny pałacyk w stylu hiszpańsko-kolonialnym w niewielkim miasteczku Fairhope nad Zatoką Meksykańską, koło Nowego Orleanu.

Ma teraz własną plażę z piaskiem tak białym, że w niczym on nie przypomina rudy wolframowej. Przy pomoście małej przystani kołysze się zgrabny jacht. Pan Gabon uprawia żeglarstwo, czasem łowi ryby, często przyjmuje gości, zwłaszcza piękne kobiety. Jak na człowieka, który tyle podobno stracił na operacji wolfram, powodzi mu się doskonale. Czasami, żeby nie wyjść z wprawy, trochę gra na giełdzie. Przeważnie z powodzeniem. Głównie kupuje akcje kopalń złota i przemysłu zbrojeniowego.

Wzór pracowitości i uczciwości holenderskiej, pan Arnond Fock, także jakoś pogodził się z losem, który pozwolił mu tak niewiele zarobić na operacjach z rudą brazylijską. Właściciel firmy „Fossils Trading Company” rzadko teraz przebywa w Holandii. Zakupił w Hiszpanii, w San Sebastian, luksusową willę. Cieszy się tym nabytkiem i stamtąd kieruje swoim przedsiębiorstwem.

Oficerowie z „Kuretake Maru” i jego pierwszy mechanik tak szybko rozjechali się po świecie, że żadnego z nich nie zdołano przesłuchać. Katastrofa statku całkowicie ich zniechęciła do pracy na morzu. Każdy z tych panów albo założył jakieś lądowe przedsiębiorstwo i to jak najdalej od najbliższego portu, albo kupił lub wybudował za uczciwie zarobone i zaoszczędzone pieniądze kamienicę czynszową, żeby żyć bez troski o potrzeby dnia codziennego.

Scotland Yardowi nigdy nie udało się ustalić listy marynarzy „Kuretake Maru”. Wszelkie kroki podjęte dla ich odnalezienia spełzły na niczym. Brać marynarska jest na ogół dość gadatliwa. W knajpach i tawernach portowych nieprzerwanie płyną barwne opowieści o przeżyciach na bezkresnych oceanach i strasznych przygodach lub niesamowitych zjawiskach, z jakimi dzielni pracownicy morza spotykali się na wodnych szlakach. Nikt jednak nigdy ani słówkiem nie pisał, że pływał pod dowództwem nieustraszonego kapitana Achillesa Borgulisa na statku, który nosił dziwną, japońską nazwę „Kuretake Maru”.

Mudzibar Sattar szczęśliwie przeżył długi proces rehabilitacji medycznej. Noga zrosła się wspaniale i po wypadku nie pozostało

ani śladu. Były marynarz powrócił do swoich ojczystych stron, gdzie uchodzi za człowieka bogatego. Dzięki uzyskanym z odszkodowania wypłaconego mu przez „Lloyd's Brokers Association” środkom, założył dość spory sklep i przy jego prowadzeniu wykazuje duże zdolności kupieckie. Jego również nie ciągnie, aby wrócić do barwnego życia na morzu.

Pułkownikowi Atkinsowi chyba znudziło się badanie pomników starożytności, bo przyjaciele przestali dostawać egzotyczne pocztówki z kolorowymi znaczkami.

Hans Zimmerman spokojnie pędzi żywot człowieka poczciwego na swoich Wyspach Książęcych. Ostatnio zapalił się do plantacji róż. Prawie cały ogród otaczający jego piękną willę zamienił w rosarium. Udało mu się nawet wyhodować nową odmianę tego pięknego kwiatu. Nazwał ją „róża książęca”. Na wystawie w Wenecji róże pana Zimmermana otrzymały nagrodę.

Ten mądry i uczynny człowiek nadal nie skąpi rad i pomocy swoim przyjaciołom. Którykolwiek z nich ma jakieś kłopoty lub popadnie w konflikt z niezbyt wyrozumiałymi przedstawicielami władzy, zawsze może liczyć na gościnę w pałacyku nad morzem Marmara i skuteczne środki wydobycia się z tarapatów.

Czasami, podobno, niektórzy dyrektorowie „Lloyd's Brokers Association” mają koszmarne sny. Oto śni im się zawsze jakieś nadbrzeże portowe. Przy tym nadbrzeżu stoi wielki statek. Po trapie zbiega marynarz o ciemnej cerze. Ma w jednym ręku marynarski worek, w drugim zaś trzyma piękny aparat fotograficzny. Marynarz zrecznie przechodzi po desce i wsiada do stojącego tuż obok autobusu. Wóz zaraz rusza, zaś przedstawiciel „Lloyda” budzi się zlanym zimnym potem.

Rzeczywiście, co by to było, gdyby trap na „Kuretake Maru” nie był wtedy tak śliski i gdyby się na nim wtedy marynarz z Bangladeszu, Mudżibar Sattar nie przewrócił i nie złamał nogi?

Wtedy nie byłoby już żadnej rady. Trzeba byłoby płacić grube miliony paru bezczelnym i zręcznym aferzystom. Może to by nie zachwiało tak wielką firmą, jaką jest „Lloyd's Brokers Association” ale byłoby dla tego towarzystwa ubezpieczeniowego i dla związanych z nim przedsiębiorstw reasekuracyjnych bardzo poważną stratą.

„Lloyd” niezbyt przejmował się tym, że oszuści nie stanęli przed sądem i nie zostali ukarani. Dla każdego towarzystwa asekuracyjnego procesy o odszkodowanie są zawsze złą reklamą. Nawet jeśli stuprocentowa racja jest po stronie towarzystwa.

W sumie więc i „Lloyd” był zadowolony z przebiegu wypadków. Wydatki w skali firmy były bardzo niewielkie, zaś zyski ogromne. Przedstawiciel firmy w Kapsztadzie przyjemnie się zdziwił, kiedy zawiadomiono go o przyznaniu mu wysokiej premii, „za operatywność”. Mudżibar Sattar także nie spodziewał się, że odszkodowanie za złamaną nogę jest tak duże.

Włosi, a zwłaszcza Sycylijczycy twierdzą, że Taormina jest najpiękniejszym zakątkiem świata. Trzeba obiektywnie przyznać, że jeśli w tym twierdzeniu jest jakaś przesada, to w każdym razie niewielka. Nieduże, ale czyste i schludne miasteczko wyrosło na dość wysokim wzgórzu tuż nad wspaniale błękitną zatoką. Pagórek opada trzema tarasami nad brzeg morza, gdzie ciągnie się wąski pasek plaży, ale nie kamienistej jak gdzie indziej, lecz piaszczystej o wspaniałym żółtym piasku.

Na tych tarasach rozsiadły się wytworne pałacyki bogaczy i niewielkie, lecz ekskluzywne pensjonaty każące swoim gościom płacić co najmniej po sto pięćdziesiąt lub więcej dolarów za jeden dzień pobytu.

Na plaży nad zatoką jest naturalnie miejsce, gdzie przybiła łódź Świętego Pawła. Każda szanująca się miejscowość na Sycylii i na wyspach greckich obowiązkowo musi mieć takie miejsce. Zaiste Święty Paweł był nie tylko wielkim, ale i bardzo skrupulatnym turystą. Nie opuścił w swoich wędrówkach najmniejszej wioski. Nie

przeszedł z jednej blisko położonej do drugiej, ani nie przebył tej drogi wygodnie na osle, lecz wędrował łodzią po morzach i zatokach, aby potomni mogli się chwalić pokazując miejsca, gdzie Wielki Apostoł stawiał swoją stopę na piasku.

Rzadko która z tych pięknych willi czy pałacyków na tarasach Taorminy należy do Włochów. To piękne miejsce upodobali sobie przede wszystkim Anglicy. Arystokracja i wielki kapitał. Ostatnio jednak w Taorminie pojawia się coraz więcej ludzi z Republiki Federalnej Niemiec. Zdystansowali oni Anglików wysokością swoich kont bankowych i dom po domu, wykupują ich posiadłości. Coraz więc częściej, obok gardłowej angielszczyzny, na ulicach Taorminy słyszy się mowę Heinego, Manna i Goethego.

Właśnie niedawno jedna z takich ślicznych willi przeszła z rąk angielskich w posiadanie pana Roberta Weismanna, rodowitego monachijczyka. Przystojny, wysoki mężczyzna o regularnych rysach i oczach tak niebieskich jak zatoka w Taorminie, był niezmiernie miłym i towarzyskim człowiekiem. Z miejsca zaprzyjaźnił się z całą kolonią niemiecką. A że angielskim władał jak rodowity Anglik, podobno jego matka pochodziła z Coventry, wkrótce drzwi brytyjskich pałacyków stanęły przed nim także otworem.

Signor Roberto, tak go tu wszyscy zaczęli od razu nazywać, nie stronił i od kontaktów z rodowitymi Sycylijczykami. Władał przecież zupełnie niezłe językiem Dantego. Nic więc dziwnego, że do swoich przyjaciół zalicza go zarówno commendanto di carabinieri, jak też sam kierownik poczty oraz dyrektor i nauczyciele miejscowej szkoły, której signor Roberto podarował piękne wydawnictwa albumowe przedstawiające odkrycia archeologów w Mezopotamii i dalekim Meksyku. Prości rybacy, mechanicy samochodowi, których w tym miasteczku pełnym wytwornych limuzyn jest sporo, a także drobni sklepikarze, również nie odmawiają szklaneczki wina, wypitego w miłym towarzystwie tego Niemca, jakże innego od przeważającej części jego rodaków.

Niewielkie przyjęcia wydawane w willi Weismanna wkrótce zasłynęły wśród high life Taorminy. Ich gospodarz umiał zawsze tak dobrać towarzystwo, żeby wymiana zdań była żywa i ciekawa i żeby nikt nie czuł się osamotniony i znudzony. Piękne dziewczyny także nader chętnie odwiedzały ten uroczy pałacyk z sympatycznym i przystojnym właścicielem. Niejedna z nich zostałaby tu na dłużej, a nawet na zawsze. Ale żadnej się nie udało. Były tylko gośćmi.

Czasami Robert Weismann zwierzał się nowym przyjaciółom, że wcale nie jest człowiekiem bogatym. Ma wprawdzie trochę gotówki i akcji ale to nie to, do czego dążył. Stał już raz na progu wielkiej fortuny, ale głupi przypadek pokrzyżował wszystko i nauczył go zadowalać się małym. Wycofał się więc z interesów, aby pędzić spokojny żywot w pięknej Taorminie.

Znajomi przyjmowali te opowiadania z uśmiechem. Być może, iż Herr Weismann jest biedny, ale tą biedą, która pozwala człowiekowi mieć piękną willę, sportowy samochód i to, co najdroższe, piękne kobiety.

Życie w Taorminie płynie bez większych sensacji. Wielkie wydarzenia społeczne i polityczne w tym zakątku świata odbijają się słabym echem. Ważniejszym jest udany połów ryb czy nowy transport dobrego wina. Codziennie także dyskutuje się, czy lekki pióropusz dymu unoszący się nad zaśnieżonym stożkiem Etny powiększył się, czy też jest taki sam, jak wczoraj. Wprawdzie najgwałtowniejszy wybuch wulkanu nie zagroziłby Taorminie, ale padające głązy bądź lawa mogłyby przecież zablokować szosę do Katanii.

Czasami pana Weismanna odwiedza jego przyjaciel ze Stambułu. Wtedy zazwyczaj gościnne drzwi willi zostają dla innych zamknięte.

Ostatnio Signor Roberto stał się chyba trochę sentymentalny. Poprosił przyjaciela z Wysp Książęcych, żeby ten przez swoje stosunki dowiedział się, co się dzieje z pewną dziewczyną z Kapsztadu noszącą imię i nazwisko Mary Strijdom a którą przyjaciele zwykli nazywać Marietjie.

Wyrażając tę prośbę, Weismann był nawet trochę zażenowany i tłumaczył się:

— To poza moją matką jedyna kobieta, która kochała mnie bezinteresownie.

Hans Zimmerman uśmiechnął się wyrozumiale. Wiedział dobrze, że każdy z mężczyzn prędzej czy później dochodzi do tej prawdy lub do tego złudzenia. Mimo to przyrzekł staremu druhowi załatwić tę drobną przysługę.

A Hans Zimmerman zawsze dotrzymywał danego słowa.

W parę tygodni później główny poczmistrz Taorminy nie mógł sobie odmówić przyjemności, żeby nie zanieść osobiście przyjacielowi, signorowi Roberto, listu poleconego aż ze Stambułu. Jak zwykle gościnny gospodarz mile przyjął życzliwego mu Sycylijczyka. Schował list do kieszeni, a na stole zjawiała się butelka win spumante, które pracownik poczty tak lubił.

Dopiero po odejściu przyjaciela, pan Weismann otworzył list. Był on krótki. Donosił, że Mary Strijdom ciągle żyje samotnie. Jej adres pozostał taki sam, jak przed laty. Zmieniła tylko miejsce pracy. Jest obecnie kierowniczką niewielkiego hotelu w spokojnej dzielnicy Kapsztadu, Rondebosh.

Przez przeszło dwa tygodnie Robert Weismann nie udzielał się przyjaciółom. Nie pokazywał się też w miasteczku na górze. Najwidoczniej załatwiał jakieś sprawy albo opracowywał plany nowych pociągnięć handlowych. To przecież aż dziwne, żeby młody jeszcze człowiek tak pełen energii i obdarzony zapewne wielkimi zdolnościami pędził zawsze spokojny, samotny żywot.

Pewnego dnia signor Robert zjawił się na poczcie. Nadał dość poważną sumę aż do dalekiego Kapsztadu i wysłał pod ten sam adres gruby list polecony. Widząc zaciekawienie kierownika poczty, zauważył jak gdyby od niechcienia:

— Mam nadzieję, że wkrótce będę miał gościa z Południowej Afryki.

Spis treści

Rozdział I	
Anton Miller przybywa do Kapsztadu	5
Rozdział II	
Pokaż mi walizkę, powiem ci, kim jesteś	13
Rozdział III	
Pięć małych kamyków	24
Rozdział IV	
„Mewa Południa”	37
Rozdział V	
Trzej wspólnicy bez pieniędzy	48
Rozdział VI	
Szare wilki czy zwykłe psy?	63
Rozdział VII	
Znajoma z recepcji	72
Rozdział VIII	
Konferencja okrągłego stołu	81
Rozdział IX	
Szatański plan	93
Rozdział X	
Thank you, mister Miller	101

Rozdział XI	
Piranie są zawsze głodne	112
Rozdział XII	
Nasz klient, nasz pan	122
Rozdział XIII	
Nieszczęśliwy wypadek	128
Rozdział XIV	
Operacji „Wolfram” część druga	137
Rozdział XV	
Przed sądem Izby Morskiej	145
Rozdział XVI	
Na tropach oszustwa	157
Rozdział XVII	
Alarm ze Stambułu	165
Rozdział XVIII	
Uderzenie w próżnię	179
Rozdział XIX	
Czas robi swoje	192